NA CICHEJ WSI

ZOFJA KOWERSKA

NA CICHEJ WSI

POWIEŚĆ

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Printed in Poland

DRUK KLAMKOWSKIEGO I RAJSKIEGO
WARSZAWA, CIASNA 5 (przy Ś-to Jerskiej)

Michał Iłowski z dalszych pokoi wybiegł do salonu, przyciskając drżącemi palcami czoło tak silnie, iż prawie dziwne było, że się w nie nie wpiły i wiecznych na niem nie zostawiły śladów.

— Przytomności! — wołał na siebie w duchu — mam obowiązek nie tracić przytomności!

Wszakże bał się, że zmysły postrada, że w jednej chwili, wśród szalonego natężenia myśli i uczuć, przytomność go odbiegnie, gdy jej tak bardzo potrzebował.

Spojrzał przestraszony w koło siebie.

— Konrad! — zawołał półgłosem. — Czemu Konrada przy mnie niema?

I rozszalałym myślom jego wydało się na chwilę, że jakaś pomoc, jakiś ratunek mógł mu przybyć wraz z Konradem.

Wyciągnął śpiesznie z kieszeni notatnik i, wydarłszy z niego kartkę, napisał na niej ołówkiem:

„Stenia chora, czy ty słyszysz? Bardzo chora. Przyjeżdżaj! Dlaczego ciebie tu niema? Lekarze mówią, że to..."

Ostatni wyraz zadławił go w gardle, i ołówek drżący w rozgorączkowanych palcach nie śmiał wyrazu tego napisać. Przed straszną nazwą choroby myśl nie-

spokojna stanęła, jak wryta, jakby doniosłość samej choroby po raz pierwszy objąć zdołała. Michał spojrzał na papier, na którym wyraz nienapisany był jedynym, który czytał wyraźnie, i nagle rozdzierające łkanie wyrwało się z jego piersi.

Własnego płaczu odgłos, którego nie znał, gdyż od dzieciństwa głośno nie płakał, otrzeźwił go i przywołał odbiegającą przytomność i odwagę. Z wysiłkiem zdobył się na wyraz spokoju i obojętności, z którym przychodzącemu na odgłos dzwonka służącemu oddał kartkę do Konrada Turzańskiego. Potem chciał przejść do pokojów żony, ale się zawahał. Stał w progu, oddychając ciężko i usiłując opanować własne uczucia i myśli.

W przyległym pokoju usłyszał kroki i rozmowę wchodzących lekarzy, o których, gdy nie byli przy łóżku chorej, nikt z jej rodziny nie myślał i którymi nikt się nie zajmował. Służący pamiętali o ich wygodach, ale towarzystwa nikt im nie dotrzymywał. Błąkali się więc po domu i ogrodzie, zatrzymywani prośbami gospodarza, ile razy wyjechać chcieli, a potem znowu zostawieni samym sobie, osamotnieni, doznający uczuć rozbitków lub więźniów, pragnących oswobodzenia. Jeden z nich, dowcipniś, któremu żarty płynęły we krwi, jak nieuleczalna choroba, przyciszonym głosem wypowiedział jakiś koncept, poczem obadwaj się roześmieli.

Michał drgnął i rozpacz jego dziksza w tej chwili się stała. Na głowę zwaliło mu się straszne przeświadczenie o braku solidarności między ludźmi, o ich obojętności i chłodnym egoizmie. Ci dwaj lekarze tylko

co byli wydali wyrok straszny, tylko co byli wyrzekli, że zostawał tylko cień nadziei, że jego najdroższa, jego nad wszystko ukochana żona stawała do walki ze śmiercią, nie dbającą o młodość, którą podcina, nie dbającą o serca, po których depcze... I ci ludzie, wyrzekłszy taki wyrok, śmieli się teraz z nędznego, płaskiego konceptu; śmieli się, gdy jemu serce rwało się w piersi. Począł nimi pogardzać z całej duszy, i to znowu wytrzeźwiło go trochę ze strasznej myśli wyłącznej. Potem wydało mu się, że skoro ludzie w tym domu śmiać się mogli, więc może wszystko nie było jeszcze stracone, może był jeszcze jaki środek ratunku...

Wszedł do pokoju, w którym się znajdowali lekarze, i wszystko, co w nim było namiętnem pragnieniem znalezienia choćby błysku nadziei, skupiło się w jego oczach w wyraz oczekiwania i prośby. Tym pałającym, a jednocześnie żebrzącym wzrokiem pytał, czy lekarze nie odkryli jakiego ratunku, czy śmiech ich nie miał swego źródła w jakim podpatrzonym pocieszającym symptomacie.

Na jego widok lekarze przybrali wyraz powagi. Uśmiech znikł z ich ust, przyczem dostrzec mogli, że oczy Michała zachmurzyły się, usta zadrgały boleśnie, a pytanie urwało mu się w gardle i załamało w jakiś dźwięk zachrypły.

— Byliśmy właśnie u chorej... — zaczął jeden z lekarzy.

— Może pan życzy sobie sprowadzić jeszcze Polanowicza z Warszawy? — pochwycił drugi. — Będzie pan spokojniejszy... przynajmniej będziemy mogli sobie powiedzieć, że się nic nie opuściło...

A widząc wyraz bezbrzeżnej rozpaczy, przebiegający po twarzy Michała, lekarz dodał:

— Może też Polanowicz znajdzie stan mniej groźnym, niż się on nam wydaje...

Michał wyszedł śpiesznie z pokoju, po chwili zaś powrócił, by zapytać o adres Polanowicza. Poczęto adresu szukać w kalendarzu, wreszcie, zdobywszy go, Michał pobiegł sam do stajni, by wysłać furmana z telegramem do stacji.

Myśl nieszczęśliwego uczepiła się teraz osoby i przybycia Polanowicza, jak deski ratunku. Z rozkładem ruchu pociągów w ręku wyliczał minuty, czynił przypuszczenia, obrachowywał jak długo mógł iść telegram terminowy, i którym pociągiem wyjedzie Polanowicz... Ta myśl uboczna, szukająca niespokojnie sławnego lekarza i obliczająca jego ruchy, zasłoniła na chwilę przed Michałem myśl wyłączną, pomotała w jego umyśle samowiedzę i grozę chwili obecnej. Wszedł do pokoju żony; był w stanie wejść tam z pozornym spokojem i uśmiechem.

Leżała z przymkniętemi oczami, bez najmniejszego ruchu, z wyrazem cierpienia w rysach niezwykłej piękności. Sądził, że śpi lub może usypia, więc stał zapatrzony w twarz ukochaną, z sercem pełnem wielkiej miłości dla tej chorej, dla której ratunek zbliżał się może w osobie oczekiwanego lekarza.

Stał długą chwilę i dostrzegł, że chora nie spała, że zapewne czuła jego obecność, ale może wskutek cierpienia i zmęczenia wolała odgrodzić się od wszelkich wzruszeń, od wszelkich pytań i rozmowy za pomocą udawania drzemki. W pokoju, pod przysłoniętem

do połowy oknem, siedziała najemna pielęgniarka, obojętnie robiąca jakiś szlak szydełkowy. Cisza była tak wielka, że aż przygnębiała obawą, by jej nie przerwał jakiś hałas, któryby mógł chorą przestraszyć. Nagle w drzwiach przeciwległych ukazała się matka chorej z twarzą pooraną przez łzy i ból, z oczami, wzniesionemi ku górze, z ustami, szepczącemi litanję powoli, błagalnie, z krótkiemi jękami, żebrzącemi litości, a wyrazy: „zmiłuj się nad nami“ wypłynęły z ust tych, jak prośba najwyższa, jak wołanie skazanego, jak krzyk duszy, szarpanej przez trwogę, przechodzącą miarę tego, co człowiek znieść może.

Modląca się kobieta szła na klęczkach, czołgała się raczej powoli, niosąc w obu rękach wzniesionych odrobinę przejrzystego płynu w szklance.

Michał zadrżał. Cierpiał nie mniej sam, a jednak widok tej czołgającej się na klęczkach kobiety, tych oczu wzniesionych ku górze z prośbą i wołaniem namiętnem, wstrząsnął nim do głębi. Wiedział, że pani Gozdawina niosła córce na klęczkach wodę z Lourdes, w której moc zbawczą wierzyła.

Stał wzruszony i do ziemi przykuty grozą tej wielkiej boleści, wołającej o miłosierdzie Boże, i nagle jakaś nieznana mu dotąd, porywająca wiara w cud spłynęła do jego duszy.

— Ulituje się! — wołał w nim jakiś głos — ulituje się On, który widzi każdą łzę ludzką! Nie zabierze nam naszego szczęścia! Jeżeli nie uczyni tego dla mnie grzesznego, to wejrzy na tę matkę!

Po tym porywie ufności jakaś wątpliwość ukąsiła go w serce, myśli jego spochmurniały, i z dziką surowością rzekł sobie:

— Powinien wysłuchać! Powinien się ulitować! Chyba, że niebiosa są puste!..

Poczuł, że bluźni i zadrżał. Przeląkł się świętokradczej myśli, a że pani Gozdawina doczołgała się właśnie do łóżka córki, więc i on, przypadłszy do jego stóp, rzucił się na kolana.

— Steniu — mówiła matka — ile razy zażyjesz lekarstwo z apteki, tyle razy ja od stóp Matki Bożej przyniosę ci lekarstwo skuteczniejsze. Steniu, to woda z Lourdes! Napij się jej i oddaj się cała, oddaj się zupełnie opiece Najświętszej Panny! Westchnij z głębi duszy do Niej o ratunek!

Stenia podniosła powoli powieki, obrzeżone długiemi rzęsami czarnemi, a niebieskie jej oczy podniosły się naprzód na matkę, potem spoczęły na ukorzonej postaci męża. Pochyliła do ust szklankę i przełknęła przyniesioną wodę, potem rzekła:

— Matka Boska ulituje się nad maleństwem. Jestem przecie bardzo potrzebna dziecku...

Usiłowała zwrócić głowę ku siedzącej pod oknem kobiecie.

— Niech mi pani dziecko przyniesie — rzekła — dlaczego je stąd zabieracie?

Michał, klęcząc ciągle, podniósł głowę i, patrząc na żonę przenikliwie, jakby z jej twarzy chciał wyczytać, czy wyrok lekarzy był prawdziwy, ozwał się, przybierając obojętny ton w głosie:

— Nasi lekarze różnią się nieco w zapatrywaniu na twoją chorobę, więc telegramem wezwałem Polanowicza. Powinien tu być za kilka godzin.

— Dziękuję ci — odparła z tym uśmiechem ciężko chorych ludzi, który czyni wrażenie od łez smutniejsze. — Przysuń się trochę... taka mi przyszła fantazja... chciałabym rękę położyć na twojej głowie.

A gdy ręka jej na włosach Michała spoczęła, ozwała się z wdziękiem swym dawnym, którym podbijała serca:

— Mamo, on jest naprawdę zanadto dobry!

Wniesiono do pokoju małe zawiniątko białe, związane różowemi wstążkami, a pielęgniarka, unosząc dziecko tak, by na nie pani łowska spojrzeć mogła, rzekła, spieszczając mowę i głos:

— Jestem sobie śliczna panienka... najadłam się, a teraz sobie śpię i na nikogo patrzeć nie chcę... a najlepiej mi w kołysi pod ciepłą kołderką.

— Czy ty ją już lubisz? — zapytał Michał szeptem, zapominając na widok dziecka o niebezpieczeństwie, grożącem żonie.

— Biedactwo, takie czerwone i brzydkie! — odparła Stefanja — Ale je lubię.

— Będziemy je kochać ogromnie — szeptał Michał.

Stefanja nie odpowiedziała. Cierpienie jej widocznie wzmogło się w tej chwili, wyraz wielkiego bólu zarysował się na jej twarzy. I matka i mąż patrzyli na nią z trwogą. Po chwili oczy jej rozwarły się szeroko, przestrach odmalował się w nich wyraźny i bezmierny.

— Prawda, że to skrzep? — zapytała głośno i z przerażeniem.

Zaległo milczenie. Matka klęcząca pochyliła głowę, Michał zachwiał się, jakby był dostał postrzał

w samo serce, tylko kobieta, trzymająca dziecko na rękach, prędko trzepać poczęła:

— O, skrzep, skrzep! Tym paniom, to Bóg wie, co przychodzi do głowy! Noga boli i spuchła, ale to bywa często! Nie tam zaraz skrzep! Ja mówię, że to jest najgorsze, że o wszystkich chorobach panie wiedzą i zaraz sobie wyobrażają...

Ale Stefanja patrzała wkoło siebie przerażona, potem w zmienionej twarzy męża utkwiła wzrok przenikliwy.

— Ja wiedziałam, że ta choroba się zdarza — rzekła powoli — ale nie przypuszczałam, że ją mam. Dopiero w tej chwili, przy silniejszym bólu nogi, i patrząc na zaczerwienione oczy mamy, a także na wyraz twojej twarzy, przyszła mi nagle myśl... Michasiu, powiedz mi prawdę! Słuchaj, ja muszę wiedzieć prawdę!

Z piersi matki wydobyło się tłumione napróżno łkanie... Michał milczał chwilę, potem wziął rękę żony i, patrząc prosto w jej oczy, rzekł wyraźnie, lecz głosem bezdźwięcznym i zmienionym.

— Tak, kochanie, ty masz skrzep... ale od ciebie zależy wyzdrowienie... Musisz tylko leżeć bardzo spokojnie, zupełnie bez ruchu... Musisz niczem się nie wzruszać, niczem się nie martwić, niczem się nie denerwować... To jest rodzaj zakażenia, ale teraz lekarze mają środki na zakażenie... Przecie Ewulka Stopczyńska chorowała na zakażenie — a żyje! Tylko spokoju, zupełnego spokoju, a wszystko będzie dobrze!

Ta obietnica przejęła go grozą przez porównanie tego, co wyrażała, ze strasznemi obawami, które nim miotały. Nie był w stanie kłamać dłużej.

— Trzeba kazać przygotować pokój dla Polanowicza — rzekł, odwracając głowę — wody jak najwięcej do mycia... Ci lekarze do przesady myją się i dezynfekują... Powrócę zaraz...

Wybiegł do ogrodu, bo pragnął być sam, pragnął, by żadne oko ludzkie na nim nie spoczywało, by żaden głos ludzki do niego nie dochodził.

Tymczasem Stefanja wezwała do siebie lekarzy. Prosiła ich o szczerość i prawdę, a gdy usiłowali ją uspokoić, wmówić, że nie było niebezpieczeństwa, wyczuła, że kłamali, zrozumiała, że domysł jej był sprawiedliwy i że życie jej było zagrożone.

Pani Gozdawina po wybuchu łez, który opanować zdołała, stała teraz przy łóżku córki, jak skamieniała. W głowie czuła jakąś pustkę, jej myśli, skupione niedawno przez wiarę w cud, teraz rozstrzeliły się gdzieś, trwoga obezwładniła zarówno jej ciało jak i myśli. Nagle przez ten mrok umysłu do świadomości jej przedarło się wołanie córki:

— Mamo, ja nie mogę umierać! Mówię ci, że nie mogę!... Ratujcie mię! Czemu wy mnie nie ratujecie?

Lekarze poczęli znowu uspakajać Stefanję, a niewdzięczna ta rola kłamliwych pocieszycieli stawała im się coraz cięższą. Pielęgniarka, siedząca z robotą szydełkową pod oknem, położyła koniec tej scenie.

— Przepraszam — rzekła — ale ja muszę poprosić starszej pani, by była łaskawa stąd odejść. Te wszystkie wzruszenia i głośna mowa mogą przynieść gorsze skutki niż ów skrzep, który powstał w wyobraźni pani... Tu trzeba spokoju, a nie takich scen!

Lekarze wdzięczne spojrzenie podnieśli na pielęgniarkę i skorzystali z jej interwencyj, by się conajprędzej usunąć z pokoju. Panią Gozdawinę pielęgniarka wyprowadziła, wziąwszy ją pod rękę.

Twarz Stefanji przybrała wyraz natężonego zamyślenia. Ze sfałdowanem czołem, z oczami, w jeden punkt utkwionemi, zdawała się coś w swej myśli kombinować. Dreszcz przebiegał jej ciało, była widocznie zgnębiona. Gdy pielęgniarka powróciła, chora skinieniem przywołała ją do siebie.

— Zimno mi jest — ozwała się — Czy możnaby tu zapalić na kominku?

— Można, jeżeli pani sobie życzy! To nawet oczyszcza powietrze. Każę zaraz drzewa przynieść — odparła pielęgniarka.

Przycisnęła guzik dzwonka i kazała nadbiegającej służącej zapalić na kominku.

Upłynęło parę godzin wśród zupełnej ciszy. Potem pani Gozdawina odbyła znowu swą pielgrzymkę na klęczkach do łóżka córki. Michał zaś, obmywszy w zimnej wodzie twarz zmęczoną, usiadł, milcząc, obok chorej.

Służąca oddała mu kartkę, na której wyczytał: „Może masz dla mnie jakie polecenie? Jestem na wasze usługi. Konrad.“

Wśród tej nocy, która otaczała duszę Michała, zabłysło, jak mu się wydało, małe światełko. Przy sercu swojem poczuł wiernego przyjaciela. Wyszedł na palcach z pokoju żony, by go powitać. Szukać go musiał po całym domu, nim go nareszcie odkrył na

werandzie, słuchającego sprawozdania lekarzy. Przez oszklone drzwi dostrzegł jego drobną postać, jego rysy delikatne, jego oczy zawsze błyszczące jakimś ogniem wewnętrznym, i serce nieszczęśliwego zabiło wzruszeniem. Poczuł, że ten człowiek gotów był cierpieć z nim razem, że niezdolny był do śmiechu, gdy jego żona walczyła ze śmiercią. Otworzył drzwi werandy z okrzykiem, w którym zadźwięczała cała jego boleść:

— Konradzie!

Blady młodzieniec, z błyszczącemi gorączkowo oczami, spojrzał na przyjaciela, którego ręce objęły jego szyję. Michał był od niego o całą głowę wyższy i zwykle tak mu ręce na szyję zarzucał lub też, chodząc i rozmawiając z nim, na jego barkach kładł swoje ramię. Dawniej, gdy jeszcze razem chodzili do uniwersytetu, przez figle brał go na ręce i nosił, jak dziecię.

Konrad utopił w nim wzrok, w którym Michał odczytał oddźwięk swej własnej boleści.

— Polanowicz nie przyjeżdża — rzekł Konrad swym miękkim i niezwykłym głosem, co zdawał się przyciszony, jak dźwięki fortepianu, na których cięży pedał przytłumiający — Polanowicz nie przyjeżdża... Może chcesz, bym po niego pojechał?

— Nie. Miałem odpowiedź. Już musi być w drodze.

— Zmiłuj się... Michasiu... Chciałbym ci być w czemś pomocą...

— Bądź tylko przy mnie! Potrzebuję twego serca przy sobie! Ty wiesz... Panowie powiedzieli ci... ale ja nie mogę zrozumieć... nie mogę uwierzyć... Dziecko tak

szczęśliwie przyszło na świat, i przez kilka dni była taka zdrowa!...

— Pojadę przynajmniej na stację, żeby stamtąd prędzej go przywieźć!

— Jedź i wracaj! I bądź przy mnie, zmiłuj się, bądź przy mnie!

Konrad, który trzymał w swej dłoni rękę Michała, podniósł ją nagle i przycisnął do niej usta. Michał nie bronił ręki od pocałunku. Ci dwaj przyjaciele w stosunkach z sobą oddawna pozbyli się byli wszelkich względów na zwyczaje utarte.

Michał powrócił do żony.

— Wiesz — rzekł, usiadłszy obok jej łóżka — Konrad tu jest. — Przyjeżdżał konno codziennie dowiadywać się o twoje zdrowie...

— Dałeś mu znać, że mi gorzej?

— Pisałem, by przyjechał. Może nam być potrzebny... Naparł się jechać na stację, by Polanowicz ani chwili nie zamarudził. Konie pewno będą iść galopem. Jeżeli zechcesz, to ci tu Konrada przyprowadzę.

— Nie, nie mogę prowadzić rozmowy... Może innego dnia...

W tej chwili dał się słyszeć turkot. Michał wstał ze słowami:

— Polanowicz!

Wybiegł na spotkanie lekarza z chwilowem w duszy złudzeniem, że przybywało zbawienie. Według przewidywania jego, Polanowicz zażądał ciepłej wody do umycia się. Oświadczył też, że się musi przebrać zupełnie. Do przygotowanego pokoju zaprowadził go Konrad. Michał na ukazanie się nowoprzybyłego oczekiwał

w salonie wraz z lekarzami, którzy dotąd prowadzili kurację.

Tymczasem pielęgniarka poszła kąpać dziecko, Stefanja zaś została pod dozorem matki, która z twarzą napozór spokojną dochodziła do jakiegoś wewnętrznego szału. Chciało jej się krzyczeć z bólu, a kładła na usta sztuczny uśmiech. Ale przyszła chwila, w której ta walka przewyższała jej siły i Stefanja, która miała wlepione w nią oczy, wyrażające bezmierny przestrach, ujrzała nagle twarz śmiertelnie pobladłą i głowę, zwisającą na poręcz fotela. Wtedy zerwała się z łóżka. Cała drżąca, w bieliźnie, chwiejąca się, podbiegła do matki, lecz tu siły ją opuściły, oparła się o stolik i wydała krzyk, który doszedł do uszu Michała i lekarzy. Wszyscy trzej wpadli do pokoju chorej.

— Michasiu — zawołała Stefanja — bardzo mi niedobrze!

Z temi słowami runęła bez duszy u stóp męża, który porwał ją w objęcia, uniósł, położył na łóżku. Wszelka jednak pomoc okazała się bezskuteczna. Stefanja nie żyła.

Teraz rozpoczęły się w Minowicach dni bólu i męki. Żałoba była nietylko w stroju, ale i w duszach. Matka i mąż zapomnieć nie mogli. Michał stał się na pozór zimny i sztywny, jakgdyby serce jego powlokło się było skorupą lodową, a jednak w głębi duszy pożerał go ból podwójny. Żal za ukochaną, utraconą na wieki, i wyrzut straszny z powodu niedostatecznego dozoru, rozciągniętego nad ostatniemi jej chwilami. Jak

się to stać mogło, że jej nie przeszkodzono do uczynienia tego szalonego kroku, który spowodował zgon nagły? I to było pod jego bokiem, pod jego dozorem; stało się to z istotą droższą mu nad życie!

Żal pani Gozdawiny wylewał się na zewnątrz. Płakała, rozpaczała, mówiła o swojej stracie. Nie było nad nią nieszczęśliwszej matki. Przed kilku laty straciła w podobnych okolicznościach córkę z pierwszego małżeństwa, po której, jak tu, została dziewczynka Helusia, dziś już zupełna sierota, gdyż wkrótce po matce postradała ojca. Jedyną jej opiekunką była babka. Pamięć pani Gozdawiny miała więc przed sobą groby, pod których darniną złożeni byli wszyscy jej ukochani. Na pociechę zaś zostały jej dwie wnuczki, których życie okupione było śmiercią dwóch kobiet w pełni młodości i zdrowia.

We łzach i skargach biedna kobieta znajdowała ulgę. Szukała jej też w zajęciu się maleńką Stenieczką, którą sama kąpała i wiele chwil przy jej kołysce spędzała. Czuła także, że musi domowi zastąpić panią, którą stracił, wydawała więc dyspozycje, przyjmowała rachunki. Każda wprawdzie rozmowa, każde zetknięcie się z ludźmi kończyło się płaczem i zwrotem ku utraconym córkom; ale życie i praca zabierały już panią Gozdawinę w swe tryby, a zmiana, która w niej zaszła była mniej widoczna, niż zmiana, zauważona w Michale przez wszystkich, co go otaczali. Wychudł, cierpiał na zupełną bezsenność, żył tylko płynami, które duszkiem wychylał, czując nieprzeparty wstręt do żywienia się jak dawniej, do zasiadania do stołu, do krajania i przeżuwania pokarmów.

Znosił tylko towarzystwo Konrada, który teraz nie opuszczał Minowic i patrzał na mękę przyjaciela, odczuwając intuicyjnie wszystkie jej fazy i paroksyzmy, choć Michał nie rozmawiał z nim prawie wcale. Nerwowy, wrażliwy i nierówny Konrad obok współczucia i litości doznawał jeszcze wielkiego rozdrażnienia i niepokoju, jaki musi wywierać na istotach odczuwających widok ciągłego cierpienia i ustawicznego szamotania się wewnętrznego. Oczy Konrada paliły się coraz bardziej gorączkowym ogniem, bladość jego się powiększała, jakiś strach go chwytał, a czasem ogarniała chęć ucieczki. Zatrzymywał go jedynie niepokój o Michała, którego nie mógł zostawić samego z jego bólem.

Noc przepędzali zwykle na cmentarzu. Nawet deszcz nie odwodził od tego Michała, a Konrad myślał z trwogą o tem, co będzie, gdy nadejdzie zima. Brzask zastawał ich często obu na grobie zmarłej. W dzień Michał nie lubił tam chodzić, bo go śledziły oczy domowników i przechodniów. Jego boleść ciężka, zamknięta w sobie, sztywna, kamienna, jak ją w myśli określił Konrad, nie znosiła objawów współczucia i spojrzeń, wyrażających litość. Była pełna dumy, a może raczej zazdrości: nie chciała z siebie nic dać innym. Michał chował ją, jak zazdrośnik chowa wybraną. Miał ją jedyną na świecie. Sądził, że ze wszystkiego ona jedna była coś warta, że mu jako jedyna pociecha pozostała. Oglądał się za Konradem i potrzebował go, ale wraz ze śmiercią Stefanji ustała w nim siła doznawania przyjaźni dawnej. Nie czuł już tego pieczołowitego przywiązania, którem niegdyś otaczał

wątłego, bladego młodzieńca, kochanego uczuciem znacznie starszego brata, choć obadwaj byli w jednym wieku.

Dla matki swej żony miał dawniej zwykłe uczucie zięciów. Nie to, które nam wmawiają komedjopisarze francuzcy, ale obojętną życzliwość, pragnienie dogodzenia teściowej we wszystkiem, gotowość na jej usługi, pamięć o jej imieninach i upodobaniach i powierzchowną, jakby sztuczną sympatję, niewiele soków żywotnych w sobie mającą. Ze śmiercią żony zapomniał o istnieniu teściowej.

Nie pytał też wcale o dziecko. Nie chciał go widzieć, nie mogąc w sobie zagłuszyć żalu do niewinnego maleństwa, którego życie życiem matki okupione zostało. Gdy krzyk Stenieczki doszedł do jego uszu, wzdrygał się mimowoli na myśl, że ta istota domagała się starań, pożywienia, troskliwości, nie czując iż była, jak roślina, która soki swe zawdzięcza grobowi. Od dnia, w którym pielęgniarka pokazała Stefanji Stenieczkę po raz ostatni, nie widział jej wcale, i nie usiłował odnaleźć w sobie uczuć ojcowskich.

Konrad starał się być siostrą miłosierdzia tego wielkiego cierpienia. Dostrzegł, że obcowanie z naturą uspakajało trochę Michała, więc często brał kapelusz, drugi w milczeniu podawał przyjacielowi, i szli w pola i lasy, unikając mieszkań ludzkich i dróg uczęszczanych. Postępowali zwykle obok siebie w milczeniu, i taka tylko była między nimi różnica, że Konrad obserwował Michała, ten zaś zaledwie wiedział o obecności towarzysza. Konrad męczył się coraz bardziej. Ciągłe przebywanie w pobliżu tej wielkiej i wprost zabijającej bo-

leści zużywało jego siły, i tylko natężenie nerwowe pozwalało mu na znoszenie towarzystwa Michała. Poświęcenie stało się zbyt ciężkie na jego barki, może dla tego, że nie dość żył sercem i nie miał zasobów na miłości głębokie i silne, jak śmierć. W spółce tej przyjacielskiej, jak może w każdem podzielonem uczuciu, przewaga była po jednej stronie. Konrad wiedział, może obadwaj to wiedzieli, że wielkie, bezinteresowne, gotowe w każdej chwili do ofiar uczucie, dziś zaćmione na chwilę przez pochłaniającą wszystko rozpacz, leżało może wyłącznie po stronie Michała. Konrad żył raczej wyobraźnią, niż sercem. W tej przyjaźni dusza jego porwana została przemocą tak, jak silne ramiona Michała porywały czasem jego niezdolne do oporu ciało. Nieco egoistyczna jego natura lubowała się tem wzbudzonem w męskiej piersi Michała przywiązaniem. Idealizował je sobie jeszcze w artystycznej, trochę przerafinowanej swej wyobraźni, opowiadał o niej kobietom znajomym, których piękność, wdzięk, lub dar towarzyskiej rozmowy go przyciągały; podziwiał zresztą Michała i był jakby pod jego urokiem. Męska piękność przyjaciela zachwycała go; zwracał na nią uwagę obecnych, prawie się nią chwalił, jakgdyby była jego dziełem. Niektóre postępki, niektóre oryginalności Michała imponowały mu. Ze wszystkich ludzi na świecie tylko względem Michała doznawał pewnej nieśmiałości. Bał się utraty jego przyjaźni i wobec niego czuł się mały i bezsilny moralnie. Ta głębia płomienna, jaką była dusza Michała, ta siła, z którą kochać umiał to, co kochał, porywała wyobraźnię Konrada i chwilami prawie porywała jego serce.

Cztery miesiące upłynęły od śmierci Stefanji, i zbliżał się koniec sierpnia. Pani Gozdawina była w rozterce z własnemi myślami. Starszą swą wnuczkę, z którą mieszkała i którą wychowywała w Warszawie, powierzyła chwilowo dalekiej swej krewnej, u której dziewczynka została do wakacji, następnie zaś pojechała z nią na wieś. Ale wakacje się skończyły, i trzeba było powziąć jaki stały projekt. Albo należało zabrać Stenieczkę i wychowywać ją z Helusią w Warszawie, albo też mieszkanie tam zwinąć, przenieść się do Minowic, Helusię zaś umieścić u kogoś w Warszawie, a może wziąć do niej nauczycielkę i wychowywać ją przy sobie w Minowicach. To wszystko w gruncie zależało od Michała, bo on rozporządzał Stenieczką, której pani Gozdawina opuścić nie mogła. Trzeba więc było koniecznie pomówić z zięciem. Będąc z natury rezolutną i stanowczą, postanowiła uczynić to niezwłocznie. Bała się, że jej odpowie odmownie, jeżeli każe go prosić do siebie, zapukawszy więc tylko, weszła do pokoju, w którym się znajdował. Od pogrzebu pierwszy raz się widzieli. Wszystkie jej usiłowania podsuwania zięciowi mięsa i potraw, które dawniej lubił, spełzły były na niczem; nasyłani przez nią interesanci, którzy w jej mniemaniu powinni byli oderwać go choć na chwilę od jego żalu, odchodzili, nie ujrzawszy pana; była więc trochę onieśmielona i, łatwo niegdyś czerwieniąca się blondynka, zaczerwieniła się pod siwiejącemi włosami przy wejrzeniu, które na nią, jak na intruza, rzucił Michał. Znalazła go strasznie zmienionym. Oczy, powiększone przez wychudnięcie twarzy, miały wyraz

zdziczenia, wysoka postać była przygarbiona. Ten człowiek był literalnie złamany boleścią.

— Daruj mi, Michasiu — rzekła, jąkając się i czerwieniejąc jeszcze bardziej — musiałam z tobą pomówić. Sam czujesz, że dziecko musi być na mojej opiece... teraz przynajmniej, gdy potrzebuje takiego starania... Tymczasem wakacje Helusi dobiegają końca, mieszkanie mam w Warszawie... wszystko się pokrzyżowało, i nie wiem doprawdy, co mam postanowić.

— Wszystko będzie dobrze, co mama postanowi — odparł Michał.

— Tymczasem trudno się do Warszawy przenosić z mamką, boną, pieluchami, wanienkami, więc może... może Helusię tu sprowadzić i wziąć nauczycielkę...

— Niech mama czyni, jak chce, i domem moim rozporządza, jak jej się podoba!

— Ale ja chcę twojej rady!

Na ustach Konrada, siedzącego z boku, zarysował się cień uśmiechu, gdyż wiedział, że pani Gozdawina wszystkich się radziła, ale niczyjej rady nie słuchała.

— Mojej rady? — rzekł Michał. — Szczerze mamie mówię, że nie jestem w możności nic wymyśleć, nic poradzić... zresztą mama najlepiej wie, co dzieciom jest potrzebne i co dla nich najlepsze.

— Wzięłabym tu Helusię, ale przerwą się lekcje muzyki z Wędrewiczem... Pierwsza lepsza nauczycielka nie potrafi kierować tego talentu... Stenieczka znowu taka maleńka... Chyba już Helusię będę musiała gdzie w Warszawie umieścić...

Gdy pani Gozdawina wyszła, Michał rzekł z ironją, której dotąd Konrad nigdy w nim nie dostrzegał:

— Jacy ludzie śmieszni, że ich życie tak interesuje!

Była to pierwsza uwaga ogólniejszej natury, którą uczynił Michał od strasznej chwili, stojącej mu ciągle w pamięci i w oczach. W istocie ten wzrok wewnętrzny, który odtwarza nam minione obrazy, utkwiony był ciągle w postaci Stefanji, w chwili, gdy z wyciągniętemi ku niebu rękami, z przestrachem w wyrazie twarzy wydawała okrzyk ostatni.

W pokoju zmarłej wszystko zostawiono na miejscu, w porządku, zachowywanym przed jej śmiercią. Wchodzącemu domownikowi zdawać się mogło, że pani wyszła na chwilę i zaraz powróci, bo na stoliku leżała książka z zakładką, przez jej rękę włożoną, robota niedokończona, jakiś plan nowych ścieżek w ogrodzie, przez nią narysowany.

Wstęp do tego pokoju nie był wzbroniony, jednakże pani Gozdawina nie wchodziła do niego, bojąc się zastać tam zięcia, którego kroki często ku tej części domu się kierowały. Wchodził tam sam. Konrad, który chwytał i odczuwał najdrobniejsze odcienie, zrozumiał, że to mieszkanie Stefanji, niedostępne dla obcych podczas jej życia, powinno było być przez nich szanowane po jej śmierci. Michał, który utraciwszy ukochaną, kochał to, co mu po sobie zostawiła, to jest boleść nieukojoną, w mieszkaniu Stefanji rany swego serca jątrzył z pewnego rodzaju namiętnością. Tam chwytał go ból, nazwany najsroższym przez Dantego, chwytały go wspomnienia minionego szczęścia.

Czasem powracała mu do myśli chwila, w której trzy lata temu do tego pokoju wprowadził Stefanję po

raz pierwszy. W wielkiej szafie lustrzanej odbił się wtedy obraz dwojga ludzi, trzymających się za ręce. Ona cała w bieli, w welonie i wianku z kwiatu pomarańczowego na głowie, on w czarnym fraku i w białym krawacie. Przypomniał sobie, jak na ustach żony złożył wtedy pocałunek, a ona z wdziękiem, który ją wśród wszystkich innych kobiet wyróżniał, usiłowała nowych pocałunków uniknąć i, wskazując na odbicie się dwóch postaci w lustrze, rzekła:

— Chodźmy stąd, ja ich się wstydzę!

Widział tę przeszłość tak dokładnie, tak się w niej zatapiał, że ją prawie na nowo przeżywał i na nowo tracił, a wtedy radby był szarpać na sobie odzienie, radby był rzucić się na ziemię z krzykiem i jękiem, i cierpiał jeszcze od tej sztywności, która burzę wewnętrzną jego serca powlekała pozorami kamiennego spokoju.

Był pewien, że go żal w końcu zabije, ale kresu dla boleści swojej nie chciał położyć samobójstwem, bo się z nią rozłączyć nie myślał. Zdawało mu się, że rozdział z nią byłby utratą wspomnienia, które było jeszcze cząstką Stefanji.

Powoli począł w duszy jego kiełkować pesymizm i niewiara, nieznana jej dotąd. Po co było to życie, które w jednej chwili przecina mała okruszyna skrzepłej krwi, dopływająca do serca? Po co ten cały zachód życiowy, to gonienie za różnemi marami? Głupie stworzenie, nazwane człowiekiem, któremu się zdaje, że coś więcej znaczy, niż inne, żyjące na świecie istoty! Próżność i egoizm jego przekracza nawet granice ziemi i jest pewien, że jakaś istota potężna, a niewidzialna

zajmuje się każdem dwunogiem stworzeniem z osobna, a nawet każdym, spadającym z jego głowy włosem. Nędzne, podłe i płaskie życie, a jedyną prawdą niezaprzeczalną jest śmierć!

To też nie zapytał nawet, co w końcu postanowiła pani Gozdawina, i było mu obojętne, czy Stenieczka zostanie w Minowicach, czy też zabraną będzie do Warszawy.

Los tymczasowy dzieciny został jednak rozstrzygnięty. Pani Gozdawina podczas kilkodniowej nieobecności umieściła dwunastoletnią Helusię w domu prywatnym w Warszawie i zapewniła jej lekcje dobrych nauczycieli. Sama powróciła do Minowic dla zajęcia się wychowaniem Stenieczki.

Zięć coraz bardziej ją niepokoił. Chudość jego stawała się z dniem każdym większa, pokarmy stałe powracały z jego pokoju nietknięte, a gdy w nocy wychodził na cmentarz z Konradem, pani Gozdawina doznawała prawdziwej o niego trwogi. Poczęła ten bezmierny żal Michała uważać za chorobę nerwową i przemyśliwała o środkach zaradczych. Ale czy Michał leczyć się zechce, czy zechce oddalić się od grobu żony?

Tymczasem pewnej nocy, późną jesienią, Konrad zaziębił się na cmentarzu i dostał tak silnej newralgji w oku, że cierpienie wykrzywiało mu twarz, a łzy mimowolne spływały po jego policzkach. To obudziło nagle w Michale przyjaciela. Począł sobie wyrzucać, że Konrada przez kilka miesięcy poświęcał swemu żalowi, poczuł wielką wdzięczność dla towarzysza swych bezsennych nocy i dni niespokojnych; wezwał lekarza i przez obudzone przekonanie, że był potrzebny Kon-

radowi, wytrzeźwił się trochę z tej jednostronności, w którą popadł z powodu swego żalu. Przyjął nawet podane sobie mięso z obawy, że mu zabraknie sił, których teraz przyjaciel jego mógł potrzebować. W ogóle dawne, jakby utopione w żałości przywiązanie, odżyło w nim z tą siłą, którą kładł w każde uczucie.

Konrad miał się coraz gorzej. Do newralgji, niczem usunąć się nie dającej, przyłączył się ogólny rozstrój nerwów. Zdawało się, że natężone przez chwilę gwałtownie, rozluźniły się nagle i wypowiedziały posłuszeństwo. Konrad był niespokojny, płakał, wyobrażał sobie, że gdzie on stąpnie, tam musi wyrastać nieszczęście, że to jego zły los sprawił, iż dom przyjaciela okrył się żałobą. Michał pilnował go, jak matka pilnuje dziecię. Sprowadził lekarza specjalistę od chorób nerwowych, który wyprawił Konrada do zakładu hydropatycznego w Meranie. Z Konradem pojechał Michał na całą zimę, zostawiwszy dom pod opieką pani Gozdawiny, gospodarstwo i interesa pod opieką plenipotenta. Z Meranu nie pisywał wcale. Nie korespondował nigdy z matką swej żony, która na swój list do Michała otrzymała od dyrektora zakładu hydropatycznego krótką odpowiedź: Michał Iłowski był zdrów i przebywał w zakładzie, tylko jako towarzysz Konrada Turzyńskiego.

Potem zaległo zupełne milczenie. Samo z siebie wynikło, że pani Gozdawina, czynna i despotyczna, stała się najwyższą instancją w domu i osią, około której wszystko się obracało. Nie tylko służący nie zdołali się oprzeć jej wyraźnemu wpływowi, ale powoli uległ mu i plenipotent. Wiedziała nawet, co się działo w go-

spodarstwie męskiem, dawała rady, wymagała i nigdy ani na chwilę nie pozbywała się stanowczości. Była przytem dobra, miłosierna i umiejąca wejść w potrzeby podwładnych. Szlachetny ten i męski charakter zeszpecony był tylko przez wybitnie rysującą się zarozumiałość. „Ja ci mówię"! z wyraźnym naciskiem na *ja* było częstym zwrotem w ustach pani Gozdawiny. Ton jej z powodu tej zarozumiałości bywał niemiły, choć intencje zawsze najlepsze, a serce prawe, proste i gorące. Lubiła pracę i nie rozumiała życia bezczynnego, choć mienie jej było bardzo znaczne. Lubiła obdarzać, lecz znieść nie mogła marnotrawstwa i strat, pochodzących z niedozoru i niedbalstwa. Praca była też jej ratunkiem w nieszczęściu. Dwanaście lat temu straciła córkę z pierwszego małżeństwa, potem drugiego męża, z którym połączyła ją prawdziwa miłość, niezaznana w pierwszym związku, wreszcie córkę młodszą, owoc pożycia z człowiekiem nad wszystko ukochanym.

Pomimo strat, pomimo łez i samotnego życia pani Gozdowina w pięćdziesięciu latach wyglądała na czterdzieści. W jej włosach jasnych było zaledwie kilka nitek siwych, twarz miała niewiele zmarszczek, figura zaś i ruchy były zupełnie młode. Dwunastoletnią Helusię brano zawsze za jej córkę.

Dziewczynka ta spędziła w Minowicach święta Bożego Narodzenia. Wesoła, jak ptak, żywa, cały dzień śpiewająca, wniosła z sobą do cichego i poważnego domu życie i ruch. Fortepian pod jej drobnemi palcami rozbrzmiewał wesołemi melodjami, lubiła zwierzęta, więc wyprosiła sobie wstęp do domu dla dwóch wielkich podwórzowych brytanów, które, nienawykłe cho-

dzić po froterowanych posadzkach, ślizgały się po nich ze śmiesznie przestraszoną miną. Helusia biegała z niemi, śmiejąc się takim dziecinnym, zaraźliwym śmiechem, że czasem poważne oblicze pani Gozdawiny przybierało, jakby odblask tej młodości i tego wesela. W śmiechu Helusi była muzykalność, tak jak w jej głosie, w jej śpiewie, w jej palcach. Dar ten oddziedziczyła po ojcu, który namiętność swą do muzyki życiem przypłacił, gdyż podczas pożaru opery, w popłochu zduszony został.

Helusia była jedną z tych ślicznych i rozkosznych dziewczynek, co to już w dwunastu latach zapowiadają późniejszą piękność i urok kobiecy. Nie wiedziała nic o swym wdzięku. Naiwna i naturalna śpiewała z taką swobodą, jak słowik na gałęzi. Całemi godzinami bawiła się ze Stenieczką. Pomagała przy kąpieli, przy której było śmiechu coniemiara. Dla Stenieczki zapomniała o psach i kotach. Śpiewała jej do snu, mówiła do niej tak, jakgdyby niemowlę zrozumieć ją mogło. Była dla niej żywą lalką, którą nacieszyć się nie mogła.

Po skończonych wakacjach świątecznych z żalem pożegnała Minowice, które odtąd poczęły wyobrażać dla niej raj ziemski. Żyła z myślą o powrocie na Wielkanoc, a potem na lato, i wszystkie swoje dziecinne projekty zabaw i przyjemności skupiała wkoło myśli o babce, Minowicach, Stenieczce.

Na Wielkanoc farbowała jaja na przeróżne kolory, zbierała fiołki na trawnikach, radowała się każdym rozwijającym się listkiem, wchodząc zaś do oranżerji, wciągała w siebie zapach róż i bzów kwitnących, przy-

mykając oczy z rozkoszy z tą zdolnością odczuwania wszelkich piękności, cieszenia się każdym wdziękiem, które w jej duszy żywiołowo wybuchały na każdym kroku. Wcale się nie domyślała, że ze wszystkich kwiatów, na jakie patrzała, najpiękniejszym była ona sama. Nic w niej nie było chorobliwego, nic sztucznego, nic wybujałego przedwcześnie. Był to okaz dziecka silnego, zdrowego, z żywo obiegającemi po żyłach sokami. Zręczność jej i siła zdumiewały. Przepadała za wszystkiemi zabawami na świeżem powietrzu, za tenisem, sersem, kręglami, piłką, a na wakacje obiecanego sobie miała małego konika pod siodło.

Pani Gozdawina, patrząc na nią, a myśląc zawsze o swoich zmarłych córkach i wszystko do nich odnosząc, rzekła sobie raz:

— Jak się to stało, że ta wybujałość życia, ta siła, ten wdzięk, ta żywość, wyrosły z grobu?

Dziewczynka umiała się śmiać, ale umiała też płakać nad każdą nędzą. Jej zdolność współczucia była tak wielka, że mogła nasunąć obawy bacznemu wychowawcy. Helusia gotowa była oddać wszystko, co miała, gotowa była tulić do piersi każdą niedolę, każde cierpienie. Przechodziło to nieraz u niej w rodzaj przeczulenia czy przesady. Ale pani Gozdawina radowała się raczej temi altruistycznemi popędami wnuczki.

— Świat wysusza serca — mówiła sobie — i tu zabierze to, co jest zbytkiem...

Helusia podobna była do matki, a bardziej jeszcze do Stefanji, i pani Gozdawina z częstem uczuciem zimnej stali, przeszywającej serce, odnajdywała te podobieństwa. Często jakiś ruch Helusi, spojrzenie, głos

przypominały nagle biednej matce jedną ze zmarłych i sprawiały jej ból dojmujący.

Konrad przeniesiony został z wiosną do Szwajcarji. Rodzina jego odbierała niedobre wieści o jego zdrowiu. Był w stanie coraz większego rozdrażnienia, wreszcie lekarz, mający go w kuracji, uznał za konieczne rozdzielenie go z Michałem. Chory musiał być odsunięty zupełnie od wszystkich krewnych i znajomych.

Michał wrócił do Minowic najętą dorożką. Nie pytając o nic i o nikogo, poszedł do swoich pokojów. Wieść o jego powrocie rozeszła się natychmiast między służbą, doszła do pani Gozdawiny, i wszyscy uczuli się pod brzemieniem wielkiego wydarzenia. Pan domu, o którym nic nie wiedziano, żył, był zdrów i wracał we własne progi. Na gumnie szeptano sobie, że chciał on zapewnie zajść wszystkich z nienacka; oficjalistom przyszły nagle do głowy wszystkie nieporządki, którym byli winni, wszystkie nadużycia, których się dopuścili.

Pani Gozdawina, pomimo swej stanowczości, zadrżała też, wspomniawszy sobie miesiące, w których po śmierci Stefanji zięcia swego nie widywała prawie wcale i w ciągłym o jego życie i zdrowie żyła niepokoju. Jak się teraz ułoży stosunek z Michałem? Gdy dawniej przyjeżdżała do córki, zięć bywał dla niej uprzejmy i uprzedzający, ale nie było między nimi rzeczywistej sympatji. Bywała zazdrosna o przywiązanie swej córki. Kochała ją uczuciem wyłącznem, jako dziecię jedyne, ponieważ starsza jej córka nie żyła już od lat kilku, gdy Stefanja szła za Michała, i jako dziecię

tego drugiego męża, z którym poznanie się, a potem pożycie było dla niej niezapomnianym snem miłości. Teraz zięć wchodził w jej życie nie tylko, jako towarzysz codzienny, nietylko, jako pan domu, w którym zarząd spadł na jej barki, ale jako ojciec i pan losu Stenieczki, która chodziła już, mówiła i swym wdziękiem dziecięcym serce babki coraz mocniej podbijała.

Michał nie przywitał dnia tego domowników... Czekał tylko zupełnego zmroku, by się udać na cmentarz, gdyż chciał przedewszystkiem znaleźć się na grobie żony. Żal bez miary, zagłuszony nieco przez oddalenie, teraz z nową siłą uderzył w jego serce. Wstęp do domu, gdzie upłynęło jego szczęście, wywołał w nim paroksyzm tak wielkiej rozpaczy, że znowu sądził, iż przy takim bólu dalsze życie jest niepodobieństwem.

Na grobie zastał zasadzone kwiaty, róże, które, że to był lipiec, kwitły i wonnemi listkami osypywały się na mogiłę, lilje białe, wysmukłe i smutne, a wśród tych roślin wyniosłych rzucony duży wieniec z bławatów, który uderzył go wspomnieniem upodobania zmarłej do tego polnego kwiatu. Ponieważ każde wielkie uczucie, a zatem i wielka boleść ma zabobonność swoją, więc Michałowi się wydało, że jego zmarłej kwiaty te są miłe, że wolała ten wieniec, rzucony na jej grób, niż lilje i róże.

Nazajutrz rano, gdy po nocy bezsennej wstał blady i zmęczony śmiertelnie, słuch jego uderzyły słowa wchodzącego służącego:

— Starsza pani prosi na śniadanie.

Starsza pani! Tak, w tym domu, którego pani leżała pod ziemią, była jej matka, i należało się jej po-

witanie. Pragnął je wszakże odłożyć na później; miał po prostu nieprzezwyciężony wstręt do spojrzenia w oczy kobiecie, która swą córkę, jedyną jego miłość, o śmierć przyprawiła. Musiał sobie nakazać przymus i z rozpaczą, do której przymieszał się ferment gniewu, poszedł do jadalnego pokoju.

Przy stole siedziała już pani Gozdawina, Helusia, nauczycielka jej, Francuzka, i panna apteczkowa. Michał pocałował teściową w rękę, nie zauważył przywitania się z nim Helusi, ukłonem odpowiedział na powstanie od stołu i ukłon innych domowników. Usiadł na wolnem, przygotowanem dla siebie miejscu i doznał pewnego uczucia ulgi z powodu tego przełamania pierwszych lodów. Nikt nie przemówił ani jednego słowa przy tem zetknięciu się pana domu z domownikami. Wszyscy jedli w skupieniu, nie ośmielając się nawet patrzeć na Michała z obawy spotkania jego wzroku. On utonął w myślach, jak to zwykle czynił przy stole wsród kuracjuszów zakładu hydropatycznego. Pani Gozdawina zauważyła jednak, że apetyt miał dobry, choć wcale nie wiedział, co spożywał. Ze wszystkich jedna Helusia nie spuszczała z wuja przerażonych oczu. Wesołość odbiegła ją przy spojrzeniu na tę twarz, na której boleść osiadła, ryjąc w niej wyraźne ślady. Dziewczynka wiedziała o nieutulonym żalu Michała i uderzona była myślą o tej pięknej cioci, którą oczy jego, patrzące w przestrzeń, a widocznie nic wkoło siebie nie spostrzegające, widziały może w tej chwili. Odczuła bezwiednie świętość takiego żalu, nie mogącego znaleźć pociechy i utulenia, odczuła głębię i siłę boleści, której nie koiły rozkosze pięknego lata, światła słonecznego,

woni kwiatów i widoku radosnej natury. Chciałaby była uczynić coś, coby te rany serdeczne ukoiło, i męczyła się tem, że sposobów ratunku w myśli swej odkryć nie mogła. Cierpiała nad tą przeczuwaną zaledwie prawdą, że jedna dusza dla drugiej często nic uczynić nie może i musi pozostać zamkniętą, chociaż skarby uczucia w sobie mieści. Dziewczynka wcale sobie pragnień swoich nie określała i myśli niejasnych w słowa nie ujmowała, tylko jej uczucia wybiegały ku nieszczęśliwemu z mieszaniną litości, trwogi, niepokoju, współczucia i grozy zarazem. W dużych, jasnych oczach, z powiekami, obrzeżonemi długiemi, czarnemi rzęsami, malowała się jakaś przerażona chęć niesienia ratunku. Helusia dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę z cierpienia Michała, choć wyobraźnię jej uderzyła już była dawniej myśl o Stefanji, którą widziała w pełni zdrowia i piękności, a potem w Minowicach już tylko jej mogiłę zastała. Wieniec przez nią położony był na grobie zmarłej z powodu, iż pani Gozdawina opowiedziała jej o upodobaniu Stefanji do bławatów.

Odtąd codziennie zbierała bławaty, z których wiła wieniec i wyciągała Francuzkę w stronę cmentarza, by na mogile złożyć swój upominek. Potem, gdy minęły bławaty, wiła wieniec z innych kwiatów i tak było do końca wakacji. Kamienny spokój, pod którym krył się ból Michała, był dla niej przedmiotem ciągłej uwagi. Gdy Michał wchodził do pokoju, na jej wesołych, wiecznie śmiejących się, lub śpiewających ustach zamierał śmiech i spiew. Stawała się nagle cicha, milcząca i nieśmiała. Chodziła na palcach, jakby się bała urazić wuja głośniejszem stąpnięciem; gdy grała na for-

tepianie, zamykała wszystkie drzwi, by dźwięki nie doszły do uszu Michała.

Francuzka uczyniła raz uwagę, że Helusia wuja swego się boi.

— Ja go się wcale nie boję — zawołała dziewczynka — tylko... tylko mi się zdaje, że duch cioci jest ciągle przy nim, i że mój głos, śmiech mógłby ducha tego odstraszyć.

Michał czuł, że obecność jego była dla domowników przygnębiającą. Usiłował przy stole rozmawiać z teściową, a nawet z Francuzką, ale się w jego rozmowie czuło, że to był gwałt, zadawany sobie. Pani Gozdawina jednak była zdania, że jej zięć powiniem się był przyzwyczajać do zadawania sobie tego gwałtu. Podtrzymywała z nim rozmowę i często doprowadzała do tego, że Michał pragnąłby był uciec daleko od tego stołu, gdzie się zajmowano drobiazgami życiowemi i rozprawiano o nich, gdy jego serce, prócz rozdzierającego bólu czuło także najwyższą pogardę dla zwyczajności codziennych spraw. Nie mógł jeszcze zrozumieć, że kiedy on był wytrącony nagle z pośród ludzi szczęśliwych, a ukochana żona, bez której życie nie miało dla niego znaczenia, leżała w grobie, wszystko na świecie szło swoim trybem, słońce świeciło, jak dawniej, a ludzie pracowali, bawili się, stroili, śmiali, jakgdyby życie było warte zachodu.

Do Helusi przemawiał czasem słów parę, ale jej podobieństwo ze Stefanją było mu zbyt bolesne. Unikał spojrzenia na dziewczynkę i bał się, że kiedy na widok jej oczu ryknie głośnym płaczem.

Dla Stenieczki był zupełnie obojętny. Dziecko bało się go i płakało na jego widok. Pani Gozdawina kazała je wnosić, gdy podawano po obiedzie czarną kawę, gdyż chciała, by nakoniec nastąpiło wzajemne porozumienie się. Do dobrych stosunków jednak nie doszło, bo choć Stenieczka oswoiła się wkońcu z widokiem ojca, on tak mało okazywał jej uprzejności, że nie było nadziei, by go teraz pokochała. I ona zresztą, tak jak wszyscy, traciła przy nim swoją swobodę. Jemu przynosiła straszne przypomnienie. Miał do niej żal, tak jak go miał i do siebie, że we dwoje byli powodem nieszczęścia. Miał prawie urazę do biednej Stenieczki, że żyła, że nie na nią padł wyrok, który dotknął Stefanję.

Wobec tych uczuć Michała pani Gozdawina zrozumiała, że nie mogła opuszczać Minowic, że musiała być przy ojcu, który widać długiego czasu potrzebował na przywiązanie się do dziecka. Nie wątpiła wszakże, że to z czasem nastąpi.

Z początku marzyła, że będzie czemś w życiu zięcia, że potrafi otoczyć go tem ciepłem, które z siebie wydziela dom zamieszkały przez bliskich sobie sercem, że jej osoba będzie w tym domu łącznikiem i ogniskiem, tymczasem przekonywała się codzień wyraźniej, że była Michałowi tak obojętna, jak panna apteczkowa, o której ledwo wiedział, że żyła. Do matki swej zmarłej żony zwracał się przez poczucie przyzwoitości, czyniąc za każdym razem wysiłek, który go wiele kosztował. Ona czuła to i wiedziała, że zamiast zbliżać się ku sobie, raczej codziennie bardziej od siebie się oddali.

Helusia dziecinnym instyktem przeczuwała chłód tego stosunku. Cierpiała nad nim, czując osamotnienie

serdeczne wuja, który był dla niej przedmiotem najwyższego zajęcia.

Pewnego dnia stała się mimowolnym świadkiem sceny, która jej została w pamięci na zawsze. Przechodziła koło bocznego ganku, stanowiącego wejście dla interesantów do kancelarji Michała, gdy nagle usłyszała podniesiony i grzmiący głos wuja. W tej samej chwili ujrzała zbiegającego ze schodów, widocznie przestraszonego i bladego Żyda. Za nim, na progu, ukazał się Michał z twarzą, której każdy rys znamionował gniew i popędliwość, doprowadzoną do ostatecznych granic. Na czole wystąpiła mu czerwona pręga, nozdrza miał rozdęte, a usta trzęsły się od gwałtownego wzburzenia.

— Chcecie zgubić pana Turzańskiego! — krzyczał za odchodzącym Żydem. — To przecie zmowa, to przecie szajka! Dla tego, że wiecie jak ciężko jest chory, więc utworzyliście już spisek na jego mienie! Rządca ze Stroczyna nie miał prawa zaciągać długów bez wiadomości właściciela! Cała zgraja łotrów już stanęła do sukcesji!.. Ale ja mam plenipotencję i potrafię bronić pana Turzańskiego! Ci, co zechcą korzystać z jego choroby, będą mieli ze mną do czynienia!

Żyd Herszek, któremu odwaga wracała wraz ze zwiększającą się przestrzenią, dzielącą go od Michała, zawołał głosem trzęsącym się na pobladłych wargach:

— Ja rządcy nie szukałem... on sam do mnie przyszedł... ja to zrobiłem dla pana Turzańskiego... Nie moja wina, że tam taka kradzież w lesie!..

Herszek cofał się ku wózkowi swemu, stojącemu na bocznym dziedzińcu, na napiętnowanej zaś wściekłym

gniewem twarzy Michała wyraz zmienił się nagle. Odmalowało się na niej zawstydzenie. Dostrzegł Helusię i doznał wielkiej przykrości na myśl, że ją uczynił świadkiem popędliwego wybuchu, nad którym zapanować nie zdołał. Cofnął się za drzwi ganku, a ona stała, jak przykuta do ziemi przez ból, którego doznała na widok Michała, kipiącego gniewem i iskier, sypiących się z jego oczu. Zrozumiała, że ten człowiek przebył paroksyzm, po którym poczuje się upokorzony i zawstydzony. Nienawidziła Żyda, który był przyczyną wybuchu popędliwości, miała żal do siebie samej, że stała się jej mimowolnym świadkiem.

Od tej chwili większy jeszcze lęk opanowywał ją wobec wuja. Nie mogła zapomnieć wyrazu jego twarzy, gdy idąc za Herszkiem, ukazał się w drzwiach ganku. Pod powłoką spokoju, chłodu i obojętności widziała w nim teraz dwóch ludzi: jednego, którego myśl szukała ciągle ukochanej zmarłej, drugiego, który umiał zawrzeć szalonym gniewem i zakipieć wewnętrznie aż do zapomnienia się.

W parę dni później Helusia stała się przyczyną wielkiego rozdraźnienia i gniewu babki. Rzecz oparła się aż o Michała. Przy śniadaniu spostrzegł, że Helusia miała zapłakane oczy, te oczy, które mu tak żywo przypominały Stefanję. Gdy wstano od stołu, poszedł za panią Gozdawiną do jej pokoju i zapytał o przyczynę łez Helusi.

Pani Gozdawina załamała ręce mówiąc:

— Ty nie wiesz, jak mię ta dziewczyna niepokoił Wiesz, co ona zrobiła? Dziecko jedyne Kotockiej klucznicy chore już oddawna, u którego Helusia spędzała

przez cały czas wakacji parę godzin dziennie, opowiadając mu bajki i śpiewając piosenki, umarło wczoraj wieczorem. Helusia bez mojej wiadomości przesiedziała noc całą u Kotockiej, klęcząc i płacząc wraz z biedną matką. Widziałeś, w jakim stanie przyszła do jadalnego pokoju zawołana przeze mnie. Co z taką dziewczyną robić? Zasługiwałaby na ostre wymówki z mej strony, a znowu nie chcę pobudzać do nowych łez tego spłakanego stworzenia.

Michał pomyślał chwilę:

— Od czego mama ją chce bronić? — zapytał.

— Od uczuć przesadnych, od egzeltacji!.. Czy znasz taką drugą panienkę w jej wieku, któraby szła dzielić boleść obcej kobiety i siedzieć noc całą przy zwłokach zmarłego jej dziecka? Nie uwierzysz, jak mię to usposobienie Helusi niepokoi i martwi. Martwi mię szczególniej dla tego, że nie umiem znaleźć lekarstwa!

— Czy mama sądzi, że charakter człowieka zmienić można? I kto wie, czy szczęśliwsi są egoiści, czy ci, co współczuć umieją?! Zapewne, że dla zdrowia Helusi byłoby lepiej, gdyby była tę noc przespała spokojnie, ale dobrze, że nie jest pospolitością! W zakładzie hydropatycznym widziałem młode kobiety. Ah, tak mi się przejadły! Nic, tylko flirt, poza, udawanie... poza na dowcip, poza na czułość, poza na piękność! Wstręt nieopisany odpychał mię od tych kobiet! Spłakane oczy Helusi, jej włosy nieprzyczesane były mi wypoczynkiem po tamtych grzywkach i uczernionych brwiach!

Wreszcie skończyły się wakacje Helusi. W chwili wyjazdu przyszła cała drżąca zapukać do pokoju wuja. Chciała go pożegnać i chciała w tej godzinie rozłączenia okazać mu jakimś sposobem, że miał w niej duszę kochającą, że ona cierpiała wraz z nim. Ale Michał okazał się sztywnym i zamyślonym. Odczytywał właśnie jakieś stare listy, które go w przeszłość przeniosły i obojętne mu były zamiary Helusi. Myśli jego były widocznie bardzo daleko, gdyż do czoła dziewczynki przyłożył usta z roztargnieniem, zaledwie zdając sobie sprawę, że o jej odjazd chodziło.

Odeszła z rozczarowaniem i niezaspokojonem pragnieniem w duszy. Zrozumiała, że jej uczucia były bez wartości dla Michała i zapłakała, żegnając marzenie niesienia mu pomocy, żegnając kochane Minowice, babkę, Stenieczkę, kucyka, na którym jeździła, psy podwórzowe, pola, lasy, ogród, kwiaty i te tysiące rozkoszy, które wieś w lecie trzyma w pogotowiu dla dzieci.

— Szczęśliwe te dziewczynki, które nigdy wsi nie opuszczają — rzekła Helusia, gdy się znalazła w powozie z Francuzką, odwożącą ją do Warszawy.

Panna Berton była innego zdania. Prawdziwe życie było w Paryżu, Warszawa to tylko cień Paryża, a wieś to poprostu śmierć.

Na grobie Stefanji Michał nie znalazł dnia tego wieńca z kwiatów polnych. To zastanowiło go i wydało mu się jakąś krzywdą, wyrządzoną zmarłej; ale nie szukał przyczyny, gdyż wszelki wysiłek woli przychodził mu z trudem. Już i tak zużywał jej niemało na wypełnienie obowiązków obywatelskich, od których usuwać się nie chciał, i na zajęcie się interesami Kon-

rada, które w nieświetnym znajdowały się stanie i które świeżo jeszcze podkopane zostały przez nieuczciwość rządcy i intrygi Herszka.

Choroba Konrada, która przez kilka miesięcy była mu bodźcem do życia i czynności, teraz przyczyniła się do tem większego przygnębienia. Był pewien, że przyjaciel jego uleczony być nie może, i że, choć w inny sposób, stracił go zarówno, jak Stefanję. Drżał wszakże o jego życie. Dwa razy na tydzień posyłał na stację po telegram od lekarza zakładu, w którym przebywał chory. Wieści przychodziły regularnie zwyle, w tej samej zawarte formie: „Nic nowego“, albo „stan ten sam“. Pod koniec października telegram brzmiał: „Dobre wiadomości, napad furji“. Potem parę razy: „Zawsze furja“. Michał zapytał telegraficznie, czy może przyjechać. Pragnął być z przyjacielem, nie wystarczały mu ogólnikowo brzmiące wiadomości, ale otrzymał odmowę formalną w tonie nakazującym i stanowczym: „Nie przyjeżdżać, nikogo do chorego nie puścimy, przysłać pieniędzy“.

Teraz podejrzenia zakradły się do duszy Michała. Przy pewności, że Konrad nigdy uleczony nie zostanie, powstało w nim przypuszczenie, że umyślnie z zakładu wyprawiono przyjaciela, który miał otwarte oczy, i chciano chorego zatrzymać dopóty, dopóki słowa „przysyłać pieniędzy“ odnosić będą natychmiastowy skutek. Postanowił poczekać jeszcze parę miesięcy, następnie zaś, przyjechawszy niespodzianie, rozpocząć z lekarzami walkę, może z pomocą sprawiedliwości. Rozmyślał nad tem i coraz bardziej gruntował się w zamiarze swoim.

Tymczasem nadchodziła zima. Na grobie Stefanji liście roślin pożółkły i opadły, a zieloność i chryzantemy, przynoszone z oranżerji marzły, przyprószone śniegiem. Michałowi się zdawało, że i umarłym smutniej jest, gdy ich mogiły biały całun pokrywa. Odziany w burkę z kapturem, wyglądający na wymizerowanego postami mnicha, chodził na cmentarz, nie dbając o stan pogody. Często brnął z kijem w ręku wśród śnieżnej zawieruchy i ostrego wiatru. Wszyscy patrzyli na niego z litością i grozą. W ustach ludu urastał na jakąś legendową postać; sąsiedzi, którzy z nim dawniej żyli, nie mieli odwagi przestąpić jego progu. Utrzymywano, że się ludziom nie pokazywał, że gości przyjmowała pani Gozdawina, a interesantów rządca, i że tylko działalność jego obywatelska jeszcze trochę zajęcia w nim budziła.

Była w tem część prawdy. Michał unikał, rzeczywiście, towarzyskich stosunków, do gości jednak wychodził i usiłował pokonać swój wstręt do rozmowy z ludźmi. Życie zaczynało chwytać go w swoje zębate koło. Bronił się, jak mógł, wielkiem cierpieniem okupywał ustępstwa; zdawało mu się, że tem mocniej pogardzał światem, ludźmi i sprawami materjalnemi im bardziej się do nich zbliżał, ale wchodził powoli w jarzmo, choć sam sobie wydawał się wstrętnym, gdy rozmawiał o sprawach pobieżnych lub o pogodzie. Po każdej nowej próbie uciekał na grób Stefanji i czuł się względem niej występny, czuł się niewierny jej pamięci z powodu, iż mógł zmusić myśl swoją do obracania się w pospolitościach, codziennościach i nędzach mizernego żywota.

Pani Gozdawina powzięła nareszcie postanowienie, a jej postanowienia bywały zawsze niezłomne. Musiała przeszkodzić przebywaniu Michała na cmentarzu w dni zimowe i niepogodne. Podczas wiatru i zadymki wyszła na jego spotkanie i, spotkawszy go w bramie dziedzińca, ujęła jego ramię, prosząc, by ją odprowadził do domu. A gdy oboje szli, otoczeni tumanami śniegu, zatrzymała się nagle i rzekła:

— Tylko głupie kobiety mieszają się w sprawy swoich zięciów, i ja bynajmniej w kuratelę brać cię nie chcę. Każdy jednak musi ratować samobójcę, a ty jesteś samobójcą! Przecież masz dziecko, dla którego żyć musisz! Słuchaj, Stenia tego nie chce!

Michał drgnął na dźwięk imienia ukochanej.

— Stenia tego nie chce! — powtórzyła pani Gozdawina. — Wiesz, w podaniu ludowem matka zmarła przychodzi do swojego dziecięcia w nocy, zobaczyć, czy mu czego nie brakuje. Stenieczce brakuje ojca! Ty chcesz ojca ją pozbawić! Stenia nie chce, byś z jej grobu wrócił z zapaleniem płuc lub tyfusem! Gdy ty się dobrowolnie zabijesz, dziecko zostanie zupełną sierotą!

— Mama jest taka silna i zdrowa i jeszcze żyć może długo — odparł Michał.

— Więc dlatego ty się masz zabijać? Zresztą, to nie mój obowiązek, lecz twój! Obowiązek, który zaciągnąłeś względem Steni w chwili, gdy ojcem jej dziecka zostałeś!

Michał jęknął na wspomnienie tej przeszłości, która mu stanęła w oczach, jak żywa.

— Myślisz, że to dosyć chodzić na grób kobiety, którą się kochało? Każdy uścisk dany przez ciebie Ste-

nieczce, milszy jest tej naszej najdroższej, niż wszystkie kwiaty, które składasz na jej grobie, niż wszystkie łzy, które tam wylewasz! Szczęśliwi ci, co umierają, ale tu wcale nie chodzi o wybór szczęścia; tu chodzi o spełnienie przyrzeczeń. Mowiłeś Steni, sama słyszałam, że dziecię bardzo, bardzo kochać będziecie. Ona je kocha z za grobu, a ty?.. No, chodź, wracajmy do domu!

W przedpokoju poczęli się rozbierać z ciepłych okryć. On zamyślony i jakby niepewny, co miał czynić, ona milcząca, gdyż wiedziała, że mnogość słów osłabia wrażenie. Zrzuciwszy z siebie zimowe okrycia, szła do swego pokoju, nie oglądając się na zięcia. Zdziwiła się, spostrzegłszy, że szedł za nią. Gdy oboje znaleźli się w jej saloniku, zwróciła ku niemu wzrok pytający:

— Więc czego mama chce ode mnie? — zapytał gwałtownie.

— Powiem ci to wyraźnie. Chcę byś nie chodził na cmentarz, ile razy jest niepogoda. Zachowaj swoje zdrowie na czas, w którym pokochasz Stenieczkę. Ty ją pokochasz! To nie przeszkadza żalowi. Można kochać żywych przez samą pamięć dla umarłych! Czy ty myślisz, że ja w sercu nie noszę wiecznej żałoby? Ja jestem Hiob, któremu wszystko zabrane zostało, a nie mogę umierać, bo Helusia zostałaby bez opieki, a po części także i Stenieczka. Nie mogę umierać, choć mi tęskno śmiertelnie za tamtemi. Kochałam bardzo ojca Steni... po jego śmierci została mi ona... i tę mi Pan Bóg zabrał... nie mniej mi była drogą niż tobie, więc myśl trochę i o mnie! Już nie wiem, coby

się ze mną stało, gdyby mi przyszło patrzeć jeszcze na twoją trumnę! Stenieczkaby tego nie odczuła, ale pamiętaj, że ja jej jestem potrzebna, a i moje siły wreszcie złamać się mogą!

Coś w wyrazie twarzy mówiącej przypominało Michałowi chwilę, gdy ta nieszczęśliwa matka, czołgając się na klęczkach, niosła córce wodę życia... Żal mu się zrobiło biednej kobiety, wziął jej rękę i poniósł do ust.

— Niech mi mama daruje — ozwał się — jestem rzeczywiście egoistą! Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jestem czemś dla mamy! Nie myślałem też wcale o dziecku.

Ogarnęło go wspomnienie żony, żal utraconego szczęścia, ból serdeczny i zapytał, jak zabobonne dziecko, z wyrazem pokornej wiary.

— Więc mama mówi, że ona chce, bym żył?

— Chce, byś żył! Przecie ona kocha Stenieczkę, przecie kocha mnie!

— Mama sądzi, że jej dusza istnieje? — zawołał Michał z bólem najwyższym, nieraz prześladującym go przy myśli, że ze śmiercią wszystko, co było Stefanją, istnieć przestało.

Pani Gozdawina spojrzała z żalem na zięcia. W tej chwili odkryła się przed nią ta dusza, w której zwątpienie niewiary i krytyki walczyło z miłosnem przeświadczeniem, że Stefanja nie była teraz garścią prochu jedynie.

— Ja nie chcę odciągać cię od grobu żony — mówiła pani Gozdawina — pragnę, byś ją kochał, byś był wierny mojej Steni... Ale mi przyrzeknij, że ile razy

rozsądek ci powie, że naraziłbyś swoje zdrowie, tyle razy nie pójdziesz do niej! Słyszałam, że kaszlesz, więc się szanuj, dopóki się kaszlu nie pozbędziesz.

Odszedł z odrobiną pociechy w duszy. Poczuł, że pani Gozdawina go kochała, że komuś przecie chodziło naprawdę o niego, że ta kobieta, która była duchem opiekuńczym jego domu, myślała o nim i troszczyła się o niego. W parę dni później, gdy się wybierał na cmentarz, poszukał w domu matki swej żony i rzekł, jak dziecię, które się opowiada opiekunowi:

— Bardzo już mało kaszlałem dzisiaj, a pogoda daleko lepsza.

Poczęła go też dręczyć myśl, że on miał jakieś obowiązki względem Stenieczki, i że widocznie obowiązki te zaniedbywał. Poszedł raz pierwszy do pokoju dziecka i, nic nie mówiąc, usiadł na niskim stołeczku, na którym dawniej siadała mamka, gdy dziecię jeszcze odłączone nie było. Kobieta, która jako niańka pozostała, krzątała się po pokoju, zmieszana niespodziewanemi odwiedzinami pana i zaniepokojona tem, że zabawki nie były poukładane. Stenieczka siedziała na ziemi i tak była zajęta, że nie spostrzegła wejścia ojca, który widział z profilu główkę dziecka, otoczoną jasnemi, kręcącemi się włosami. Mnóstwo zabawek leżało na ziemi wkoło Stenieczki. Były tam różne zwierzęta, po trosze kulawe, bez ogonów, a nawet czasem bez głów, gutaperkowe pajace i lalki, mikroskopijne naczynia stołowe i kuchenne, obdarte książeczki z kolorowemi obrazkami, słowem ten cały arsenał zabawek, który posiadają zwykle dzieci zamożnych rodziców. Dla Michała pokój dziecinny był rzeczą nową i nieznaną.

Objęło go w nim to coś niezrozumiałego, czem jest życie małego dziecka dla mężczyzny, który się z niem nie zna. Obserwował Stenieczkę, usiłującą oderwaną główkę kotka przyłożyć napowrót do jego ciała. Wysiłała się, sapała, kładła w to przedsięwzięcie całą swoją energję i nie traciła nadziei. Jej usteczka się wydęły i prawie z nosem się zetknęły, oczy mówiły o wielkiem zamyśleniu. Michał zapytywał siebie, czy mógł to stworzenie kochać i jakie miał względem niego obowiązki. Wszak łożył na wszystko, posyłał po doktora przy najlżejszym katarze Stenieczki, cóż więc jeszcze miał czynić dla niej? Czy miał usiąść obok niej na ziemi i bawić się kalekami zwierzętami, które ją otaczały? Wreszcie myśl swoją zamknął w następującem zdaniu:

— Dziecię jest tylko obietnicą na przyszłość. Inaczej byłoby istotą idjotyczną i niepożyteczną. Jako obietnica na przyszłość może ono interesować tych, co w przyszłość wierzą. Nudzić i niecierpliwić musi mnie, który żadnej przyszłości przed sobą nie mam. Czuję, że nie rozumiem wieku dziecinnego. A może, gdyby żyła Stenia, siedziałbym w tej chwili na ziemi obok mojej córki. Moja córka!

Te ostatnie słowa poruszyły w nim nawał uczuć, ale jakichś uczuć obstrukcyjnych, tych, które mogłyby były serce mu napełnić, gdyby nad nim, bawiącym się ze Stenieczką, stała *ona* z uśmiechem na ustach, z błyskiem szczęścia w jasnych oczach, otoczonych czarnemi rzęsami. Teraz gdy *jej* już nigdy, nigdy nie zobaczy, co go mogła obchodzić przyszłość, choćby ją wyrażało własne jego dziecko?

Wstał i zabierał się do opuszczenia pokoju, gdy mu przyszło na myśl, że dla oka niańki trzeba było dać dziecku jakiś dowód przywiązania, czy zajęcia się niem. Zbliżył się do Stenieczki, a gdy dziecię podniosło oczy z przestrachem i poczęło oglądać się za nianką, on porzucił zamiar schylenia się ku niemu i rzekł tylko:

— Dziecko jest jakieś blade.

— Już takie zawsze, od urodzenia, — odparła niańka — ale zdrowe i mądre, i nic mu nie brakuje.

— Nic mu nie brakuje! — zawołał jakiś głos w duszy Michała. — Bezmyślne zwierzątko! Nic mu nie brakuje, gdy zabiło matkę. Tak, ale w tem zabójstwie miało wspólnika...

Uciekł z pokoju dziecinnego. Postanowił nie chodzić tam więcej. Poco to udawać tkliwość, gdy nie czuł w piersi uczuć ojcowskich? Dziecku nic nie brakowało! Miało wszystko, co takiemu małemu zwierzątku potrzeba.

Stroczyn, folwark Konrada, leżący w sąsiedztwie, dawał coraz więcej kłopotów. Wśród włościan tamtejszych wyrodził się niewiadomo skąd powstały niepokój i ferment. Rozeszła się pogłoska, że pan Turzański nigdy zdrów nie będzie, a majątek sprzedadzą na kolonizację. Cała wieś żyła w gorączce. Już naprzód powstawały waśnie i swary o to, kto się stanie właścicielem najlepszych kawałków; naprzód dzielono się łąką i lasem. Marzenia rosły, zapalały się głowy; żądza posiadania obejmowała serca, nie myślano i nie mówiono o niczem więcej, tylko o tej kolonizacji. Ze wsi, która zwykle do-

starczała robotnika gospodarstwu stroczyńskiemu, nie przyszedł nikt do kopania buraków cukrowych, co spowodowało zamarznięcie kilku morgów, włościanie wyobrazili sobie bowiem, że brak robotnika zniewoli opiekunów majątku do sprzedania go spieszniejszego. Spraw o kradzież drzewa musiano wytaczać bez końca, bo w lesie i zagajnikach stroczyńskich robiono szkody wielkie i ustawiczne, często bezmyślne, gdyż nie przynoszące korzyści nikomu, wycinano bowiem i zostawiano na miejscu młode sadzonki i szkółki. Nie można było pojąć, co kierowało ręką przestępców. Nie mogło być przecie mowy o zemście nad właścicielem chorym obecnie, a zawsze dobrym do słabości dla służących i włościan. Michał, chcąc dojść przyczyny tych bezprzykładnych szkód, jeździł sam na sprawy do sądu, ile razy dało się wykryć złodzieja. Najczęściej jednak nie znajdowano winnego, a wśród zagajników ukryci nocą chłopcy psuli mozolną i wytrwałą pracę dla przyszłości. Michał wrzał z gniewu, widząc zagajniki z powycinanemi łysinami, wreszcie spalone w większej części. Popędliwość jego dochodziła czasem do beztaktownych pogróżek i do nieumiarkowanych słów w sądzie.

Pewnego razu leśniczy zdołał nareszcie złapać w zagajniku kulawego chłopca, na którego podano skargę i który, dowiedziawszy się o tem, przyszedł do Minowic prosić Michała o przebaczenie. Kłaniał mu się do nóg pokornie i do sprawy przystępował z tak daleka, że z początku nie można było wcale wiedzieć, o co mu chodziło.

— Bo to Pietrzak, ten niby z końca mówił, że gromada za wszystko zapłaci, a teraz i słuchać nie chce.

Peda, że kto jaki gapa, że się dał złapać, to niech sam odpowiada.

— Co Pietrzak mówił?

— A pedo tak, że jak się wszyćko dobrze zniści, to prędzej gromada rozbierze, i że to gromadzka rzecz, żeby zagajniki wyciąć, a choćby tam kogo i przyłapali, to nie wielga bida, bo się wszyćko na gromadę rozłoży. Teraz idę do niego i pedom tak i tak, a on jak na mnie powsiądzie...

Michał nie posiadał się z oburzenia wewnętrznego. Czuł, że chłopak, proszący o zmiłowanie, był ślepem narzędziem, że za nim stała zwarta masa, uparta i wytrwała, przed której oczami ktoś ze złą wolą postawił cel, do jakiego dążyły teraz wszystkie jej myśli i czyny. Jak tu walczyć z takim bezcielesnym nieprzyjacielem, jak rozbudzona żądza pomnożenia mienia? Gdzie szukać źródła tego rozszalałego potoku? Przez kogo wpłynąć na ten lud zbałamucony? Czuł się jednak gotów do walki. Gdyby szło o jego własne mienie, możeby był patrzał obojętniej na jego niszczenie, ale gdy chodziło o własność chorego przyjaciela... Podwoił straż lesną w Stroczynie, obiecał nagrody za wykrycie kradzieży, jeździł sam na sądy, przemawiał do rozsądku gospodarzy stroczyńskich... Miał duży mir między włościanami okolicznymi, służył im radą i pomocą. Wierzyli zwykle jego słowom, lecz teraz przekonał się, że wiara ta miała granice. Gdy chodziło o rozwianie mary łatwego nabycia ziemi, wyrastała między nim a chłopem, do którego mówił, twarda ściana podejrzliwości, chytrości, niewiary; z postawy słuchacza poznawał, że zamiast go przekonywać, gruntował go jeszcze w chci-

wości i upartem przeświadczeniu, że słowa, które słyszał, były interesowne i kłamliwe.

Wkrótce potem rozeszła się pogłoska, że pan Iłowski chciał Stroczyn kupić „za psie pieniądze", korzystając z choroby sąsiada, i że usiłował uczynić to po cichu, żeby ubiec Herszka, który dawał więcej i chciał kolonizować zaraz po kupnie. Włościanie czuli się otoczeni siecią intryg, rozciągniętą przez Michała, podejrzewali, mieli się na baczności i domniemane zamiary pana z Minowic uważali za czyhanie na ich dobro. Odgrażali się, że mu nie dadzą przystąpić, że go spalą, że kiedy on taki, to i oni potrafią pokazać, co umieją, że kiedy „Herszek" daje więcej, to Herszkowi sprzedać i kwita!

To znowu poczęła chodzić wieść, że do pana Iłowskiego przyszedł list... Jaki list, od kogo, skąd — nikt nie wiedział. Ale powtarzano sobie legendę o liście z pewną trwogą, przywiązaną do wszystkiego, na czem stoi podpis, z zabobonnością ludzi niepiśmiennych, z wiarą chłopską we wszystko, co trąci czemś niezwykłem i niejasnem.

— Niech pokaże list i niech całej gromadzie przeczyta pisarz Kociuchowski — wołał jeden z gospodarzy.

— A jużci! — odparł drugi — tego listu pewno już i śladu niema! Wielga rzec papierkowi kark skręcić!

Gumienny ze Stroczyna powtórzył Michałowi wiadomość o tym liście tajemniczym, który całą wieś doprowadzał do wzburzenia.

— Nic nie robią, jeno wciąż się naradzają, do karczmy ciągną i chłopi i baby... Tamtych lat to się najmowali do obróbki drzewa, cukier z fabryki odsta-

wiali do kolei, a teraz nikt o żadnej robocie nie ma pomyślenia.

Michała ogarniała bezsilna złość, nie mogąca doznać ulgi, którą daje wybuch gwałtowny. Nie było z kim walczyć. Czuł, że raczej pogarszał sprawę, przemawiając do włościan, gdyż im dawał przekonanie, że się boi ich i Herszka. Przytem słowa jego powtarzane z ust do ust przekształcały się. Wyrastały z nich dziwaczne bajki i posądzenia. Trzeba było założyć ręce i czekać. Michał czuł, że tu chyba można było zrobić coś intrygą i kłamstwem, zniżyć się do użycia przekupstwa i przebiegłości, ale tego nie umiał i nie mógł się nauczyć. Jak szczurowi truciznę, tak ludowi prawdę trzeba było dać utajoną w czemś nęcącem, coby mu ją przełknąć pozwoliło. Domyśleć się było łatwo, że w całej tej sprawie rozczyn fermentu zamieszany został zręczną ręką Herszka, ale jak go tu pociągnąć do odpowiedzialności? Jak go nawet zagadnąć, nie mając żadnych dowodów?

W połowie lutego zelektryzował Michała telegram dyrektora zakładu, w którym się znajdował Konrad: „Chory dostał gorączki. Proszę się nie ruszać z domu przed drugim telegramem.“ We dwa dni potem drugi telegram: „wielkie szczęście, skonstatowaliśmy tyfus. Nadzieja wyzdrowienia umysłowego. Nie przyjeżdżać.“

Michał począł żyć w gorączce. Chciał koniecznie jechać do Konrada, telegrafował bez końca, wreszcie dostał od lekarza zakładowego ostrzeżenie, że choćby przyjechał, nie zostałby dopuszczony do chorego. Nie było rady, Michał się niecierpliwił, tracił na nowo sen, który w ostatnich czasach powrócił mu był w części,

męczył się, wyczekiwał namiętnie wiadomości, prawie o swej dawnej boleści zapomniał, niepokojąc się o przyjaciela. Czuł, że on jeden na świecie mu pozostał. Tak, on jeden! Mógł mieć chwilę osłody, przekonawszy się o przywiązaniu pani Gozdawiny, ale jej nie kochał. Miał zaledwie dla niej życzliwość, gdy za Konradem tęsknił i czuł, że jego życie, na włosku wiszące, było nad wszystko droższe.

Po trzech tygodniach takiej męki, wśród której codziennie odbierane telegramy były wstrząśnieniami, poruszającemi do głębi, przyszła nareszcie depesza następującej treści: „Przy ustąpieniu gorączki powrót zupełnej przytomności. Nie przyjeżdżać. Chory potrzebuje spokoju absolutnego.“

Michał prawie wierzyć nie mógł. Więc zobaczy przyjaciela takim, jak dawniej, zobaczy go tym samym, pełnym oryginalności i nierówności, a obdarzonego takim wdziękiem! Napisał do niego na chybił trafił list pełen słów serdecznych, witający jego powrót do zdrowia. Odebrał odpowiedź lekarza: „Nie rozumiemy języka, nie możemy oddać listu.“

Znowu więc musiał się zadowalać telegramami. Aż dnia pewnego na kopercie listu poznał pismo Konrada. Rozerwał ją i czytał:

„Pozwalają mi pisać do ciebie. Wiem, żeś o mnie nie zapomniał, wiem, że serce twoje jest zawsze to samo, a i ja nie pamiętam, bym kiedy w życiu zaczynał list z takim porywem uczucia, jak to czynię w tej chwili. Jestem zdrów! Rozumiesz, jestem zdrów zupełnie! Osłabiony, mizerak, ale umysł mam jasny, jak śnieg Alp, które widzę z okna. Ja czułem, żem warjat, a teraz

czuję, żem zdrów, tylko się boję postradać znowu zmysły z samej obawy ich postradania. Śmierć? Zgoda na nią odrazu, ale tamto!... Pamiętaj, w łeb mi palnij, pamiętaj! jeżeli tamto wróci. Gdybyś mi to przyrzekł, gdybyś mi na to dał to swoje słowo silne i niewzruszone, jak opoka, byłbym zupełnie spokojny. Dlaczego ja nie mam takiego słowa, którego żadne pokuty, żadne tortury zmienić nie mogą? Zawsze ci tego jednego zazdrościłem i zazdroszczę dotąd. Michale, ja będę dziś do ciebie pisał, bardzo, bardzo długo, bo mam względem ciebie ogromne zaległości uczuć i myśli! Wszak prawie dwa lata nie mówiliśmy z sobą. Bo przecie ani moje dywagacje, ani twoje napomnienia i prośby nie były wcale rozmową normalną, taką, jakąśmy dawniej prowadzili. Teraz do tego wrócimy, jeżeli ty przyjmiesz napowrót tę duszę, która się przez półtora roku błąkała ponad strasznemi przepaściami, i w której huczały wichry wszystkich rozpaczy i wszystkich mąk. Czy ją to umocniło, czy też uczyniło jeszcze mniej odporną? Sam jeszcze tego nie wiem. Zdaje mi się, żem trochę podrósł moralnie, ale może się mylę. W jednem tylko się nie mylę, że cała moja nadzieja w tobie. Było tak oddawna, a dowód w tem, że kiedy ty się ode mnie odwróciłeś, bo myślą i duszą utonąłeś w swej boleści, wtedy wszystko się we mnie zachwiało. Ty byłeś podcięty, więc ja runąłem, jak gmach bez podwalin!

„Nie myślisz przecie, że ci będę opisywał życie moje tutaj. Nic ci nie powiem o plotkach, które chodzą po zakładzie, ani o zwyczajach lekarzy, infirmierów i służących tutejszych. A muszę do ciebie pisać, muszę

z tobą mówić, więc będę sobie głośno przypominał to, co sobie przypominam po cichu, będę mówił może bezładnie ale szczerze, a przynajmniej prawie zupełnie szczerze, bo szczerość absolutna jest niepodobna z powodu, iż w każdej duszy jest cząstka niemożliwa do oddania, której nie jest się w stanie uczynić zrozumiałą dla drugich, *l'incommunicable,* co się na polski język przełożyć nie daje. Moja dusza ma tego dużo, ma nawet takie strony, które są *incommunicables* dla mojego własnego rozumu. Mój Michale, czy ty pamiętasz, czem ja byłem, gdym cię po raz pierwszy zobaczył. Nie, ty tego nie pamiętasz, a jednak poznanie ciebie było epoką w mojem życiu. Jużem był słyszał o tobie poprzednio i śmiałem się, gdy mi mówiono o tobie, jako o młodzieńcu wyjątkowym, którego jedni uwielbiali, na którego inni się zżymali, a dla którego nikt nie miał uczuć obojętnych. Nie znając cię, byłem zazdrosny i przygotowałem w mej duszy dla ciebie krytykę. Byłem pewien, że potrafię strącić cię z piedestału, na którym cię stawiano. Gniewało mię, że przy mnie, który nic nie robiłem, który byłem zupełnie zwichniętym, mówiono o innym studencie z uznaniem. Nie znając cię, miałem żal do ciebie, teraz dopiero ci to wyznaję. Przedstawiono nas sobie na balu u Korczaków, i pierwsze zaraz spojrzenie na ciebie zastanowiło mnie. Nieprawdą jest, że nagłe uczucia, powstałe zaraz przy pierwszem spojrzeniu, rodzą się tylko między ludźmi różnej płci. Rzeczy mają się zupełnie tak samo z przyjaźnią, jak z miłością. Ja odrazu poczułem, że ty będziesz czemś w mem życiu. Tańczylismy obaj z zapałem, i głos twój usłyszałem dopiero, gdyśmy się znaleźli

w pokoju gospodarza domu, gdzie wolno było palić. Rozmawiałeś z Podberskim, który cię zapytał, dlaczego od tak dawna nie byłeś u Zawińskich. Na to proste zapytanie twarz twoja zmieniła się, głos przybrał ten ton głęboki, który mnie zawsze zastanawia, policzek zadrgał ci, jak się to dzieje, ile razy mówisz ze wzruszeniem, i ozwałeś się żywo: „Ja tam nie mogę bywać!“ „Dlaczego?“ zapytał Podberski. „Bo mi tam między tymi suchotnikami skazanymi nieodwołalnie i przy tym chłopcu kalekim taki wstyd, żem zdrów, silny, taki mi wstyd mojego dobrego apetytu, mojego snu, że po prostu pod ziemiębym się chciał schować. Gdybym im był potrzebny, chodziłbym tam niezawodnie, ale im przecie nie brak ludzi, towarzystwa, przyjaciół. Zabawa tam zawsze doskonała, więc mi wolno uciekać od tego nieznośnego uczucia, które mnie tam ogarnia.“ W twojem odezwaniu się odczułem bunt szlachetnej duszy przeciwko nierówności przeznaczeń ludzkich, odczułem to coś, co mnie potem zawsze przenikało od stóp do głów wobec ciebie. Po skończonym balu w oczach i pamięci zostałeś mi ty. Nie Anusia Ordecka, przed którą pozowałem na miłość, ale ty! Szukałem cię potem, a jednocześnie bałem się ciebie, bom wiedział już wtedy, że, jeżeli cię spotykać będę, to muszę być przyciągnięty przez ciebie, jak przyciąganem jest żelazo przez siłę magnesu. Los chciał, że cię spotkałem znowu i odtąd, pomimo paroksyzmów chłodu, pomimo twojej szorstkości, pomimo moich wybryków, czułem dla ciebie... Co ja dla ciebie czułem? Nie przyjaźń zwykłą, coś jeszcze innego. Wszak miałem więcej przyjaciół! Czułem potrzebę zasłużenia na twój szacunek, czu-

łem potrzebę zwrócenia twej uwagi, czułem w sobie coś służalczego względem ciebie, coś, co można nazwać uczuciami podwładnego względem władcy. Takie uczucia musi mieć księżyc względem ziemi i ziemia względem słońca. Począłem się uczyć chodzić na wykłady, zmieniłem życie próżniacze jedynie dla tego, byś ty mi dał swój szacunek. Odczułem na sobie wyraźnie tę siłę, która jest w tobie, i to coś niezwykłego, co ludzi wobec ciebie zastanawia. Wszak ja czasem drżałem przed tobą, jak oskarżony przed sędzią. Więcej! Kochałem cię i drżałem, jak wyznawca przed panem. Ten wpływ, który ty miałeś na kolegów, skupił się na mnie, jak ognisko wypukłego szkła. Pociągnąłeś mnie, jak jakiś atom lżejszy, który musi lecieć za porywającą go siłą. Potrzebowałem twego uznania tak, jak płuca potrzebują powietrza. Twoja sankcja była mi miarodajna we wszystkiem. Zapałałem naprzykład chwilowym pociągiem, takim ogniem słomianym do tej pięknej i bezmyślnej Emilki, alem potrzebował, byś ty mi ją pochwalił. Tyś powiedział: „Piękna twarz, ale bez wyrazu. Niema w niej duszy, niema indywidualności, niema inteligencji“, i nagle Emilka zbrzydła i stała mi się pospolitością. Tak było we wszystkiem. Bez twojej sankcji nie czułem prawa włożenia w cobądź serca, uwielbienia, nienawiści, pogardy... Czy to było przywiązanie? Nie wiem. To było coś więcej. Bo może ja cię nawet nie kochałem, tylko czułem jakąś cześć i jakąś dziwną pokorę. Potem ty mnie pokochałeś. Pokochałeś mnie bardzo i silnie, bo ty nie umiesz inaczej. Zresztą musiało się to stać, bo zbawca kocha zawsze tego, kogo zbawił, i podejrzewam, że anioł stróż kocha silniej

duszę, nad którą ma pieczę, niżeli jest przez tę duszę kochany. Więc pokochałeś mnie, zbliżyłeś mnie do siebie, i bywały chwile w których czułem się tobie równy. Ale nie sądź, żem kiedykolwiek przestał być dumnym z twojej przyjaźni. Jestem trochę pyszałkiem, ale nigdy z niczego się tak nie pyszniłem, jak z tego przywiązania wyłącznego, które w tobie wzbudziłem. Gdym mówił: „mój przyjaciel Michał Iłowski“ z uczuciem, że mam prawo nazwać cię przyjacielem, duma rozpierała mi piersi. Rozumiem, że legitymista może czuć taką dumę, gdy jego król przyjacielem swoim go nazwie.

„Tak mi te wszystkie obrazy naszej przeszłości stoją tu przed oczami, iż myślę, że okres warjacji uderzył w spokojne fale mej pamięci, jak kamień, rzucony w wodę, z głębi której, przy uderzeniu, podnoszą się spokojnie leżące osady. Widzę cię w różnych momentach życia... O, nie zapomniałem niczego, nawet wyrazu twej twarzy, gdy z boku dowiedziawszy się, że mam długi, przyszedłeś mię zapytać, czy to prawda. Wyznaję ci dziś, że pierwszą moją myślą było wprowadzenie cię w błąd, bo mi było wstyd wyznać ci, że długi te zaciągnąłem na karty, żem oszukiwał moich rodziców... zresztą wiesz wszystko, bom na szczęście nie uległ pokusie popełnienia kłamstwa. Jakaś dobroczynna siła popchnęła mię do ufności, zaś z twoich oczu wyglądała taka wyrozumiałość, dobroć... Wyciągnąłeś mię z błota, zapłaciłeś moje długi, dałeś mi wiarę w samego siebie. Tak potrzebowałem żyć przy tobie, wsparty o twoje ramię, że, gdy po śmierci ojca odziedziczyłem kapitał, wystarczający na kupno majątku ziemskiego,

szukałem czegoś bliskiego Minowic i kupiłem Stroczyn.

„A czy pamiętasz?.. Nie, to już nie wspomnienie, ale jawa! Zdaje mi się, że to było wczoraj, że to wszystko widzę i przeżywam na nowo... Pamiętasz, jak ja się kochałem w pani Ręskiej i szedłem w ten płomień, jak idzie ćma do lampy... I ona mię kochała, a ty stanąłeś między nami i zabroniłeś mi...

List był w tem miejscu urwany. U spodu znajdował się dopisek francuski ręką lekarza dodany:

„Pozwoliłem panu Turzańskiemu pisać do pana, ale to go widocznie zmęczyło, bo go znalazłem zemdlonym. Muszę więc zabronić mu wszelkich korespondencji i wysyłam pod adresem pana list niedokończony. Chory osłabiony bardzo, ale zdrów umysłowo zupełnie i to, jak jestem pewien, na całe życie. Sądzę, że za kilka tygodni będę mógł prosić pana o przybycie dla zabrania naszego pacjenta do kraju i domu, do których tęskni".

Helusia, umieszczona w Warszawie u dalekich krewnych, uczyła się prywatnie wraz z czterema innemi dziewczynkami swego wieku. Była zapracowana i przeciążona, ale dzięki niezwykłym zdolnościom i zdrowiu, którego nawet najniewłaściwszy tryb życia podkopać nie mógł, wśród anemicznych i bladych towarzyszek wyglądała, jak czerstwe i silne dziecię wsi. Nauka nie męczyła jej, a godziny spędzane przy fortepianie zawsze zbyt krótkie jej się wydawały. Wesołość wrodzona, ożywiająca, jakby promieniem słonecznym wszystko

w koło niej, broniła ją od zbyt wczesnej utraty dziecinnych wyobrażeń, a może także od zawrócenia sobie głowy własną pięknością, zwracającą wszędzie uwagę i ciągnącą za sobą zachwycone spojrzenia. Ludzie obcy zdawali się mieć za zadanie obudzenie kokieterji i próżności dziewczęcia, ale zdrowa, naiwna, wesoła natura miała w sobie odporność, której nie zdołały naruszyć trujące wpływy stolicy. Dziecięca swoboda Helusi w inny wszakże sposób zachwianą została.

Na godziny lekcyj zbiorowych odprowadzaną bywała przez kogoś z domowników, gdyż było życzeniem pani Gozdawiny, by Helusia nie wychodziła nigdy na ulicę sama. Pewnego dnia służąca odprowadzała ją do domu. Wstępowały po schodach, gdy się za nimi dał słyszeć odgłos szybkich, cichych kroków i dziecięcego łkania. Helusia odwróciła głowę, służąca zaś Julka, zawołała ze zdumieniem w głosie:

— Staś? A tobie co się stało?

— Niech mię pani schowa! — wyszeptało dziecko błagalnie. — Niech mię pani schowa!

Było to maleństwo drobne, blade, mizerne, jakby zwiędłe przed czasem. Z oczu jego wyglądał taki strach, takie przerażenie, taka jakaś rozpaczliwa trwoga, że serce Helusi zabiło litością. Biedactwo czepiało się sukni Julki, zdawało się pozbawione przytomności.

Jakieś kroki, jakieś szorstkie głosy dały się słyszeć, dziecko zatrzęsło się, jakby w febrze. Julka stanęła przy ścianie, szybkim ruchem wskazała Helusi miejsce obok siebie, za kark, jak kociaka, pociągnęła chłopca, którego ukryła między sobą, a Helusią. Dziecko zwinęło się w kłębek, przysiadło na ziemi i Helusia

poczuła u swoich nóg jakieś ciało trzęsące się, od którego ją samą przeniknął dreszcz grozy. Nie zdawała sobie wcale sprawy z rodzaju niebezpieczeństwa, grożącego dziecku, tylko cierpienie tej istoty trzęsącej się u jej kolan dawało jej przeczucie jakichś nędz nieznanych, jakichś istnień skazanych na cierpienie.

Ciężkie kroki zbliżyły się, ukazał się stróż, ogromny drab, trzymający w rygorze wszystkich mieszkańców domu, a za nim kucharz państwa Łańskich, u których mieszkała Helusia, człowiek dobry w gruncie, lecz szalenie popędliwy, grożący czasem nożem, gdy był niezupełnie trzeźwy.

— Poleciał tu chłopak? — zapytał stróż.

— Staś? Juźci poleciał, jak oparzony — odparła Julka.

— A to złodziejskie plemię! Popamięta on dzień dzisiejszy!

U nóg Helusi dygotanie drobnego ciała się zwiększyło, piersi dziecka poczęły dyszeć śpieszniej. Dziewczyna z całej duszy czuła się wspólniczką oskarżonego. Przejęła ją obawa, by oddech dziecka przez szukających usłyszanym nie został. Nie dochodziła, po czyjej stronie leżała sprawiedliwość, wiedziała tylko, że chłopiec był słaby i mały, a znęcać się nad nim zamierzało dwóch ludzi szorstkich i gniewnych. Ach, żeby się udało ukryć go, uratować!

Julka wyciągnęła za odchodzącymi ręce, skrobiąc marchewkę, a gdy zniknęli na zakręcie schodów, wzięła znowu chłopca za kołnierz starego paltocika, zmusiła go do wyprostowania się i w milczeniu poczęła z nim schodzić na dół. Helusia szła za nimi, nie zdając sobie

sprawy z całego wydarzenia, zahypnotyzowana tą niedolą dziecięcą, która w tej chwili zasłoniła przed jej oczami wszystkie inne względy. Chłopiec szedł przytulony do Julki, czepiający się jej sukni, podnosząc co chwila oczy wymowne, pełne przerażenia i błagania. Od czasu do czasu z piersi jego wyrywało się jakieś ciche echo wielkiego łkania, które widocznie piersi te przepełniało i wstrzymywane było tylko nadludzkiemi wysiłkami.

— No, teraz leć do matki! — rzekła Julka, gdy się znalezli na dziedzińcu.

Chłopiec mocniej drżeć począł, usta jego wykrzywiły się do płaczu, wzrok jego stał się bezprzytomnym i dzikim.

— Odprowadzimy go! — rzekła Helusia.

Chłopiec rzucił się ku niej z wdzięcznością.

— Oni mię dogonią! Oni mię zabiją! — szepnęły jego zwiędłe usta.

— O, będzie tam panienka po suterynach chodzić! — ozwała się szorstko Julka.

— Prowadź mię! — rzekła Helusia do dziecka, biorąc jego brudną rękę.

Z oczu malca znikło przerażenie. Biegł śpiesznie, ciągnąc za sobą Helusię. Za nimi szła Julka, gderając i narzekając.

Suteryna, do której za dzieckiem weszła Helusia, była zupełnie pozbawiona światła dziennego. Posiadała niegdyś okno, lecz teraz, wskutek postawienia nowego domu, okno to stało się ociemniałe, jak oko bez źrenicy. Na stoliku paliła się lampka bez szkła, kopcąca i napełniająca izdebkę dymem i brudem. Ściany w niej

były czarne, zarówno jak sprzęty i pościel. Zimne, wilgotne powietrze i zapach dymu naftowego uderzyły wchodzących.

Z kąta, gdzie na kulawem krześle siedziała jakaś skulona kobieta, słychać było przeraźliwy świst ludzkich piersi, którym brak było oddechu. Zdawało się, że to było konanie, po którem wszystko ucichnie na zawsze. Helusia bez namysłu podbiegła do chorej, mówiąc śpiesznie:

— Może wam podać wody? Julko, tu trzeba doktora!

— To astma, proszę pani — ozwał się chłopiec.— Chodziliśmy już do doktora... to tak podusi, podusi człowieka i potem przejdzie.

Podniosły się ku Helusi oczy chorej krwią nabiegłe, wyglądające strasznie wśród wychudzonej twarzy; wyciągnęły się ręce podobne do szponów, sine od choroby i dymu kopcącej lampki, ale usta nie przemówiły. Wydobywały się z nich tylko dźwięki nieludzkie, przejmujące grozą, podobne chwilami do zawodzenia wiatru. Przytem we wzroku wyraz śmiertelnej trwogi, jak u człowieka duszonego za gardło.

— Julko, pójdziemy zaraz po doktora! — zawołała Helusia. — I... tu trzeba zapalić! W takim zimnie i wilgoci!..

— Niech pani tylko nikomu nie powie, że ja tu jestem! — błagał chłopiec.

Stanowczą dla Helusi stała się chwila zetknięcia się z nędzą, która zamykała rodzinę w mieszkaniu podobnem do najstraszniejszego średniowiecznego więzienia, która sprowadziła ciężką chorobę na matkę,

a syna popychała do kradzieży węgla w piwnicy, gdy służący nosili go na pierwsze piętro. Przed wesołem dzieckiem, widzącem dotąd wszędzie radość i uśmiechy życia, stanęło nagle widmo wielkiego cierpienia ludzkiego, kryjącego się wstydliwie przed okiem szczęśliwych. Odtąd zobojętniały dla Helusi sprawy ludzi, mieszkających w wygodzie i cieple, ubierających się czysto i wykwintnie, a myśl obracała się bez ustanku wśród tego świata, któremu w lecie jest zbyt gorąco, który w zimie drży od zimna, a rok okrągły łaknie, w którym choroba ojca sprowadza głód dla całej rodziny, w którym rekonwalescenci muszą pracować, jak zdrowi.

Śpiewająca dotąd, jak ptak, dziewczyna poczęła miewać w zamyślonych oczach wyraz powagi i smutku. Wszedłszy w stosunki z jedną ubogą rodziną, stosunki te rozszerzyła do innych. Wiedziała teraz, jak wyglądają ludzie, dla których niekiedy dzienniki otwierają rubrykę składek; potrafiła zawrzeć znajomość z panią Zawłocką, która życie wkładała w dobre uczynki. Helusia oddawała ubogim całą pensję miesięczną, przeznaczoną jej przez babkę na przyjemności, namawiała koleżanki do składek, nareszcie powzięła wielki zamiar, który ją napełnił cichem szczęściem. Postanowiła zostać siostrą miłosierdzia. Zwierzyła się z tem koleżance, która w sekrecie powiedziała to innym. Wiedziano już teraz po trosze, że przecudną głowę Helusi miał kiedyś okryć olbrzymi biały kapelusz pomysłu Ś-go Wincentego a Paulo. Wiadomość ta przedostała się też do państwa Łańskich, którzy się śmiali, biorąc postanowienia Helusi za jedną z tych przelotnych fantazyj,

które się często czepiają młodych głów. Helusia zaś czuła się powołaną w całej szczerości swego gorącego serca i nosiła w duszy zamiar swój czysty i niedotknięty żadnem zwątpieniem. Jak inne kobiety widzą w marzeniu galerję strojów, kosztowności, ekwipażów, balów, tak ona widziała twarze i postacie ubogich i chorych, których potrzeby zaspokoić pragnęła. Wyobraźnia podsuwała jej tysiące projektów, mających na celu zaradzenie nędzy ludzkiej, a młode siły rwały się do czynu. Życie nabrało dla niej nowego znaczenia.

Żałowała, że się zwierzyła niedyskretnej koleżance, gdyż czuła, że pani Gozdawina z jej ust własnych a nie z boku powinna była dowiedzieć się prawdy. Usiłowała naprawić to, co się stało, zachowując milczenie co do swego postanowienia. Powoli przestano o niem mówić, a koleżanki orzekły, że Helusia pewno tak samo pójdzie za mąż, jak inne.

Mówiono często o mężu w tem gronie dorastających dziewcząt. Był to temat szczególniej ulubiony przez Marynię Rustecką, która chciała iść za wielkiego podróżnika i objechać z nim świat cały. Helenka Marewiczówna, córka adwokata, która wieś znała tylko z letnisk warszawskich, chciała koniecznie mieszkać na wsi i miała zamiar znaleźć sobie obywatela ziemskiego, Anielka Rzewulska życzyła sobie posiąść serce miljonera. Do szczęścia potrzebowała zbytku i używania.

— A ty, Helusiu, za kogobyś poszła?

Helusia przed oczami wyobraźni mająca twarz nieszczęśliwego, który pracował ciężko, choć do pracy nie miał siły, uśmiechnęła się.

— Ja? Doprawdy nie wiem! Poszłabym za takiego biedaka, któryby nie miał nic i nikogo, i dla którego byłabym ratunkiem i zbawieniem.

— O, to ty sobie najpierwsza z nas wszystkich znajdziesz męża! — zawołała Marynia.

Ostatnich dni czerwca pani Gozdawina wybierała się do Warszawy po Helusię, chciała wszakże przedtem zasięgnąć rady zięcia. Rozmawiała już z nim teraz o sprawach domowych i choć postanowienia jej bywały zwykle wyraźne i nieodwołalne, jednak brała go ona często za świadka tego, co uczynić zamierzała, a to z zasady naprzód powziętej, że go koniecznie do życia rodzinnego wciągać było trzeba. Opowiadała mu nawet o tem, że Stenieczka z koszulek wyrosła i trzeba było pomyśleć o nowych. Oznajmiła mu więc, że musi jechać po Helusię... W Warszawie były różne sprawy do załatwienia...

— Szczególniej chodzi mi o muzykę Helusi. Przy innych lekcjach ma mało czasu do pracy nad nią, muszę więc rozmówić się z Rulewiczem, który utrzymuje, że Helusia urodziła się artystką. Możeby jej wziąć na wakacje jaką pannę z konserwatorjum lub... może nawet sam Rulewicz... Przez dwa miesiące wakacji Helusię bardzoby w muzyce popchnąć było można. Będę więc w Warszawie może dni parę. Zostawiam Stenieczkę z niańką i pod opieką Michaliny, ale się boję. W lecie dzieci najłatwiej się zaziębiają. Gdybyś ty chciał zapytać się czasem o dziecko... Żeby po zachodzie słońca na dworze jej nie trzymały...

— Będę się starał nie zapomnieć o tem. Ale co do muzyki Helusi... Pamiętam, czem były dla mnie wakacje... Otóż mój ojciec zawsze chciał, żebym się nie rozprożnował, żeby z wakacji przybyła mi jaka korzyść i wiecznie przywoził ze mną jakichś korepetytorów, jakichś nauczycieli Francuzów, Anglików... jakiegoś starego profesora, który Iliadę umiał na pamięć... Ci ludzie mię zamęczali! Marzeniem mojem było mieć jedne wakacje zupełnie swobodne! Niech mama dla Helusi nie przywozi nikogo. Ma swoją pannę Berton do spacerów... Niech sobie gra sama ile chce... Potem, gdy dorośnie i wróci do domu, to co innego, ale teraz zostawmy jej swobodę zupełną!

— Ma już lat piętnaście — zaoponowała pani Gozdawina.

— Tembardziej. To dla dziewcząt pora bladaczek... W Warszawie obarczona lekcjami, jak teraz wszystkie panny...

Pani Gozdawina zmarszczyła czoło, zamyśliła się przez chwilę, potem odrzekła stanowczo:

— Dobrze, zostawię Helusi zupełną swobodę.

Była innego zdania i nie zmieniła go bynajmniej, ale rozum nakazał jej ustąpić tym razem zięciowi. Pierwszy raz okazał zainteresowanie się czemkolwiek, pierwszy raz pomyślał o Helusi, nie należało więc go zrażać. Niech do zajmowania się życiem, które go otacza, zachęci go to, że jego głos w radzie lekceważonym nie był. Niech się czuje dobroczyńcą Helusi i stróżem jej swobody.

W kilka dni potem pani Gozdawina przywiozła Helusię do Minowic. Dziewczynka była znowu w swo-

im raju i zaraz poczęła ze wszystkimi i wszystkiem się witać, wszystkiem się radować. Było jej zaraz pełno wszędzie: w stajni, gdzie ucałowała wierzchowca swego, przy budzie psów, które szczekały z radości i usiłowały zerwać łańcuchy, w altanie lipowej, gdzie Stenieczka miała usypany kopiec piasku do zabawy. Stenieczka odrazu poczuła zaufanie do Helusi i pozwoliła się całować bez końca łakomej siostrzyczce, która się nią nacieszyć nie mogła.

Ach, nareszcie była w Minowicach, o których tyle opowiadała koleżankom, do których tęskniła i które tak bardzo kochała. Wiedziała już od babki, komu zawdzięczała stan zupełnej bezobowiązkowości. Sama pragnęła mieć przez wakacje nauczycielkę muzyki, lecz niemniej była wdzięczną wujowi. Więc on o niej coś wiedział? Więc on o niej myślał? Pragnęła z całej duszy mieć siłę okazania mu swoich uczuć, pragnęła znaleźć odwagę uściskania go. Wiedziała, że na słowa żadne się nie zdobędzie, to już przechodziło miarę jej śmiałości, ale marzyła o takiej zuchwałej dzielności, którąby jej pozwoliła podbiec ku niemu i zarzucić mu ręce na szyję. Przypominała sobie, że niegdyś, za życia ciotki, była z tym wujem w doskonałej harmonji, że z nią robił młynka, że z nią tańczył, przyczem często nie mogła się ustrzec całkowitego uniesienia w powietrze. Lecz teraz, gdy on był taki nieszczęśliwy... Ale sprobuje, wybiegnie na jego spotkanie i bez namysłu rzuci mu się na szyję.

Nic nie pomogły przygotowania. Helusia na odgłos dzwonka, wzywającego na wieczorną herbatę, przybiegła śpiesznie i w jadalnym pokoju stanęła za swojem

krzesłem. Serce jej biło z niepokoju, który dostrzegłszy w sobie bardziej jeszcze się zmieszała; a gdy wszedł Michał i gdy na niego wzrok podniosła, doznała zupełnego bezwładu woli. Niezdolna była ruszyć się z miejsca. Surowy i zamyślony, jakby z innego przybywał świata, uczynił znowu na niej to wrażenie bolesne i przejmujące, którego na jego widok doznawała. Znowu ją porwało niezmierne pragnienie niesienia mu pomocy, przeradzające się w ból pod wpływem tego uczucia niemocy, które ją obezwładniało. Możeby mu było przyjemnie doznać od niej dowodu przywiązania? Temu człowiekowi było zimno w domu! Babka składała czasem na jego czole sztywny pocałunek, Stenieczka go nie lubiła... On może cierpiał od tego chłodu, który go otaczał?.. I znowu stanął przed nią obraz własnej osoby, biegnącej ku Michałowi i zarzucającej mu ręce na szyję... Czemu ona tego uczynić nie mogła? Czemu stała, jak skamieniała?

Michał ozwał się:

— Jak się masz, Helusiu?

Wtedy ona zbliżyła się do niego nieśmiało i sztywnie schyliła się do jego ręki, którą on umknął jej ustom.

— Jak się masz? — powtórzył.

Usiadła na swojem miejscu, cała drżąca od tego niedokonanego zamiaru i z sercem krwawiącem się w dziecięcej piersi. Podniosła ku niemu swoje piękne oczy, wyrażające wszystkie uczucia duszy, pragnącej go ratować, ale on wcale nie dostrzegł jej spojrzenia.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, gdy nagle drzwi od kredensu, źle zamknięte, otworzyły się popchnięte

z zewnątrz i dwa psy podwórzowe, widocznie tylko co spuszczone z łańcucha, wpadły do pokoju niespodzianie. Ślizgając się po posadzce, zdołały dopaść Helusi, z którą utworzyły obraz wymowny. Zaszedłszy z dwóch stron, oba naraz położyły łapy na jej kolanach i, patrząc jej radośnie w oczy, krótkiem szczekaniem oświadczały jej miłość swoją.

Helusia z powodu obecności wuja zmieszała się niezmiernie. Wstała, wołając na psy, które skakały na nią i o mało jej nie przewróciły.

Michał spojrzał, a po jego surowej twarzy przebiegł uśmiech.

— Takeś rozpieściła te psy — rzekła pani Gozdawina, — że warjują z radości, gdy cię zobaczą. Nie można dawać im wstępu do pokoju. Podczas deszczu mają brudne łapy, a potem nie można się doczyścić posadzek i dywanów! Wiedziały, gdzie cię szukać!

Wyprowadziwszy psy, Helusia wróciła na swoje miejsce. Miała spuszczone oczy i była bardzo zaniepokojona myślą, że to wtargnięcie przyjaciół podwórzowych mogło się wujowi nie podobać. Obawa jego niezadowolenia sprawiła, że podniosła nagle powieki i oczy jej spotkały się z jego wzrokiem, w którym była dobroć i jakby odrobina wesela.

Ale naraz coś dziwnego zaszło w wyrazie jego twarzy. Policzek jego zadrgał, oczy nabiegły łzami. Wydało się nieszczęśliwemu, że spojrzały na niego oczy Stefanji. Wzruszenia swego nagłego i wstrząsającego do głębi nie mógł opanować, wstał więc od stołu, co obecnych zadziwiło i przeraziło. Patrzyli na siebie zaniepokojeni, a Helusia bliska była płaczu.

Michał nie wrócił i dnia tego zwykłego życzenia dobrej nocy matce swej żony nie złożył. Bezwiednie, jak przez sen, szedł ku cmentarzowi, jakgdyby to spojrzenie zmarłej, które poczuł aż w głębi duszy, wiodło go ku mogile. Księżyc wychodził z za brzegów widnokręgu, jak miedziana kula. Wydawał się ciężkim w przytłaczającem parnością powietrzu. Michał szedł powoli, nie zdając sobie sprawy z tego, co go otaczało, jak lunatyk omijając przeszkody, choć ich ani widział ani uważał. Na grobie nieodżałowanej poczuł się spokojniejszym. Owionął go zapach róż, które znowu kwitnąć zaczynały, urwał nawet jedną z nich i listki rozsypał na mogile. Przy tej czynności spostrzegł, że znowu zawitał tu przeszłoroczny wieniec z bławatów. W blaskach księżyca widział raczej kształt, niż kolor kwiatów. W duchu uczynił sobie wyrzut, że to jakaś obca ręka ulubione kwiaty przynosiła Stefanji, on zaś nie pomyślał o tem.

Chodził wśród grobów, snując najczarniejsze myśli i tęskniąc do spoczynku, który już osiągnęli mieszkańcy tego miejsca. Nie uważał, że wał chmur się podnosił na horyzoncie i że już, biegnąc naprzód, lżejsze obłoki, jakby poszarpane płachty, przesłaniały księżyc. Opamiętał się dopiero, gdy niespodzianie, jak zwierzę, rzucające się na zdobycz, szalony wiatr przysłał swój pierwszy, podnoszący tumany kurzu, podmuch. Michał zwrócił swe kroki ku domowi, lecz zaledwo znalazł się na drodze, poczuł grube, ciepłe krople deszczu na twarzy. Wiatr był tak silny, że z trudnością utrzymać się na nogach było można, oczy zasypał piasek, zaryczał grzmot i wreszcie wszczęła się ulewa. Zrobiło się zu-

pełnie ciemno, droga oślizgła w jednej chwili i w mgnieniu oka Michał przemókł do nitki. Powoli i z trudnością posuwał się po drodze, na której nawet orjentować się łatwo nie było. Bijący w oczy deszcz wytrzeźwił go zupełnie z paroksyzmu bolesnego marzycielstwa. Walczył z wiatrem i ulewą, z wysiłkiem podnosił nogi w butach obłoconych... Ale w sercu było mu lżej. To zewnętrzne borykanie się z szaloną burzą i chęć stawienia jej czoła miały w sobie coś orzeźwiającego. W ostatnich czasach tyle razy czuł się starym, że teraz doznał nieświadomej siebie rozkoszy przy walce z żywiołami, w której poczuł młodzieńczą pogardę dla niebezpieczeństwa i przeszkód. Co tam burza, zmoknięcie, spacer wśród bijących piorunów, gdy pomimo tego człowiek ma siłę dojść do celu!

Tych jego uczuć nie domyślano się w domu. Lokaj przybiegł z trwogą do pani Gozdawiny, oznajmiając, że pan wyszedł i nie wrócił i że go gdzieś, na drodze zapewne, spotkała ta straszna burza. Pani Gozdawina w tej chwili zarządziła ratunek i Michał idący wśród huku gromów, świstu wichru, ulewy i ciemności usłyszał jednak jakieś wołanie i rozpoznał migające światło kilku latarni. Zawołał ze swej strony i wkrótce znalazł się na bryczce, którą otaczało kilku konnych z latarniami.

Gdy Michał wyskoczywszy z bryczki przed gankiem w Minowicach wstępował po schodach, ujrzał drzwi sieni otwarte, z wysiłkiem przytrzymywane, by niemi wiatr nie rzucał i do drzwi przytuloną postać dziewczynki w jasnej sukni, szarpanej przez szturmującą do domu burzę, ujrzał jasne włosy rozwiewane wkoło

głowy przez wicher. Wszedł, dziewczynka znikła. Zamknął drzwi za sobą i rozejrzał się. Gdzie się to dziecko podziać mogło? Nie widział żadnych drzwi otwierających się... Zajrzał za stojące w sieni długie szaragi, na których wisiały płaszcze i okrycia. Stała tam Helusia zarumieniona, zmieszana, iż na gorącym uczynku złapaną została. Czarna frendzla rzęs ocieniała jej policzki, aureola zwichrzonych włosów otaczała jej czoło.

Michał popatrzał na nią i poszedł ku swojemu mieszkaniu.

Nazajutrz Helusia była bardziej jeszcze nieśmiała, niż zwykle. Wiedziała, że ludzie, szukający Michała wśród burzy, znaleźli go na drodze, prowadzącej do cmentarza, i przekonanie o niedoli wuja, o strasznem osamotnieniu jego serca, przygniatało wprost dziewczynkę. Przytem co on sobie pomyślał o tem jej ukrywaniu się za szaragami, gdy wchodził zmokły i zmęczony do domu? Nie śmiała już nawet oczu na niego podnieść. Za to on, smutnym, powoli po przedmiotach przesuwającym się wzrokiem, często w jej stronę spoglądał. Od wczoraj, od owego spojrzenia Helusi tak podobnego do innego, niezapomnianego spojrzenia, Michał czuł do tej twarzy dziewczęcej pociąg dziwny, bolesny a nieprzeparty. Odkrywał z bólem i rozkoszą zarazem coraz nowe podobieństwo, które ciągnęło jego oczy magnetycznie. Czy to było tak wielkie podobieństwo rysów? Nie; tylko oczy były podobne, kształtem. Inne rysy przypominały ją jedynie wyrazem, i właśnie to podchwytywanie wyrazu, ruchów, uśmiechu, stało się dla Michała jakąś drażniącą i bolesną rozkoszą. Helusia dostrzegła ten wzrok smutny, zatrzymujący się

na niej co chwila, i nie wiedziała, czy wuj spogląda przypadkiem i niechcący, czy też myśli jeszcze o jej wczorajszym, niedarowanym postępku, którego pewno nie zrozumiał. Może myślał, że do drzwi wchodowych pociągnęła ją zwyczajna, głupia ciekawość? To przypuszczenie zabolało Helusię. Pod wzrokiem Michała zmieszała się znowu, jej powieki zadrżały. Michał zapytał też siebie, co było Helusi. Czy dziecko to doznało w jego domu jakiej przykrości? Chciałby był zażądać rachunku od otaczających. Zawsze go oburzała każda niesprawiedliwość; może Helusia doświadczyła jej tu od kogo? Obiecywał sobie przyjrzeć się bliżej stosunkom. Taka piętnastoletnia dziewczynka musiała już mieć swoją indywidualność, którą może lekceważono, po której może deptano? Miłość własna w tym wieku bywa bardzo tkliwa. Może ją zadraśnięto w Helusi?

W parę dni później doszedł, dlaczego równo z jej przybyciem wieniec z bławatów, codzień świeży, zjawiał się na grobie Stefanji. Przechodząc przez ogród, ujrzał Helusię siedzącą na trawie i wijącą wieniec. Nad nią stała Francuska, trzepiąca coś tak prędko i tak głośno, że obie ani go spostrzegły, ani kroków jego nie usłyszały.

Odtąd Helusia mocniej go interesować zaczęła, a przez nią i Stenieczka. Wdzięk małej przedostawał się do jego uwagi. Czasem wśród samotności przychodziła mu nagle myśl zajrzenia do altany lipowej, gdzie było królestwo Stenieczki, gdzie do taczek nakładała piasek łopatką, gdzie go równała grabiami, gdzie Helusia otaczała dziecko tą opieką, którą dziewczynki w jej wieku nad młodszem rodzeństwem rozciągać umieją. Był to dla Michała świat zupełnie nowy. Poczynał on

pociągać jego zbolałe serce; i pewnego razu, gdy Stenieczka w nocy przestraszyła babkę chrypliwym kaszlem, a ruch w domu z powodu przybywającego lekarza pobudził wszystkich, Michał wszedł do pokoju dziecinnego i, usłyszawszy kaszel straszny i charakterystyczny, poczuł, że trwoga przebiegła mu dreszczem całe ciało, i że on dziecko swoje kochał. Zbliżył się do Stenieczki i po raz pierwszy zapragnął wziąć ją na ręce. Ale dziecko odwróciło się z płaczem.

Od tej chwill począł się starać o względy Stenieczki i bardzo łatwo je pozyskał. Pewnego dnia, gdy ich pani Gozdawina podpatrzyła robiących babki z piasku, poczuła, że jej zięć był uratowany. Życie wciągało go w swój deptak, wciągało serce, broniące się od nowych uczuć, w przekonaniu, że grób ukochanej miał mu wystarczyć na zawsze i być najwyższą miłością jego życia.

Pani Gozdawina oddaliła się z uśmiechem. Stenieczka czekała długo na względy ojca, ale teraz sprawa była wygrana. Ach, tak żywi zabierali wszystko umarłym, nawet pamięć, która zrazu czuła się wieczną!

Za sercem, jak zwykle, szła pomoc rozumowania, naciągana przez nie i przykrawana do siły uczucia. Michał uznał, że nie żal do Stenieczki mieć należało, ale wdzięczność raczej, że została przy nim jako cząstka ukochanej. Nie ona matkę zabiła, lecz zapewne jakaś nieostrożność pielęgniarki lub lekarza. Stenieczka była tylko jednym węzłem więcej, łączącym go ze zmarłą i dlatego była skarbem najdroższym. Wesołość wszelka drażniła i bolała Michała, tylko wesołość Steniecz-

ki wydawała mu się miłą i naturalną. Kwiaty musiały kwitnąć, ptaki śpiewać, a dzieci się radować. Już teraz i Helusia miała odwagę śmiać się przy nim. O, ten uśmiech był żywcem zdjęty z ust Stefanji! Z początku przenikał on Michała, jak ostrze obrócone w sercu, potem rodził melancholję i rozrzewnienie, przykuwał przez wspomnienie minionego szczęścia, potem począł się zlewać w jedną całość z osobistością Helusi odrębną i samoistną. Podobieństwo przysłaniało się powoli przez kapryśny i zmienny wdzięk życia. Helusia zaczynała być sobą w oczach Michała, być ową wyjątkową dziewczynką, którą zachwycali się wszyscy. I on na równi ze wszystkimi uległ czarowi tych lat piętnastu, które zapowiadały już rozkwit przyszłej kobiety. Gdy się wakacje skończyły i Helusia opuściła Minowice, odczuł przez chwilę brak dziewczęcia. Oczy jego biegły ku pustemu miejscu przy stole.

— Brak nam bardzo Helusi — ozwał się, siadając do obiadu.

Pani Gozdawina nie odpowiedziała. Myślała o Helusi z niepokojem, smutkiem i zdziwieniem, z którego jeszcze ochłonąć nie mogła. Bała się, że jej wnuczka jest rodzajem marzycielki niezdolnej znaleźć szczęścia pod ręką, a szukającej go poza obrębem właściwego powołania kobiety, poza obrębem rodziny. Helusia w wilję wyjazdu zdobyła się nareszcie na odwagę powiedzenia babce, iż ma zamiar zostania siotrą miłosierdzia.

Pani Gozdawina uszom własnym wierzyć nie chciała. Co, ta wesoła, ta swobodna, ta szczęśliwa i piękna dziewczyna chciała porzucić wszystko i zamknąć się w życiu ciągłej ofiary i zapomnienia o sobie?!

— Chcesz zostać siotrą miłosierdzia? — zapytała surowo, pragnąc raz jeszcze usłyszeć wyznanie, które zachwiało wszystkie jej dotychczasowe zamiary i nadzieje.

— Tak babciu — odparła Helusia, której odwaga wzrastała po wymówieniu słowa stanowczego.

— I któż cię do tego namówił?

— Nikt... to ja sama...

Pani Gozdawina patrzała na wnuczkę uważnie i badawczo. Bała się postawić fałszywego kroku, bała się obudzić uporu, który ma też miłość własną swoją, bała się słów nieodwołanych, które wiążą i cofnąć się nie pozwalają. Po chwili namysłu ozwała się:

— Dobrze, zostaniesz siostrą miłosierdzia, gdy dojdziesz do pełnoletności. Nie będę ci wtedy stawiała przeszkód, ale dziś musisz mi dać przyrzeczenie, którego od ciebie wymagam stanowczo: to postanowienie twoje zostanie tajemnicą, o której my dwie tylko wiedzieć będziemy.

— Kiedy ja już powiedziałam koleżance...

— A koleżanka, naturalnie, rozgadała wkoło!

— Tak, ale już się to trochę zapomniało.

— A więc niech się zapomni. My tylko dwie pamiętać będziemy!

Rekonwalescencja Konrada przeciągnęła się długo. Od owego zemdlenia, o którem pisał lekarz, rozpoczęła epoka wielkiego braku sił i drażliwości nerwowej. Dopiero w maju w kilka dni po trzeciej rocznicy śmierci Stefanji, Michał odebrał nareszcie wezwanie

przyjazdu. Miał zawsze pasport w pogotowiu, wyjechał więc bezzwłocznie i w parę tygodni potem przywiózł Konrada do Stroczyna.

Konrad zdziczał. Zadomowił się, utrzymywał, że kto raz był warjatem, ten musi zabrać się do pracy, by sobie coś realnego przed oczy postawić. Gospodarował, wstawał rano, ale wszystko u niego działo się paroksyzmami. Zawsze był nierówny, teraz stał się rozkapryszony, rozpieszczony i zupełnie w myślach swych wykolejony. Choroba umysłowa, którą przebył, stała mu ciągle, jak widmo, przed oczami. Mówienie o tej przeszłości stało mu się potrzebą, zaś Michał, który go często odwiedzał unikał tego przedmiotu. Zdawało mu się, że powracanie ciągłe do nieszczęsnego okresu było wprost niebezpieczne dla równowagi umysłowej Konrada. Obcowanie z sobą dwóch przyjaciół zaczynało być trudne. Michał poczuł, że między nim a Konradem stanęło coś, co ich od siebie oddalało. Bolał nad przyjacielem. Czuł, że w tym człowieku ostatnia choroba uczyniła jakiś przewrót, że choć z niej wyzdrowiał, stał się jednak innym, że jakaś czarna opona przesłoniła mu widnokrąg. W istocie przychodziły na Konrada paroksyzmy mizantropji i pesymizmu. Wtedy zamykał się i nikogo widywać nie chciał, nawet Michała, do którego pisał z prośbą o pozostawienie go samego dopóki „czarny gość“ go nie opuści. Jeden z jego listów brzmiał:

„Mój drogi. Czarny gość znowu do mnie zawitał. Proszę cię, nie przyjeżdżaj!“ Zajmuję się właśnie pożeraniem własnego serca i nie chcę, by mi ktobądź w tem przeszkadzał. Ale się nie lękaj, jestem zdrów umysłowo zupełnie“.

To znowu gorączkowo powracał do pracy gospodarczej. Wśród długiego wypoczynku i rekonwalescencji wyidealizował sobie życie wielkiej czynności i pracy twórczej. Oczami wyobraźni, na tle gorącej tęsknoty do kraju, widział gospodarstwo stroczyńskie pchnięte drogą postępu przez energję nieustającą ani na jedną chwilę i rozum w jednym kierunku wytężony! Dotąd, chociaż skończył kursy agronomiczne, mało zajmował się rolą, spuszczając się na rządcę, a oddając się ulubionej muzyce, oszukując swoje lenistwo zbieraniem książek, pisaniem listów, przebywaniem w Minowicach. Udawał przed samym sobą i przed drugimi, że główny kierunek gospodarstwa spoczywał w jego ręku. Postanawiał często rozpocząć życie czynu, ale skrzydła opadały mu prędko. Mówił sobie, że trzeba było tylko odprawić raz rządcę i odrazu od danego dnia rozpocząć życie nowe. Projekty te zawsze dotąd pełzły na niczem. Ś-ty Jan przechodził, rządca zachwiany przez chwilę zostawał na swem stanowisku, i rzeczy szły dawnym trybem. Ale teraz wszystko musiało się zmienić. Długa choroba była dla Konrada nietylko wstrząśnieniem, ale i ostrzeżeniem. Młodość nie zapewniała człowiekowi bezpieczeństwa. I młodzi bywali zmuszeni do ustąpienia ze stanowiska przed dopełnioną pracą. Zatem trzeba było się spieszyć, nie zaniedbywać ani chwili...

Konradowi było tak pilno wziąć się do dzieła, że w podróży nakłaniał Michała do jak największego pośpiechu. Siedząc naprzeciw niego w wagonie, mówił mu z roziskrzonym wzrokiem o swem pragnieniu oddania się ciałem i duszą pracy:

— Teraz modnem jest uważać pracę za nieszczęście, a ja czuję, że to jest zbawienie! Pracą zagłuszyć w sobie wszelkie pragnienia, pracą zabić w sobie obawy, wspomnienia... pracą zdobywać szacunek ludzki i szacunek dla samego siebie!

— To twoje pragnienie pracy ogromnie mię cieszy! Będę ci pomagał ile sił!

— Nie, nie pomagaj mi, niech ja sam stoję o własnej mocy i niech się przekonam, że ta moc istnieje we mnie! Czasem przyjdę do ciebie po poradę, ale chcę działać sam!

— Nie będę tail przed tobą, że w Stroczynie sprawy pokomplikowały się bardzo z powodu tego jakiegoś szału włościan, podsycanego przez Herszka. I rządca tam nie jest czysty. Stanowisko właściciela Stroczyna jest dziś trudne i boję się, by twoje nerwy nie odczuły zbyt dotkliwie położenia, wymagającego siły niezwykłej i spokoju, nie dającego się zachwiać.

— Prawie się cieszę, że tam na mnie czekają trudności! Chcę im stawić czoło i zdaje mi się, że im się pokonać nie dam!

Michała już wtedy ogarnęła jakaś trwoga od tej pewności siebie Konrada, teraz coraz bardziej bał się o przyszłość Stroczyna i o nerwy przyjaciela, wystawione na niezmiernie trudne zadanie. Jakże on się biedak łudził co do swej wytrwałości! Nie zdawał sobie sprawy, że ten warsztat, do którego się wyrywał, to był deptak nigdy nieustający, to było nudne nagromadzenie szczegółów i szczególików, z których o żadnym zapomnieć nie było wolno, że to była praca najzmudniejsza ze wszystkich, jeżeli się w niej niczego

zaniedbywać nie chce. A stosunek ze wsią, z podwładnemi? To dla zdrowego i silnego człowieka mogło stać się piekłem! To też życie Konrada stało się pasmem niekonsekwencyj. Zrywał się do lotu i ciężko upadał na ziemię zniechęcony i zbolały, ale miłość własna nie pozwalała mu przyznać, że się na siłach zawodził. Przychodziły wszakże chwile lepsze, nawet przebłyski humoru i wesołości. W jednym z takich momentów przyrzekł Michałowi, że na obiad wigilijny przyjedzie do Minowic. Był to wielki krok naprzód. Uszczęśliwiony Michał chciał przygotować swój dom i otoczenie na przyjęcie upragnionego gościa. Rozmawiał na osobności z panią Gozdawiną, potem zapragnął wtajemniczyć Helusię, która na święta przyjechała do Minowic.

— Helusiu, moje dziecko — rzekł do niej — mam do ciebie prośbę.

Uczyniła ruch gotowości na wszystko. On, ten wuj, któremu pragnęła służyć, miał do niej prośbę. Oczy jej, jej dwie gwiazdy zabłysły szczęściem.

— Będziemy tu mieli na wilję Konrada. Wiesz, że biedak przeszedł straszną chorobę, a muszę ci powiedzieć, że jego stan dzisiejszy dowodzi niezupełnego jeszcze przyjścia jego nerwów do normalnego stanu. Mówiłem już o tem z babcią, a teraz ciebie proszę byś pamiętała, że z tym człowiekiem trzeba się obchodzić, jak z nadtłuczonem naczyniem. Ty masz miękką rękę, umiejącą goić rany. Ty zrozumiesz i potrafisz. Wciągaj go do rozmowy, staraj się jego miłości własnej pochlebiać... To nie będzie kłamstwo, ale poprostu lekarstwo. Przepada za muzyką... W domu jest

sam jeden, niech go tu ogarnie ciepło rodzinnego ogniska. O nic w życiu mi tak nie chodzi, jak o jego przyszłość! Ma manję mówienia o swojej chorobie. Nie może o niej zapomnieć i zdaje mu się, że wszyscy, którzy na niego patrzą, pamiętają, że był warjatem. Pozuje na zdrowe zmysły, które zresztą w zupełności posiada. Boi się, by coś w jego zachowaniu nie było wzięte za pozostałość po strasznej chorobie. Trzeba to wszystko odczuć i zrozumieć.

— Będę się starała.

— Ja wiem, ja czuję, że ty możesz mi bardzo dopomóc w ratowaniu mego nieszczęśliwego przyjaciela.

Ta rozmowa, to zaufanie wuja ośmieliło Helusię. Gdy Michał z opłatkiem w ręku zbliżył się do niej, uskutecznić zdołała dawny swój zamiar i bez namysłu, bez przygotowania zarzuciła mu nagle ręce na szyję. Rumieniec jej i wzruszenie mówiły za nią. Odczuł jej dziecinną, nieśmiałą sympatję i choć miał serce pełne bólu od odnawiającego się przy każdej okoliczności żalu, doznał jednak przelotnego uczucia pociechy. Miał obok siebie Konrada, a i Stenieczka coraz bardziej lgnęła do niego. Dawała mu ciągłe dowody zaufania. Do niego zwracała się, czyniąc uwagi cienkim głosikiem. Życie coraz bardziej unosiło go w kierunku przeciwnym od grobu. Był pewien, że chwila łamania się opłatkiem, od której przez dwa lata uciekał, zamykając się w swoim pokoju, będzie strasznem dla niego przejściem i przypływem boleści, znoszącej wszelkie tamy, tymczasem cierpiał raczej nad tem, że nie dość cierpiał. Jakto, onby się miał pocieszyć? Onby miał ulec temu podłe-

mu, temu nędznemu działaniu czasu, które zabiera z sobą najpotężniejsze uczucia? Pogardzał pociechą, a miałby się jej poddać? Kochał Stenieczkę, kochał Helusię, Konrada, szanował matkę żony i pozwalał się ogarniać temu ciepłu, które wytwarza kochająca się rodzina, ale to wszystko nie powinno było przecie zacierać tamtego, najsilniejszego uczucia!

Zastanowiły go słowa Konrada:

— Dawno nie miałem takiej pociechy!.. Zrobiło się tu dobrze i miło wkoło ciebie!

Mogło być dobrze i miło, ale on nie powinien znaleźć w tem pociechy. Byłby godzien pogardy, gdyby ją znalazł!

Po wigilijnym obiedzie poszedł z temi myślami do swego mieszkania. Chciałby był iść na grób, bo miał uczucie, jakgdyby winien był swojej zmarłej prośbę o przebaczenie, ale pogoda była zła, a on związany był przyrzeczeniem.

Tymczasem w salonie pani Gozdawina czyniła przed Konradem rachunek zwycięstw, odniesionych nad sercem Michała.

— Bawi się z dzieckiem — mówiła — nawet na Helusię zwraca już uwagę... Ja udaję, że nic nie spostrzegam, żeby przypadkiem nie spłoszyć tego powrotu do życia...

— I mnie uderzył dziś wyraz jego twarzy — rzekł Konrad przyciszonym głosem — lepiej wygląda, nawet może utył trochę, z oczu wyziera jakiś cień uspokojenia... Ale ja jestem gorszym psychologiem od pani. Powiedziałem mu, że mię jego stan cieszy i zdaje mi się, że mu zrobiłem przykrość.

— Zostawmy go teraz w spokoju. Popęd jest dany, jego serce przywiązało się do dzieci i już od nich nie odstanie.

W przeciwnym końcu salonu Helusia, Francuzka i Stenieczka tworzyły drugą grupę. Dziecko ciągnęło Helusię do fortepianu.

— Nie można — mówiła Helusia — babcia rozmawia z panem Konradem... nie można przeszkadzać!

— Owszem, pozwalam ci grać — rzekła pani Gozdawina, pochwyciwszy słowa Helusi — jednego mazura lub walca, bo Stenieczka pójdzie niedługo spać.

Helusia grała. Konrad podniósł głowę, słuchał, potem wstał i zbliżył się do fortepianu.

— Od kogo panna Helena bierze lekcje? — zapytał!

— O, panna Helena! — rzekła pani Gozdawina — po prostu Helusia!

— Nie śmiem. Ile panna Helena ma lat?

— Niedługo szesnaście!

— To już panna! Jestem dwa razy starszy, to prawda, ale nie mogę panny Heleny uważać za dziecko. Szesnaście lat. Cudowny wiek! Czy pani rozumie, panno Heleno, że pani jest w najpiękniejszej epoce życia, u wstępu w świat, który się zdaleka takim pięknym wydaje? Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że raz jeden w życiu ma się lat szesnaście?

— Wiem — odparła Helusia, patrząc w bladą twarz Konrada, ożywioną niezwykle błyszczącemi oczami.

— Pani to wie, jak datę jakiejś bitwy lub wstąpienia na tron; ale to trzeba czuć, panno Heleno, trzeba przez wszystkie pory wchłaniać radość, poezję, wiarę

i ufność lat szesnastu i nie tracić ani chwili rozkoszy przez bezmyślną niepamięć, że to raz w życiu, że to nie wraca!

— Bardzo mi jest dobrze — odparła Helusia — szczególniej gdy jestem w Minowicach! Nie pamiętam, że mam szesnasty rok, ale nie pragnę mieć ani piętnastu, ani siedemnastu!

— Więc niech pani zagra coś... coś... nie walca ani mazura... coś co pani najlepiej lubi... Zobaczę czy pani umie mieć lat szesnaście!

Grała, a on, wielki znawca muzyki, był zdumiony jej talentem, jej postępami.

— Czy nuty czyta pani dobrze?

— Nieźle! Rulewicz mówi, że mam łatwość wrodzoną.

Konrad przerzucał nuty na etażerce.

— Pani gra tę sonetę?

— Nie, nawet jej nie znam.

— Niech pani mi ją przeczyta.

Helusia odczytywała sonatę, a Konrad wpadał w zachwyt.

— O, panno Heleno! — wołał — to ja panią biorę w niewolę przez czas pobytu mego w Minowicach. Musimy grać bardzo dużo na cztery ręce! To moja pasja! Nie umiem ślęczeć nad studjowaniem kawałka i nic nie gram porządnie, ale czytać nuty, a szczególniej grać na cztery ręce lubię namiętnie! Biedna panna Helena! Mówię jej, żeby żyła w ciągłej radości swoich lat szesnastu, a tu przychodzi dwa razy starszy od niej nudziarz i chce jej zatruć rozkosze świąteczne. Ma tu pani co do grania na cztery ręce?

— Same tylko dziecinne kawałki.

— To zaraz jutro sprowadzę furę nut swoich! A tymczasem zagrajmy te kawałki dziecinne... Przypomnę sobie czasy, gdy mię mordowano przez dwie godziny codziennie...

Grali naiwne, łatwe sonatiny, śmiejąc się przytem ze zwrotów, które dzieci musiały uważać za trudne i mozolić się nad niemi. Konrad udawał, że mu tercje przychodzą z trudnością, potykał się na nich, jak malec niezdolny, którego zmuszają do grania.

Helusia śmiała się, błyskając białością prześlicznych zębów wśród ust rozwartych i wykrojonych przecudnie.

Konrad był pod urokiem dziewczynki.

— To będzie cud piękności — rzekł do pani Gozdawiny, która przyzwała go do stolika wniesionego z herbatą i kazała Helusi odprowadzić Stenieczkę i zmówić z nią pacierz.

— Ach, niestety, może być bardzo!

— Niestety? To szczęście dla niej, to rozkosz dla tych, co na nią patrzą, to dar największy dla kobiety!

— I brzydkie bywają szczęśliwe; piękne zaś czynią często wiele złego wkoło siebie... sprowadzają czasem nieszczęście w rodzinach... Wolałabym, żeby Helusia nie była słynną pięknością, a boję się, że nią będzie... A jak wychowanie pięknego dziecka jest trudne! Helusia jest wprawdzie wyjątkiem. Ona nigdy nie pamięta o tem, że jest ładna, choć to wie. Nie zdołały jej zepsuć zachwycone spojrzenia spotykane na każdym kroku, ale lada chwila może się obudzić kokieterja, która wszystko psuje, wszystko krzywi i cały wdzięk zabiera. Nawet chciałam prosić pana...

— O, czuję burę zdaleka!

— Nie, nie burę. To prośba. Pan wybornie rozumie moje powody. Grajcie sobie na cztery ręcę po całych dniach, ale niech ona nie wie, że pan gra z nią szczególniej dlatego, że jest ładna.

— O, przepraszam bardzo, nie ładna ale prześliczna!

— Więc dla tego, że jest prześliczna. Niech myśli, że panu chodzi jedynie o muzykę. Pan rozumie moje powody?

— Rozumiem doskonale. Przytem nie chcę psuć tego arcydzieła. Jestem zupełnie zdania pani, że kokieterja—to grzyb, który zjada wszelki wdzięk. Należę do tego gatunku mężczyzn, który jej nienawidzi i ma specjalny węch do jej odkrywania. Jak tylko kokietka, to już dla mnie wstrętna, a przynajmniej dobra tylko do tego, by się nią pobawić chwilę a potem odejść, otrząsając pył z obuwia. Lubię piękne ciało w kobiecie, ale tylko wtedy, gdy pokrywa jakąś duszę, jakąś indywidualność, a nie same tylko zmysły.

— Tak się boję o Helusię, że gdyby nie ten wyjątkowy talent do muzyki, którego zaniedbywać się nie godzi, nie trzymałabym jej w Warszawie.

— Prześliczne dziecko, prześliczne dziecko! — powtarzał Konrad — i talent wielki, intuicja muzykalna wielka, uczucia wybornie pojęte i w porę umieszczane, słowem artystka z urodzenia! Takie jedno stworzenie w domu może przywrócić do życia największego mizantropa, odludka, pesymistę, melancholika!

— O, panie Konradzie, proszę, tylko nie za wiele zachwytów!

— Jakto, nawet przy zamkniętych drzwiach i gdy to stworzenie mówi pacierz z siostrzyczką?

— Nawet wtedy!

— Pani boi się, bym się nie zakochał? Wzbudza pani prawdziwy żal we mnie! Nigdy nie umiałem się bardzo silnie zakochać. Admirowałem, uwielbiałem, nawet szalałem; ale tak kochać, jak to umie Michaś, nie potrafiłbym nigdy. Jest we mnie, jak w głębi ziemi syberyjskiej, jakiś wieczny lód... nie wiem czy to lodowa skała egoizmu, czy oschłość, czy...

— Ale gdzietam!

— Więc co?

— Odpowiem słowami pisma: „Godzina twoja jeszcze nie wybiła!"

— Trzydziesty pierwszy rok, pani! To jest uprzedzenie, że mężczyzna dłużej zachowuje młodość, że kobieta prędzej się starzeje... Mężczyzna właśnie galopuje w życie i prędzej dochodzi do tej mety, do której dochodzi na jesieni drzewo, gdy opuszcza liście i zamiera.

— Takie zamieranie łatwo w nowe życie przechodzi — rzekła pani Gozdawina, która myślała o spóźnionej, a jedynej miłości swego życia — kocha się, niewiadomo dlaczego, kocha się w pewnej godzinie, naznaczonej przez jakieś prawo, którego my nie rozumiemy.

— I ja wierzę w przeznaczenie, ale wiem, że to, co jest kruche, musi się połamać, że to, co jest miękkie musi się ugiąć, a lodu żadne ognie rozpłomienić nie mogą. Sentymentalności umysłowej nie przerobisz na głębokie uczucie serdeczne. Swoją drogą, zdolen

jestem do zachwycania się panną Heleną, więc będę tłumił wyraz zachwytu moich spojrzeń i będę jej dawał rady zdrowe i rozsądne. Nie powiem jej nigdy żadnego pochlebstwa. Będziemy muzykowali. Pani nie wystawi sobie, jak to przyjemnie grać na cztery ręce z osobą, która ma bardzo piękną rękę i sympatyczny wyraz, sympatyczny ruch tej pięknej ręki.

— Nie wiedziałam, że pan taki egzaltowany! Podziwia pan czerwoną rękę Helusi!

— Jest trochę czerwona, nie przeczę, ale tem więcej ma w sobie życia! Ma przytem boskie kształty.

Pani Gozdawina zmarszczyła lekko czoło.

— To wszystko mi się nie podoba — rzekła. Ja lubię prostotę, szczerość, ale szczególniej prostotę... ani zaś uczucia pana, ani wyrażenia nie są proste. Boskie kształty! Pan mówi o mojej wnuczce, jakby była posągiem Wenery. To sobie jest zwyczajna polska dziewczyna i nie chciałabym widzieć wkoło niej uczuć przerafinowanych, ani jedynie na estetyce opartych.

— Czy pani sądzi, że przerafinowanie nie bywa prawdą, że egzaltacja nie bywa szczerością, a zatem prostotą? Tu o udawaniu niema mowy!

— O, pan wie dobrze, że ludzie nigdy udawania nie mają dosyć! I ci nawet, co nie udają, nauczyli się od udających wyrażeń przesadnych, określeń nieszczerych... Jeżeli nawet pan jest szczery, to pan ma przesadę stylu. Ani lód uczuć, ani sentymentalizm głowy nie mogą być brane ściśle. To wszystko trąci jakąś szkołą... Ja ciągle prawie w ostatnich latach byłam z dziećmi i przy nich odzwyczaiłam się od

wszelkiej blagi, a nabrałam smaku do szczerości i naiwnej bezwzględności uczuć i wyrażeń.

— Dostałem lekcję — rzekł Konrad — może zasłużoną. I chciałbym, by pani miała słuszność szczególniej co do tej godziny miłości, która dla mnie jeszcze nie wybiła. Chciałbym choć przez godzinę kochać naprawdę, bo wyznam pani, że kochałem tylko w marzeniu.

— Nic nie rozumiem — rzekła pani Gozdawina.

— Tak pani. Często na balu, w towarzystwie, w wagonie, spotykałem kobietę, która mi się podobała i mówiłem sobie: „Tę może mógłbym kochać". Wyobrażałem sobie, że ją kocham i, jakby we śnie, byłem świadkiem doznawanych przeze mnie uczuć, które w rzeczywistości nie istniały.

— Widzi pan... ja jestem zła powiernica, bo ja tego wszystkiego nie rozumiem, ja temu wszystkiemu nie wierzę! I to jest jakaś szkoła. Pan naśladuje czyjąś oryginalność, czy jakiegoś bohatera powieści, którego stworzył nie Pan Bóg lecz autor. Ee, co znowu! Te miłości, które się rodzą i umierają w wyobraźni... Niech pan przyzna, że to wszystko improwizacja wigilijnego wieczoru na benefis starej sąsiadki, z którą pan został sam na sam. Jeżeli to nie blaga świadoma, to pan pozuje sam przed sobą, pan sam siebie oszukuje. Znam pana dotąd mało... Czy pan jest człowiekiem silnej woli?

— Wola moja jest ze szczerego złota, bez aliażu.

— Złota, pan chce powiedzieć silna?

— Ale gdzietam! Gnie się na wszystkie strony!

— Więc nie wystarcza na to, by sobie pan nakazał szczerość względem samego siebie?

— Możeby wystarczyła. Ja zresztą jestem zupełnie szczery. Przytem nie wierzę wcale, by człowiek mógł siebie przerobić. Ale taka wiara u pani mię zachwyca, a jednocześnie... pani daruje... jednocześnie mię gniewa. Wogóle sąd kobiet cnotliwych, religijnych, surowych dla siebie, spełniających obowiązki, i żadnych wątpliwości co do tych obowiązków nie mających, jest poprostu straszny, jak sąd ostateczny. Człowiek chciałby się z ich sądem borykać, a czuje przed sobą granit, mur, stal. Rani się o to, łamie sobie na tem zęby...

— Muszę się znowu z panem sprzeczać, bo pan dotknął przedmiotu, który mię gniewa. Kobieta, podług moich wyobrażeń, to poprostu człowiek. Człowiek — i koniec! Więc bywa zarówno, jak mężczyzna kłamliwa lub prawdomówna, cnotliwa lub zbrodniarka, poważna lub lekkomyślna. Tymczasem w literaturze utworzono jakiś osobny gatunek! Niech pan weźmie pierwszą lepszą komedję, pierwszą lepszą powieść, a znajdzie pan takie naprzykład określenia: „Edward znał kobiety! Znał te istoty kłamliwe, podstępne, zmysłowe, niezdolne do logicznego myślenia". Czy pan rozumie, jak to musi gniewać człowieka, który jest kobietą, a nigdy nie był stworzeniem kłamliwem, podstępnem i t. d.

Konrad się śmiał.

— Owszem, owszem, doskonale rozumiem oburzenie pani, ale się przyznam, że mnie te rozprawy o kobiebie nigdy nie wydawały się dziwne.

— Bo konwencjonalność przestaje dziwić. Ale gdyby każdy z tych panów, jako typ kobiety, posta-

wił sobie swoją matkę, siostrę, żonę, a nie jakąś bohaterkę z ławy oskarżonych, która przez pół roku z rzędu systematycznie sypała arszenik w poranną kawę swego męża, toby kobieta stanęła przed jego okiem i piórem jako zwyczajny człowiek, zły lub dobry, mądry lub głupi, ale nie jako gatunek osobny i pod jedną formułkę podciągnąć się dający. Kobiety błądzą, ale błądzą i mężczyźni. Kobiety bywają wzniosłe, jak bywają wzniośli mężczyźni. Kobiety bywają zmienne, ależ czy pan nie spotkał takiej, która, pokochawszy raz, kochała potem całe życie? A mężczyźni czyż nie bywają zmienni w swych uczuciach?

— Kobieta jest cudownym tworem natury! — szepnął Konrad, spoglądając ku drzwiom, przez które wchodziła Helusia z nieodstępną Francuską.

— Pan to mówi, patrząc na pannę Berton? Helusiu, proszę cię, tu jest herbata dla was.

— Czy wuj nie przyjdzie? — zapytała Helusia.

— Nie wiem. Przychodzi, kiedy chce. Nie posyłam mu nigdy teraz żadnego jedzenia do jego pokoju.

— Nie śmiem tam do niego iść, — rzekł Konrad. — Może chce być zupełnie sam.

— Może jabym mogła zanieść mu filiżankę herbaty — rzekła żywo i bez namysłu Helusia.

— Dobrze, idź!

Helusia wzięła herbatę, lecz im bliżej była drzwi Michała, tem serce biło jej mocniej, gdy zaś nareszcie u tych drzwi stanęła, odwaga odbiegła ją zupełnie. Mówiła sobie, że musi zapukać, a czuła się coraz bardziej obezwładniona przez niedającą się opisać nieśmiałość. Słyszała kroki Michała powolne, miarowe;

widocznie chodził wkoło pokoju. Nie spał, więc można było zapukać do niego, jednak Helusia na odwagę potrzebną się nie zdobyła i wróciła z filiżanką do salonu. Była bardzo zmieszana i niezadowolona z siebie.

— Wuj nie chciał herbaty? — zapytała babka.

— Nie mogłam zapukać, — odparła Helusia, okrywając się rumieńcem — nie mogłam w żaden sposób... nie miałam odwagi. To nie tchórzostwo... Ja się żadnych strachów, ani niebezpieczeństw nie boję... to jest co innego...

— A cóż to jest panno Helu?

— On pewno myśli o cioci Steni... przerwać sen człowiekowi to tak przykro!

Konrada czoło spochmurniało. Wstał od stołu, uczynił kilka kroków, potem, wracając ku paniom, rzekł z jakąś gorzką nutą w głosie:

— Zdawało mi się, że już mniej myśli o niej. Żeby przynajmniej nie czynił już sobie wyrzutów! To ze wszystkich bólów najgorszy!

— Wyrzutów? Cóż on sobie wyrzucać może?— zapytała pani Gozdawina.

— Że się stał powodem...

Pani Gozdawina nie mogła nigdy bez najwyższego wzruszenia mówić o córce. Powstrzymywane przez chwilę łzy pociekły nagle dwoma strumieniami po jej policzkach, milczenie ciężkie zapanowało wśród obecnych.

Upłynęło przeszło dwa lata — chwilka w wieczności, dla istot ludzkich—okres, zawierający zmian wiele, przejść wiele.

W Minowicach usiłowano nie zmieniać nic, Michał w zamiarach swoich stał na punkcie, od którego zaczęło się dla niego życie w samotności i żałobie. Z troskliwością, z zazdrością prawie strzegł zewnętrznych oznak swego żalu. Grób zmarłej zawsze był ubrany w kwiaty, zawsze czekał odwiedzin tego, którego żal miał być wieczny. Mieszkanie Stefanji, do którego nikt nie wchodził prócz Michała i służącej, mającej obowiązek utrzymywania porządku, stało nietknięte, tak jakgdyby pani opuściła je przed chwilą. Wszystko było, jak przed sześciu laty, jak wtedy, gdy w dom ten uderzył grom i zburzył jego szczęście.

A uczucia i myśli? Wytrwale, nieubłaganie, jak fala niosąca odłamki skał i szlifująca ich kanty i nierówności, czas stępiał ostrze żalu, zacierał wyrazistość wspomnień, zabierał z sobą w swej ucieczce siłę bezgraniczną bólu. Życie do czary codziennej wlewało z niemniejszą wytrwałością nowe niepokoje, uciechy, trudy, przelotne uśmiechy, wdzięk chwili obecnej, czar natury, przywiązanie, czepiające się serc najbardziej zamkniętych i nieprzystępnych i troskę o to, co pozostało. Nieutulony żal, chodzący dla zadowolenia własnego fanatyzmu w czarnych szatach wiecznej żałoby, w rzeczywistości łagodniał powoli. Wybuchał jeszcze chwilami w paroksyzmach silniejszych, ale przychodziły one w coraz większych odstępach, a życie przepływało ciągle, osadzając coraz nowe wrażenia, coraz grubszą warstwę powłok, składających się powoli na zapomnienie. Szósta rocznica śmierci Stefanji obchodzona nabożeństwem dla całej sproszonej parafji, oblana łzami matki i sprowadzająca smutniejsze od łez cierpienie

męża, poprzedzona jednak była na dni dwanaście przez urodziny Stenieczki, przy której to uroczystości całowano dziecię z uczuciem, że było szczęściem wielkiem i skarbem nieocenionym. Michał, który z początku ani polubić, ani zrozumieć dziecka nie mógł, teraz znał jego język, jego upodobania, wszystkie odcienie jego głosu, wszystkie właściwości usposobienia i humoru, minki, ruchy, zabawy. Stenieczka wprowadziła go w świat zupełnie nowy, w którym ojciec rozglądał się z uczuciem rozrzewnienia, zaciekawienia i, choć tego nie przyznawał, z uczuciem szczęścia. Myślał o prezentach dla Stenieczki, marzył o tem, jak ją wychowa, lubił iść z nią na spacer, trzymając ją za rękę i słuchając jej szczebiotu.

Stenieczka nie obiecywała być tak piękną, jak Helusia. Miała rysy matki, ale jakby zatarte, jakby przygasłe. Oczy były mniejsze, usta szersze i nos trochę wydłużony. Przyłem brakło jej świeżości cery, która była matową, białą i bladą. Największej swej piękności, długich i odwiniętych rzęs czarnych Stefanja nie zostawiła córce w spuściźnie.

Troską i radością największą pani Gozdawiny była teraz Helusia. Miała lat osiemnaście, kurs, na który uczęszczała z kilkoma innemi panienkami, był ukończony, wracała do domu. Nauczyciel muzyki błagał, by ją jeszcze choć na rok w Warszawie zostawiono, ale pani Gozdawina sprzeciwiła się temu. Czuła, że Helusia była za piękna, by ją można było obcej opiece powierzać. Zwracała uwagę, oglądano się na nią wszędzie, gdzie się pokazała. Trzeba jej było koniecznie domu rodzinnego, opieki macierzyńskiej. Pani

Gozdawina, której dwie córki zabiło małżeństwo, chciała je dla Helusi odsunąć jak najdalej. Pragnęła, by dziewczyna przynajmniej lat kilka przy niej została, wiedząc, że panna piękna i posażna zawsze męża znaleźć może. Miała nadzieję, że Helusia zapomniała o swoich projektach klasztornych, które panią Gozdawinę, jak zmora, prześladowały i o których nie wspominano nigdy. Wśród życia rodzinnego wszystko mogło się wygładzić, a egzaltacja dobroczynna Helusi mogła być jednym z tych słomianych ogni, którym dziewczęta niedorosłe tak często zapalają sobie wyobraźnię. Minowice przedstawiały się jako miejscowość idealna. Mało w nich przyjmowano gości, dziewczyna więc uchronioną zostanie od hołdów światowych, a będzie miała życie zdrowe wśród natury, ruchu, wiejskiego powietrza.

Dla zachowania pozorów zapytała zięcia, czy powrót Helusi na stałe do Minowic zgadzał się z jego projektami. Wbrew oczekiwaniu matki Michał stawiał trudności.

— Mama wie, — mówił, — jak jestem do Helusi przywiązany i jak mi jej pobyt wśród nas był zawsze miły, ale mama nie zdaje sobie sprawy z tego, że mój dom jest smutny i takim pozostać musi na zawsze, przynajmniej do dorośnięcia Stenieczki. Młodość Helusi potrzebuje zabaw, ruchu, wesołości... Trzebaby tu przyjmować, otworzyć dom, a ja tego uczynić nie mogę.

— Kiedy ja nie chcę Helusi rzucać w odmęt światowy! Niech tu śród nas żyje życiem zdrowem i pracowitem! Niech uczy Stenieczkę, niech czyta, w czem tybyś nią mógł kierować, niech się od Kotockiej uczy gospodarstwa kobiecego, niech gra, niech konno

jeździ, niech się zajmie uczeniem kilkorga dzieci wiejskich...

— Ależ, mamo, panna dorosła zwykle idzie zamąż. Żeby pójść za mąż, trzeba wybrać, nie można więc odsądzić Helusi od poznawania młodych ludzi...

— Ja wolę, żeby poszła dopiero za lat kilka.

— A może właśnie, zamykając ją tutaj przeszkodzimy jej poznać tego, którego mogłaby pokochać i któryby ją uszczęśliwił. Nie można losem Helusi arbitralnie kierować. Tu, właściwie, nie jest dom dla niej i zdaje mi się, że lepiej będzie, gdy mama z nią w Warszawie zamieszka.

Pani Gozdawina pobladła; nie spodziewała się takiej propozycji zięcia.

— A Stenieczka? — zawołała z przerażeniem.

— Stenieczka? Mama wie, ja z domu tak rzadko wyjeżdżam... Zdaje mi się, że ta bona bardzo troskliwa...

Michał dojrzał bladość i przeciągnięcie się rysów pani Gozdawiny, więc dodał:

— W tem, naturalnie, niema nic nagłego. Niech Helusia teraz tu przyjedzie, niech pobędzie kilka miesięcy... można nająć mieszkanie dopiero od Nowego Roku... Mama wie, czem dla młodej dziewczyny jest taniec... wszak to jedyne marzenie niektórych... w okolicy naszej mało jest zabaw, w tym domuby nie tańczyła...

Pani Gozdawina zamilkła. Poczuła się dotkniętą do żywego. Zięć po sześciu latach wspólnego życia, po sześciu latach jej czuwania nad wszystkiem w jego domu, ją, która mu dziecko wychowała wzorowo, zachęcał do opuszczenia Minowic bez cienia żalu, bez

obwinięcia gorzkiej propozycji w bawełnę, zimno, jakgdyby chodziło o odprawienie bony lub szafarki. Czuła się wprost pokrzywdzona. Kazano jej opuścić Stenieczkę, którą kochała na równi z Helusią, a może kochała ją silniej i opuścić tego zięcia, którego drogim uczyniła jej jego boleść i własna jej troskliwość otaczająca go wytrwale od lat sześciu. Dawniej zięć ten miał jej przywiązanie względne, kochała go jako źródło szczęścia córki, teraz po bólu serdecznym, którego doznała, poczuła, że go kocha dla niego samego uczuciem macierzyńskiem. A on tak lekko, bez żadnego słowa serdeczniejszego, mówił o jej wyjeździe... Tak się nic a nic nie trwożył pozostawieniem Stenieczki zdala od niej, tak był pewien, że w Minowicach wszystko łatwo się bez niej obejdzie! Umiała pokrywać swoje urazy i milczeć wtedy, gdy czuła, że w słowach za daleko pójśćby mogła; — odrzekła więc tylko:

— Zastanowię się nad twoją radą.

Dostrzegł pewną nienaturalność w jej głosie i szukał w myśli, czem ją mógł obrazić. Po prostu bolała zapewne nad rozłączeniem ze Stenieczką, a może chciała zbierać kapitały, które się gromadziły z powodu jej mieszkania w Minowicach?

Pani Gozdawina była dotknięta boleśnie. Doznała tej zazdrosnej goryczy starszych, którzy się czują zepchniętymi przez młodszych, opuszczonymi po drodze, lekceważonymi dla tego, że już nie idą pod górę, a schodzą z niej, pchani jej pochyłością, nie zaś energją własnych kroków.

— Jestem mu już niepotrzebną — mówiła sobie, rozjątrzając jeszcze umyślnie otrzymaną ranę. — Byłam

dobra, dopóki niedosypiając nocy czuwałam nad Stenieczką i jej mamką, dopóki opuszczone dziecko potrzebowało mej opieki. Teraz można mię rzucić, jak starą, niedogodną już odzież.

Przypomniała sobie biedną chłopkę, która kilka dni temu przyszedłszy prosić o lekarstwo opowiadała, że ją dzieci odepchnęły, odkąd na nie pracować nie może, że ją syn wyganiał z chaty, by szła żebrać i ledwo mogła u niego wyprosić kącik za piecem za to, że pierze darła i przędła, ale musiała być *na własnym garnuszku,* do którego kładła to, co po wsi uzbierała.

— I mnie chce skazać na „własny garnuszek", — myślała rozżalona kobieta — i szczęście, że mam co do niego włożyć! Może ma na względzie interes Helusi, ale ja jestem dla niego piątem kołem u wozu... istotą, na którą nie zwraca się uwagi... która jeszcze na coś może być potrzebna do chwili zamążpójścia Helusi, a potem... Tylko Helusię wydać jak najprędzej zamąż. Jest podobno jakieś plemię dzikich, w którem, gdy pierwszy wnuk lub wnuczka przychodzi na świat, dziadka i babkę zabijają i zjadają na uczcie, radując się i weseląc!

Biedna kobieta, zamknąwszy się w swym pokoju, płakała gorzko. W rozżaleniu postanowiła nie czekać nowego roku i zaraz po wakacjach przenieść się do Warszawy. Serce jej będzie się krajało przy rozstaniu ze Stenieczką, ale nie okaże tego niewdzięcznemu zięciowi, który ani jej ocenić, ani jej przywiązania dostrzec nie umiał. Była tak przepełniona żalem, że poczęła też w sercu swem oskarżać Helusię i Stenieczkę. I wnuczki kochały ją zapewne w stosunku prostym do

tego, co ona im dawała, ale miały niezawodnie dla niej może bezwiedne, ale już kiełkujące lekceważenie z powodu jej posuwania się codziennego ku starości i śmierci. To może jest naturalne, jednak to oburzające, to daje miarę nędzy i podłości natury ludzkiej wogóle! Nawet ci dzicy, w chwili, gdy ich własne dzieci mordują, muszą to czuć i boleć nad tem więcej, niż nad rozstaniem się z tym światem.

Stenieczka była pode drzwiami. Jej dziecinny głosik dźwięczał, jak dzwonek:

— Przyniosłam kwiatki dla babci!

Miała namiętność do zrywania kwiatów i zawsze bardzo nieudane bukiety przynosiła babce i ojcu. Pani Gozdawina otworzyła drzwi. Szczebiocącą Stenieczkę przyjęła w objęcia, tuliła ją do siebie tak namiętnie i gorączkowo, że aż to zastanowiło dziewczynkę.

— Czy babcia chora? — zapytała.

— Chora, dziecino, — odparła babka, rozżalając się na nowo.

— A co babcię boli?

— Serce mię boli! Bardzo boli! Idź Stenieczko, zbieraj kwiatki, przynieś jeszcze drugi bukiecik babci.

Stenieczka zapomniała o poleceniu, znalazłszy inną zabawę i ujrzała babkę dopiero przy herbacie wieczornej. Pani Gozdawina była spokojna, jak zawsze i jak zawsze baczna na wszystko. Wśród jedzenia Stenieczka przypomniała sobie nagle chorobę babci.

— Czy babcię jeszcze serce boli? — zapytała swym donośnym, dźwięcznym głosikiem.

Pani Gozdawina, która, jak wszystkie prawie blondynki, czerwieniła się nagle, uczuła na swej twarzy

jednocześnie ze spojrzeniami obecnych płomień niespodziewanego rumieńca.

— Już mi lepiej — odparła, przeciągając rękę po jasnych i miękkich włosach dziecka.

— Czy mama była chora? — zapytał Michał, usiłując głosowi swemu nadać ton jak największej troskliwości, gdyż jakieś przeczucie mówiło mu, że cierpienie pani Gozdawiny było w związku z dzisiejszą rozmową o przyszłości Helusi.

— Och, to nic! Zwykła przypadłość starości!

Przy tej odpowiedzi nowy żal ścisnął jej serce. Rysy jej świadczyły o wewnętrznem wzburzeniu, łzy zdołała zatrzymać na samym brzegu rzęs.

Michał poczuł się onieśmielonym i związanym jakiemiś niewidzialnemi moralnemi pętami. Odczuł, że tu chodziło rzeczywiście o ból serdeczny, który można było zagoić jednym uściskiem szczerym, jednem słowem płynącem z prawdziwego uczucia, a on do takiego uścisku i do takiego słowa czuł się niezdolnym. Pamiętał, jak lekkie chmurki na czole żony umiał zcałować i rozpędzić kilku słowami szepniętemi do jej ucha; ale tu położenie było inne, między nim a matką żony leżała przestrzeń pustynna, na której nie rósł żaden kwiatek żywszego uczucia. Miał dla pani Gozdawiny uznanie, szacunek, wdzięczność, ale czuł, że nie zdobędzie się na czułe zapytanie o powód łez drżących na jej rzęsach, ani na uspakajanie jej słowami gorącemi, gdy mu wyzna, dlaczego ją serce bolało. Było mu przykro i nieswojo. Boleśnie zadawać rany, choćby bezwiednie.

— Błogosławiona miłość! — myślał ze zwrotem ku swojej zmarłej — uczy słów, które są balsamem, uczy spojrzeń, które zarównywują przepaści, uczy uścisków dłoni, które są najwymowniejszą prośbą o przebaczenie. A ja tej kobiecie, którą widocznie zraniłem, żadnej z tych rzeczy dać nie mogę!

W kilka dni potem, przywieziona przez babkę, przybyła Helusia już ze wszystkiemi książkami, które jej służyły do nauki, z ogromną paką nut, ze wszystkiem, co stanowiło jej mienie w Warszawie. Dwa lata ostatnie zmieniły ją bardzo. Z żywej, śmiejącej się i śpiewającej dziewczynki stała się poważną i spokojną panną ze słodkiem obejściem i spojrzeniem. Charakterystyką jej twarzy był spokój i szczerość. Piękne oczy na mówiącego podnosiły się prosto i z gotowością powiedzenia całej prawdy, a gdy mówiła, nikt nie wątpił, że mówiła prawdę. Czasem miała w wyrazie twarzy trochę zamyślenia i marzycielstwa, przyniesionego jej może przez muzykę, ową marzycielską czarodziejkę.

Gdy się znalazła w ukochanych Minowicach, swego szczęścia nie wyraziła już okrzykiem radości, jak to dawniej czyniła, ale uczuła to samo zadowolenie, dające się określić w słowach: „Dopiero tu jest mi prawdziwie dobrze".

Michał wyszedł na ganek na jej spotkanie. Lubił ją, był do niej przywiązany i jako gospodarz domu chciał jej dać dowód, że był jej rad, że na swoim progu witał ją z radością. Uderzyła go wyrazem spokojnej siły, prostoty i szczerości.

— Dobrze się człowiekowi robi, gdy na ciebie patrzy, Helusiu — rzekł jej po przywitaniu. Takie się

ma do ciebie zaufanie... Tak przyjemnie czuć, że nic nie jest fałszem w człowieku. Twoje rumieńce nie udają zdrowia, twoje ramiona nie udają siły... lubisz prawdę!

— Lubię wuju. I będziemy się tu nią rządzić w Minowicach, nieprawdaż? Wuj mi zawsze powie wszystko, co mu się we mnie nie podoba...

— Lub co mu się podoba.

— Naturalnie. Nie wiele mam zalet, ale lubię pochwałę. Nie od wszystkich, od wuja jednakbym ją lubiła... Chodzi mi o nią, ale szczególniej chodzi mi, by nikomu nie wejść w drogę, nikomu nie zrobić przykrości. Wuj mię tu przyjmuje, jak swoją, to proszę mię, jak swoją traktować, łajać, gderać, posługiwać się mną, na mnie spędzać złe humory, jeżeli je wujaszek miewa... powiedzieć: „nie graj teraz, bo mię twoja gra męczy“, kazać sobie czytywać głośno...

— Tobyś mię całkiem popsuła i byłoby mi potem brak kozła ofiarnego, którym chcesz być dla mnie.

— Ach, jak mi tu dobrze w Minowicach!

— A z tobą jak dobrze, Helusiu! Wszyscyśmy tu ciebie wyczekiwali. Stenieczka spać nie mogła z radości. Konrad oddawna nasprowadzał rozmaitych nowości muzycznych i marzy o muzykowaniu z tobą. Wmawia mi, że fortepian tutejszy nie godzien jest ciebie. Chciał koniecznie przywieźć tu swój, a ten zabrać, ale się temu oparłem!

— Doskonale wujaszek zrobił! Pan Konrad jest wybornym, muzykalnym doradcą, ale wcale sobie nie życzę widzieć tu jego fortepianu. Babcia zresztą obiecuje mi fortepian nowy i dobry, gdy się w październiku do Warszawy przeniesiemy.

— Miałem nadzieję, że to nastąpi dopiero od Nowego Roku.

Helusia spojrzała na babkę nieco zdziwiona. Pani Gozdawina powiedziała jej, że wuj nie życzy sobie ich przebywania w Minowicach, on jednak mówił teraz tak, jakgdyby był rad je zatrzymać.

— Gdyby babcia chciała, zostałybyśmy do Nowego Roku.

— To jest zła pora do przenosin. Wolę już uczynić to na jesień.

Ani Helusia, ani Michał nie protestowali. Projekt wyjazdu w październiku pozostał niezmienionym. Pani Gozdawina już się była zresztą z nim oswoiła. Przy bliższem rozpatrzeniu sprawy przekonała się, że Michał miał po części słuszność. Kilka miesięcy zimowych pobytu corocznego w Warszawie mogło być dla Helusi korzystne, powinna była słyszeć dużo dobrej muzyki.

Helusia zostawiła babkę i wuja; musiała zwiedzić wszystkie kąty w Minowicach. Tylko już teraz nie biegała, jak dawniej, ale szła spokojna, silna, wyprostowana i pełna wdzięku w ruchach. Tyle razy myślała w Warszawie o każdym szczególe, że pilno jej było przyjrzeć się wszystkiemu.

— Jabym może lubiła przebywać tu w Warszawie — mówiła raz wśród grona koleżanek — gdyby tu był las.

Lubiła las, ogród, dalekie wiejskie spacery, lubiła iść, gdzie oczy poniosą i swobodę wiejskiego życia. Miasto ze swemi w rząd ustawionemi domami, z ulicami prostemi, pokrajane symetrycznie, czyniło na niej wrażenie więzienia. Tego sobie nigdy nie powiedziała, ale

miała zawsze uczucie skrępowania, ucisku i zależności. Urodziła się wiejską dziewczyną, rozumiała naturę, umiała odczytywać jej zamiary i radować się każdym objawem jej życia. Miała jedno tylko do zarzucenia wsi: brak koncertów i opery. Ale zato jaka różnorodność innej muzyki. Ptaki śpiewały, las śpiewał, byle umieć słuchać i rozumieć.

Szła właśnie obejrzeć, czy złamana przeszłego roku brzózka, związana i opatrzona przez nią, puściła liście, gdy usłyszała głos Konrada:

— Panno Heleno, panno Heleno!

Obejrzała się z uśmiechem serdecznym.

— Pani ucieka, gdy ja przybywam...

Wyciągnęła ku niemu rękę.

On objął wzrokiem całą jej postać.

— Pani od nas wszystkich ucieka! — ozwał się, a oczy jego o wyrazie nieco twardym i ostrym złagodniały nagle. — Skarżą się, choć tak być musi!

— Niech wiem o co chodzi? — rzekła Helusia, szczery swój wzrok na niego podnosząc.

— Kto przez rok jeden jest w stanie wyrosnąć ze wszystkich sukien, kto po kilku miesiącach niewidzenia zaczyna naraz z góry patrzeć na starego znajomego, ten poprostu czyni wrażenie czegoś nowego, nieznanego, co nas wyprzedza, co się od nas oddala... Patrzę na panią zdziwiony, ale i nieśmiały, jakby zawstydzony tem, że ta siła żywotna, która buja w pani, ode mnie jest już tak daleko. Ta brzózka złamana, którą pani opatrzyła i która puściła trochę bladej zieloności, lecz nie może wydać żadnego żywego pędu, to ja, a to pani.

Ukazywał silne i pełne soków młode drzewko.

— Myślę, że wszystko na świecie musi iść swoją koleją — odrzekła spokojnie — ale dlaczego pan nazywa siebie drzewem złamanem?

— Bo jestem takiem.

W twarzy Helusi odbił się wyraz zakłopotania.

— Niedobrze rozumiem — rzekła. — Biedne drzewo złamane jest na łasce wiatru i burzy, nie może sobie dać rady samo, ale człowiek...

— Człowiekowi gorzej! Niema wypoczynku w zimie, niema odrodzenia na wiosnę i co najgorsze... człowiek pamięta!

— To jego największa przyjemność i rozkosz! Pamiętać melodję, która nam się podobała, pamiętać wiersz, który nas zachwycił, pamiętać wrażenia myśli, które nam przebiegły przez głowę, czy to nie przyjemność?

— Ach, nie, nie! — zawołał, jakgdyby cierpiał naprawdę. — Pamiętać dawne myśli i stawiać je dziś w świetle krytyki i rozsądku to prawdziwa kara! Pamiętać dawne uczucia i sądzić je, to męka. Wiersz ulubionego poety, który się niegdyś deklamowało z rozkoszą, nabiera nagle innego znaczenia i boli, gdy porównamy stan duszy człowieka, który się wiersza tego uczył ze stanem tego, który ów wiersz pamięta. A melodje? Czy one nigdy nie przywodziły pani na pamięć żywych, jakby dziś przeżywanych dawnych bólów i dawnych smutków?

— Dawnych bólów i smutków? — powtórzyła. — Byłam całe życie bardzo szczęśliwa. Jedyny cios, który dobrze pamiętam, to śmierć cioci Steni, rozpacz babci

i wuja... Ale miałam wtedy lat dwanaście i właściwie nie cierpiałam nad stratą samą, tylko mi było żal tych, co się pocieszyć nie mogli. Żal mi było ogromnie wuja Michała, szczególnie jego. Ale to nie jest dla mnie wspomnienie bolesne... Wszak prawda, że on powraca trochę do życia? On, to naprawdę takie złamane drzewo, co się potrzebowało goić długo... Ale można mieć nadzieję, że powoli...

— Tak, on odżyje. Zdaje mi się, że powstanie innym niż był, ale już jestem spokojny o niego. Jego pełne żywotności serce już się oddało przywiązaniom, które je uratują.

— To miłosierdzie Boże, że ta Stenieczka została! A była chwila, kiedy go ona nie zajmowała wcale... Wtedy kochał jednego tylko pana.

Konrad umilkł. Jego wzrok przybrał znowu wyraz ostry i zimny; Helusia przelękła się wspomnień, które mu może podsunęła. Biedak z bólem musiał myśleć o tej strasznej epoce życia, w której był warjatem.

Jakiś chłód i niepokój przeleciał między nimi. Helusia myślała:

— A może i ten jest zraniony i złamany przez życie? Co można wiedzieć o przeszłości i uczuciach człowieka?

Miewał on i dawniej często jakąś nutę sceptyczną i gorzką, gdy mówił o sobie, ale Helusia mniej na nią zwracała uwagi. Była za żywa, za wesoła, by ją odcienie zajmować mogły. Teraz, gdy dzięki jednej z tych zmian, które zachodzą czasem nagle w usposobieniu młodych panien, stała się spokojną i poważną, Konrad

zaciekawił ją, zaciekawił raczej jej serce niż umysł. Przecie kiedy rany drzew opatrywać można, tembardziej do opatrunku nadają się rany ludzkie...

Konrad pierwszy się spostrzegł, że szedł obok uroczej dziewczyny zamyślony i milczący, uczynił więc wysiłek i począł mówić o muzyce.

Ale Helusi zostało wspomnienie tego czegoś chmurnego i gorzkiego, co ku niej wyjrzało z myśli i słów Konrada. Czyżby życie było złą macochą, karmiącą rozczarowaniem i zgryzotą? Nie, ona czuła całą słodycz, całą rozkosz istnienia. Lato było w pełni i rozdawało najlepsze swe dary. Długie pogodne dni napełniały świat cały promieniami i światłem, lekko było oddychać i słodko było żyć!

Konrad dał się dnia tego zatrzymać w Minowicach.

— Dobrze jest czasem rozgrzać się choćby przy cudzem ognisku — rzekł do Michała. — Zrobiło się tu u ciebie ciepło i jasno, czuć rodzinę, czego u mnie niema.

— Więc przyjeżdżaj częściej — odparł Michał — Stenieczka, jej głos, jak dzwonek, jej zabawki, jej ruchliwość nadają domowi pozór życia rodzinnego. Tymczasem jest i Helusia, której muzyka cię ciągnie.

— Nie trzeba się tak bardzo dać ciągnąć muzyce takiej Helusi — odparł Konrad żartobliwie.

Michał spojrzał na niego poważnie.

— Zapewne — odparł — dziewczyna ma i piękność i wdzięk, ale...

— Ale co?

— Ale ty masz prawo wdzięk i piękność jej widzieć, a nawet uwielbiać.

— A niechże Bóg broni!

— Nie będziemy się spierać. Tyle razyśmy o tem mówili i wiesz dobrze, że twego strachu przed małżeństwem pojąć nie mogę. Można się omylić niezawodnie, ale człowiekowi, który ani apostołem, ani bohaterem, ani wielkim uczonym nie jest, nic prócz rodziny prawdziwego spokoju zapewnić nie może. To kotwica. Nielada burzy trzeba, żeby ją wyrwała!

— Coby też temu prześlicznemu stworzeniu przyszło z takiego zasuszonego owocu, jak ja. Niech sobie ona szuka takiej młodości, jak jej własna. Ja widzę dobrze, czem dla pustego i zimnego domu byłaby taka istota, która ci najciemniejszy kąt rozjaśni... i która gdy wchodzi, to się zdaje, że weszła wiosna, że weszła młodość...

Michał spojrzał na przyjaciela z uśmiechem.

— Ty wiesz, że ja się tak zapalam do wszystkiego, co piękne — ciągnął dalej Konrad. — To samo możeby było, gdyby Helusia była obrazem... malowidłem...

— Jeszcze raz powtarzam, że ci wolno. I jej wolno. I niema nic tak zdrowego dla człowieka, jak uczciwe, w dobrej wierze, z prostotą w duszy, zawarte małżeństwo. Ja się stałem pesymistą, odludkiem, przestałem też kochać, to też nie podaję ci tu moich myśli dzisiejszych, podaję ci to, w com wierzył dawniej i w com włożył życie.

Pobladł, cień zmarłej przeciągnął przed nim wyraźniej, choć dla jego tylko oka widoczny. Odszedł, nie dokończywszy zaczętej rozmowy.

Konrad poczuł w sercu prąd gorący współczucia i przywiązania dla tego człowieka, którego wpływowi

zawdzięczał tak wiele. Po śmierci Stefanji powtarzał on sobie nieraz, że chce przedewszystkiem żyć dla Michała, w którego sercu przyjaźń była jedynem pozostałem uczuciem. Teraz z radością widział, że ten człowiek złamany podnosi czoło, że serce jego żyje na nowo i miał takie uczucie, jakgdyby jemu przedewszystkiem to wszystko zawdzięczał. Radował się tem, co w jego przekonaniu było szczególniej jego dziełem. Sobie przypisywał zasługę w tem, że w pierwszych chwilach swej boleści Michał nie odebrał sobie życia.

— Już dziś on jest szczęśliwszy ode mnie — myślał Konrad. — Niema przed nim pustki. On zresztą jest z tych, przed którymi być jej nie może. Wtedy, gdy był najnieszczęśliwszy, miał jeszcze swoją wielką boleść. To jeszcze jest lepsze, niż pustka. Ta, która stoi przede mną jest czemś smutniejszem. Rzucam w nią moje upodobania artystyczne, moją cześć dla tego człowieka, uznanie zła, które popełniłem, udaję, że lubię pracę, ale pustka stoi pustką. Żebym mógł przynajmniej sobie powiedzieć, że do popełnionego zła pchała mię niepohamowana namiętność! Żebym to jedno mógł sobie powiedzieć! Mogłem się wstrzymać nad brzegiem przepaści, bo byłem trzeźwym, a przynajmniej napół trzeźwym. Tymczasem pozwoliłem sobie na chwilowy zawrót głowy i przepaść mię pociągnęła! Chciałbym mieć przynajmniej wyraźny, zdrowy wyrzut sumienia. Ale i to uczucie jest słabe, pełne wykrętów, pełne argumentacyj, sofizmatów i szukam sobie obrony w obojętności i wierzę w to przeznaczenie, które sobie wymyśliła nowoczesna filozofja, zwąc je dziedzicz-

nością i charakterem, z którym na świat się przychodzi i z którym walka byłaby próżna. Czy ja mogłem siłą woli zwalczyć chorobę nerwową? I prawdopodobnie to, co się stało, stać się musiało. Opór nie leżał w środkach, któremi moja natura rozporządza, tak jak w nich nie leży miłość. Bo ja i Michała nie kocham, tylko może kocham myśl, że jemu bardzo drogim jestem. Chodzi mi o jego przywiązanie, chodzi mi o jego przyjaźń, to jedno jest we mnie wyraźne. Tak samo chodziło mi o wzbudzenie miłości w kobietach, które mi się podobały. Miłość ta mnie radowała i rozczulała, dowody jej siły zbierałem w duszy, jak archeolog zbiera numizmaty i stare bronie. Ale z Helusią wstrzymam się od tej żądzy budzenia miłości. Niech dziecko spi spokojnie. Podoba mi się i ciągnie mię, bo nic piękniejszego na świecie niema, niż taka młodość, ale gdy spostrzegę pierwszy cień uczucia dla siebie, powiem pani Gozdawinie, by ją stąd wywoziła conajprędzej. Bo jednak bywają na świecie wielkie miłości. Kiedy bywają takie rozpacze, jak ta, która huraganem przeleciała przez życie Michała, to musi je poprzedzać miłość wielka. A nużby Helusia mnie pokochała? Ma lat osiemnaście, jest w pełni rozwoju młodego życia, nie będzie tu widywać nikogo, mogłaby mnie pokochać.

Przy tem przypuszczeniu serce Konrada zabiło tem kapryśnem pragnieniem, które w jego dziwacznem sercu było uczuciem najsilniej się odzywającem. A gdyby go pokochała? Przy upodobaniu, które miał do niej, mógłby się z nią ożenić. Odpędził tę myśl. Nie miał prawa zabierać dla siebie tej młodości i tego

wdzięku. A możeby się tem zapełniła owa wieczna pustka? Nie, nie rzuci w nią Helusi i próby tej na niej nie uczyni. Nie tknie tego, co rodzina Michała miała najpiękniejszego i najdroższego! Mówi mu to sumienie dziś, gdy patrzy na rzeczy spokojnie i wedle dzisiejszego sumienia postąpi on i jutro. Przechadzka po pięknej okolicy nie jest braniem jej w posiadanie, więc uciekać od Helusi nie będzie, chyba że...

Znalazł Helusię, grającą w piłkę ze Stenieczką.

— Panno Heleno — zawołał — pani sobie rękę męczy. Ręka należy do fortepianu.

— Prawda — odparła Helusia, oddając piłkę Stenieczce — zapomniałam o tem.

Konrad usiadł na ławce, roskoszując wzrok swój widokiem Helusi, zarumienionej od wysiłku i biegania przy zabawie.

— Pierwszą taką kobietę spotykam — rzekł — i prawie niedowierzam uszom własnym...

Helusia zbliżyła się z uprzejmością, by lepiej słyszeć, co mówił.

— Doprawdy pierwszą w życiu — ciągnął dalej. — Innaby zaprzeczała, drażniłaby się i każdaby się przy swojem uparła. Pani zaś odkłada piłkę na pierwsze wezwanie i pierwsze słowo, które pani odpowiada jest uznaniem, że nagana była słuszna.

— Całą wiosnę widziałam chłopców, grających w piłkę na podwórzu domu, w którym mieszkałam i ciągle miałam ochotę do tej gry. Ale, że zawsze wolę fortepian, więc nie mam żadnej zasługi w tem, żem rady pana natychmiast usłuchała. Nie chcę popełniać żadnych grzechów przeciwko fortepianowi.

— Ani przeciwko mnie, który jestem i starszym i doświadczeńszym.

— Ach, to mi nic nie imponuje... ani wiek, ani doświadczenie, ale nie chciałabym być głuchą na żadną radę przyjacielską.

— Pani tak przyjaźń ceni?

— Bardzo. Cóżby życie było warte, gdyby się nie miało trochę życzliwości ludzkiej?

Mówiła to ze spokojem i prostotą, bez żadnej pozy, z uśmiechem uprzejmym i swobodnym.

Bardzo rzadko śmiała się głośno, nie wybuchała śmiechem nigdy i wtedy, gdy jej towarzyszki oddawały się objawom hałaśliwej wesołości, ona uśmiechała się tylko. W rozmowie nigdy nie podnosiła głosu. Cała jej osoba była cicha i dyskretna.

Konrad pomyślał, że była w niej siła kojąca, że sama jej obecność działała, jak balsam, że rozstrojone nerwy przy niej cichły i usypiały. Myślał też o wybrykach i nierówności natury, która jednym kobietom dawała prawie nadmiar wdzięku, inne zaś czyniła zupełnie brzydkiemi, niepociągającemi nikogo.

— To chwała Bogu! — zawołał Konrad. — Zawsze marzyłem o takiej istocie muzykalnej, z którąbym mógł razem pracować trochę nad literaturą muzyczną, to jest studjować mistrzów, porównywać, wczytywać się. Zupełnie co innego jest jeden człowiek słuchający tonów, a co innego dwie odczuwające dusze. Jedna drugą wtajemnicza, jedna drugą podpiera, jedna drugiej podszeptuje określenia. Zdaje mi się, że nigdy i nigdzie człowiek tak nie potrzebuje przy sobie duszy, jak gdy słucha mistycznej mowy tonów.

— Ja to rozumiem doskonale, tylko mi wstyd, że pan ze mnie większej pociechy mieć nie może. Pan w muzyce jest dla mnie jak przewodnik, który po dobrze znanych miejscach oprowadza kogoś, co je widzi po raz pierwszy.

— Ale kogoś, co odczuwa, co podziwia, co ma oczy dla każdej piękności, a obojętność lub pogardę dla tego, co pospolite, co płaskie, co nie ożywione boskiem tchnieniem genjuszu. No, panno Heleno, jestem, jak koń kawaleryjski, który usłyszał trąbkę wojenną. Chodźmy do fortepianu.

— Pan wyjeżdża? — mówiła nazajutrz pani Gozdawina do Konrada. — Liczyłam na pana na obiad.

— Jadę bez żadnej ochoty i bez żadnej potrzeby, to wyznaję.

— Więc dlaczego pan jedzie?

— Bo nie mogę sobie pozwalać na przesiadywanie tu; nie mogę sobie pozwalać na tę rolę, którąbym tu chętnie przyjął. Czy pani rozumie człowieka w sile wieku, któryby nic nie robił, a tylko spacerował z pannami, grał z niemi na cztery ręce i był rezydentem u przyjaciela.

— Jest takich wielu, ale rzeczywiście wcale ich nie rozumiem!

— Pani myśli, że mię tu do Minowic nie ciągnie? Ciągnie mię! Dzięki pani, Stenieczce, pannie Helenie jest tu i ślicznie i doskonale. Człowiek się tu wygrzewa i jest mu tak dobrze, że aż się tem przeraża, więc musi bronić się tym niezwalczonym argumentem go-

spodarzy wiejskich: nadchodzącemi żniwami. W sekrecie powiem pani, że to strach malowany. Mój ekonom doskonale tam wszystkiem zarządzi, ale jeżeli kobieta potrzebuje gorsetu dla utrzymania kibici swej w porządku, to i kobiecie i mężczyźnie potrzebny jest koniecznie gorset moralny. Ja go sobie gwałtem wkładam i chodzę w nim, choć mi ciasno i ledwie oddycham, i tylko tem się pocieszam, że jest mi zawsze jeszcze lepiej niż kobiecie, która i moralny i cielesny gorset nosić musi.

— Więc niech pan jedzie do swoich żniw i niech pan pracuje, bo to wyborne lekarstwo na wszelkie pesymizmy i bezsenności moralne, ale niech pan przyjeżdża często skostniałego człowieka tu rozgrzewać.

Pogoda była wspaniała, więc wszyscy odprowadzili na ganek wyjeżdżającego Konrada. Michał ze Stenieczką mieli wprost po pożegnaniu ruszyć spacerem do folwarku, gdzie Michał chciał być dnia tego. Gdy wózek Konrada znikł w bramie, Michał zwrócił się do Helusi:

— Może i Heluś z nami?

Uradowała się propozycją. Od czasu, gdy dzieckiem będąc przemyśliwała o znalezieniu pociechy dla Michała, był on dla niej istotą wyjątkową, którą należało oszczędzać i każdy objaw jego dobrego usposobienia szanować. Jego wola była dla niej czemś świętem. Tradycyjnie uśmiech jego uważała za coś niezmiernie pocieszającego, chmurę na czole — za cios dla całego domu.

— I owszem, wuju — odparła — lubię chodzić dużo. Wezmę tylko kapelusz i rękawiczki.

Poszli we troje w stronę folwarku; pani Gozdawina wróciła do domu z goryczą w sercu, odzywającą się teraz przy najdrobniejszej okoliczności. Michał, który zabierał Helusię ze sobą w pole zaraz nazajutrz po jej przyjeździe, jej nie zaproponował nigdy dotąd wspólnej przechadzki, choć wiedział, że na wsi spędziła życie całe, że ją interesowało wszystko, co się w gospodarstwie działo, że lubiła łąki, zboża, roboty w polu. Ale ten zięć nie umiał ocenić ani jej charakteru, ani jej działalności. Konrad, obcy człowiek, odczuwał ten wdzięk życia rodzinnego, które ona stworzyć w Minowicach potrafiła, ale Michał był obojętny, a nawet życzył sobie jej wyjazdu. Serce zalało się znowu smutkiem i głuchym żalem. Tych troje młodych szło sobie razem żwawym, lekkim krokiem, a ona... Wszak im nie zazdrościła młodości, wszak rozumiała, że to była teraz ich kolej, wszak nawet do życia nie była przywiązana, ale potrzebowała serca od tych, których kochała, nic tylko trochę serca!

Z tych trojga idących w pole o pozostałej w domu myślała tylko Stenieczka. Co chwila zatrzymywała się, lub biegła w bok, zrywając kwiaty dla babci. Ale i to był tylko pretekst dla tej lubowniczki niezgrabnych bukietów.

Helusia szła obok Michała cała przejęta nieśmiałem szczęściem z powodu tej propozycji wspólnej przechadzki. Nie miała odwagi na odezwanie się; gdy Michał milczał, pragnęła swoje kroki do jego kroków stosować, niczem mu się nie narazić i nie być dla niego ciężarem. Miała takie obawy, jak ci, co otaczają ukochanego rekonwalescenta, który przeszedł przez ciężką

chorobę nerwową. Bała się swojem zachowaniem się dać mu poznać swoje zadowolenie, bała się zwrócić jego uwagę na własny jego, może w części mimowolny, postępek, bała się spłoszyć lada niezręcznością to dobre usposobienie, którego dowód oczywisty miała i czuła gorąco w sercu. Nie myślała wcale o babce, choć ją ona wychowała i więcej ceniła te kilka słów dobrych, otrzymanych od wuja, niż wszystkie dowody przywiązania pani Gozdawiny.

— Jak to dobrze, żeś ty już dorosła Helusiu — ozwał się Michał—i że z tobą już, nie jak z dzieckiem, pomówić można.

Zarumieniła się z radości, podnosząc ku niemu swoje szczere i proste wejrzenie, zasłonięte w tej chwili cieniem nieśmiałości.

— Chciałem ci powiedzieć... Ty wiesz o tej strasznej chorobie, która dotknęła Konrada?

— Niedokładnie, ale wiem, słyszałam, że był w domu zdrowia.

— Widzisz, ja rzeczywiście nie wiem, skąd to przyszło... Konrad był wprawdzie naturą trochę nieumiarkowaną, trochę nierówną, ale nie zapowiadał niczem obłędu. Przyszedł rozstrój, a potem nagle obłęd, który był następstwem, ale jednocześnie może i ratunkiem. Zbyt wielkie natężenie i cierpienie intelektualne znalazło wypoczynek w bezświadomości i nieprzytomności. Tak przynajmniej tłomaczy tę rzecz Konrad.

Helusia niebardzo rozumiała, ale nie pytała o nic.

— Lekarz wreszcie mi mówił, że to był obłęd dziwny. Było to napięcie najwyższe uczuć i egzaltacji, halucynacje myśli zbłąkanej z przebłyskami dziwnie po-

tężnej w owych chwilach samowiedzy i jakby zmężniałego rozumu i daru spostrzegawczego. Konrad pisywał do jakiejś wymarzonej osoby, nazywanej coraz to inaczej, listy, które lekarz mi oddał, a w których obok rzeczy niejasnych, nieprzytomnych są skarby myśli, a nawet stylu. Potem przyszła furja, wreszcie tyfus i powrót do zdrowia. Lekarze zapewniają, że choroba nie powróci już nigdy, ale Konradowi został wstyd niewytłomaczony tego nieszczęsnego przejścia i wieczna obawa, by ludzie w jego słowie nie podejrzewali resztek nieprzytomności. Niedawno tu uciekł przed moją kuzynką i nie dał się zatrzymać. Na moje prośby odpowiedział: „Ja wiem, że ona nerwowa, a osoby nerwowe boją się warjatów". Ciągle go prześladuje ta myśl nieszczęsna i zdaje mi się, że on w gruncie boi się powrotu choroby. Otóż, moja Helusiu, my, jego przyjaciele, musimy leczyć go z tej natrętnej myśli. Nie uwierzysz, z jaką przyjemnością widzę jego sympatję dla ciebie. Ja, ty rozumiesz... nie mam skąd brać dla niego pociechy, nie mam czem go uzdrowić. Ale ty, moje dziecko, ty masz młodość, szczęście, masz myśl swobodną i masz tę błogosławioną muzykę, która Konrada odrywa od myśli chorych. Mnie się zdaje, że on przy tobie jest odmłodzony i nie pozuje na człowieka przy zdrowych zmysłach, co czyni ze wszystkimi obcymi ludźmi. On z tobą żartuje, wpada w swoje dawne paradoksy, zapomina o tem przejściu, które go dzieli od swobodnej młodości. Czy ty czujesz, Helusiu, że to nie mała rzecz mieć w swojem ręku taką możność pocieszenia i wprost może odpędzenia na zawsze tych mar, które biednego człowieka prześladują? Chciałem

na to zwrócić twoją uwagę. Nie mogę ci powiedzieć: „bądź dobra dla niego“, bo prośba o dobroć jest głupotą. Albo się jest dobrą, albo się nią nie jest i żadne prośby nie są w stanie zmienić serca niczyjego. Zresztą, zdaje mi się, że ty jesteś dobra.

— Jestem dla niego dobra, wuju.

— Więc tylko chciałem, byś wiedziała, że dobroć twoja może mieć cel bardzo szlachetny, może usiłować rozumnie i starać się wyciągnąć człowieka z przepaści.

— Dziękuję, wuju, żeś ze mną mówił, jak z osobą dorosłą i zdolną cię rozumieć.

Michał spojrzał na Helusię. W słowach jej dźwięczała taka powaga i taka prostota, że uderzony niemi został.

— Widzę, żeś nie dziecko i kiedy tak jest, będę zawsze z tobą mówił szczerze. Nawet może czasem dam ci jaką radę. Pod jednym wszakże warunkiem.

— Każdy przyjmuję zgóry.

— Pod warunkiem, że za radą moją nie pójdziesz, jeżeli będziesz przeciwnego zdania. Nie chciałbym krępować twojej swobody; nie chciałbym, byś postępowała wedle moich wskazówek dlatego, że czujesz się w obowiązku mieć dla mnie względy należne starszemu krewnemu. Czy przyjmujesz mój warunek?

— Kiedy... jabym chciała, żeby wuj mię zrozumiał.

— Będę się starał cię zrozumieć.

— Wuj nie może dać mi złej rady.

— Owszem. Najprzód każdy mylić się może. Powtóre ja jestem dziwak. Sam to wiem. Mam w wielu razach zdanie wprost przeciwne, niż zdanie ogółu; mam swoje własne pojęcia o wielu rzeczach.

W ostatnich czasach jeszcze samotność uczyniła mię dziwaczniejszym, niż byłem dawniej. Zrozumiej mię, mówię o samotności myśli. Mam wkoło siebie ludzi, ale w myślach jestem sam jeden. I z Konradem teraz mało mówię, bo się boję szczepić na jego osłabłym umyśle to, co może jest też mrzonką marzyciela. A samotność myśli, Helusiu, z konieczności wyradza dziwactwa.

— Wuj nie jest sam, — rzekła Helusia — wuj dużo czyta.

— Tak, moje dziecko, ale po największej części dzieła, które czytuję, przykrawam do moich tendencyj. Widzisz... prawie każdy, kto myśli, idzie taką śliską ścieżką. W historji, w życiu narodów, we własnym losie, widzi to, co chce widzieć. Ale ja tu prowadzę strasznie nudną dla ciebie rozmowę.

— Nie, wuju, proszę. Mnie to wszystko zajmuje niezmiernie. Jestem bardzo niewykształcona, nic nie umiem, ale pragnę się oświecać. I muszę powiedzieć... nie wystawiam sobie takiej rady wuja, za którąbym nie poszła, bo ja w wuja wierzę.

Michał uśmiechnął się, a wyglądał na człowieka bardzo smutnego, gdy się uśmiechał.

— To nie jest żadna racja, a raczej... daruj mi, Helusiu, to jest racja czysto kobieca.

— Skądże mogę wziąć inną? — zapytała Helusia z naiwnością lat ośmnastu.

— Ale to jest zła racja. Niech tobą rządzi rozum, nawet uprzedzenie, ale twój własny rozum i twoje własne uprzedzenie.

— Postaram się je mieć — odparła Helusia. — Tylko proszę o jedną łaskę, o jedno ustępstwo.

— Chciałbym powiedzieć tak jak ty, że każde przyjmuję zgóry, ale nie mogę. Bezświadomie się zobowiązać, to dla mnie rzecz niemożliwa.

— Gdy będzie chodzić o drobiazgi. Naprzykład gdyby wuj uważał, że ten kapelusz jest brzydki, a gdyby mnie się zdawało, że ładny... Wolno mi będzie wyrzucić go dla tego, że się wujowi nie podoba?

— Ułożymy każdą rzecz wspólnie, bylebyś mi zawsze powiedziała własne i zupełnie szczere zdanie.

— To takie szczęście dogodzić komuś, kogoby się zadowolić chciało!

— Tak, to szczęście i właśnie dla tego trzeba umieć odmówić go sobie. Powiedziałem ci, że jestem dziwak, ale cierpiałem nieraz bardzo z tego powodu, że na zadowolenie kogoś ukochanego pozwolić sobie nie mogłem.

Helusia spojrzała na Michała zdziwionemi i zachwyconemi oczyma. Mówił z nią poważnie, mówił jak z równą sobie, pomimo że widziała go niezwykłym, wyjątkowym i godnym podziwu. Truchlała przed nim, jak niegdyś Konrad, pragnęła dać mu o sobie dobre wyobrażenie i za nic w świecie nie chciałaby była go obrazić. Była gotowa leczyć Konrada muzyką, a także wesołością, młodością własną, ale miała uczucie napełniające ją skrytą radością, że może będzie mogła przyczynić się też do innego wyzdrowienia, do uleczenia jeszcze innych ran. Bo skoro wuj mówił z nią poważnie, skoro chciał otwierać całą myśl swoją przed nią... Byleby go tylko nie zraziła swoją niewiadomością! Czy potrafi nadążyć za nim, gdy jej będzie mówił o tem, co było owocem jego myśli samotnej. Bę-

dzie się czepiała urwiska, będzie usiłowała iść za nim i może przez siłę gorącego pragnienia zdoła go zrozumieć, a przynajmniej dać mu złudzenie, że go rozumie. Bo tu nie chodziło o nią, lecz tylko o niego. Niech on ma przy sobie duszę, którąby mógł uważać za równą sobie, a przynajmniej za godną zaufania! Serce jej biło radośnie na myśl, że marzenia jej dziecinne spełniały się, że będzie może mogła przyłożyć rękę do dzieła ratunku, że dzięki niej zmartwychwstanie ze śmierci moralnej odbędzie się wcześniej.

Obok wpadającego w nowe zamyślenie wuja szła lekko i cicho, pragnąc nawet szelestem sukni mu nie przeszkodzić, gdy miał ochotę milczeć. Bała się, by nie usłyszał pełnych i radosnych uderzeń jej serca, które biło uczuciem wielkiego triumfu. Nareszcie! Nareszcie przemówił do niej, nareszcie uczuł ją godną szczerości i zaufania!

Stenieczka przybiegła z rękami pełnemi kwiatów i z prośbą o pomoc w ich niesieniu. Helusi się wydało, że dziecko popełniło taką niezręczność, jak człowiek, budzący chorego, który zasnął. Odpowiedziała jej szeptem, który dopiero zwrócił uwagę Michała. Spojrzał na Helusię, spotkał jej wzrok przestraszony, zrozumiał i uśmiechnął się.

Nieraz w życiu zdarzyło mu się wzbudzić poszanowanie dla swoich nerwowości, złych humorów, a nawet dla swoich dziwactw. Zabawiło go to, że Helusia już temu oddziaływaniu jego charakteru ulegać zaczynała.

Niema na świecie takiego apostoła, któryby nie lubił doktryn swoich szczepić w sercu bliźniego, a może szczepienie owo przyjemniejsze jest jeszcze, jeżeli

serce, do którego się przemawia, bije w piersi prześlicznej dziewczyny, której oczy niebieskie z bardzo ciemną obwódką rzęs podnoszą się na mówiącego z wyrazem czci i pokory i która truchleje przed nim, jak Izrael truchlał przed Jehową.

Weszło w zwyczaj, że we troje chodzili lub jeździli na wycieczki gospodarskie i była to dla Helusi chwila wybrana z dnia całego. Obie ze Stenieczką od rana radowały się na myśl o spacerze z gospodarzem domu, a gdy w deszcz wychodził i wyjeżdżał sam, nie zabierając swoich towarzyszek, obie miały strapioną i przeciągniętą minę.

Było to ciągłym powodem cierpienia dla pani Gozdawiny. Jej gorące a dumne serce doznawało ukłóć i ran mniejszych i większych. Pewnego razu, gdy zaproponowała dziewczętom przechadzkę po ogrodzie, otrzymała odpowiedź Stenieczki:

— Nie możemy pójść z babcią, bo tatuś będzie może chciał z nami pójść.

— Ma u siebie kupca na drzewo. Kazał zaprzęgać i pewno z tym kupcem pojedzie do lasu.

— Ale powróci i może nie zastanie nas!

Pani Gozdawina nie odpowiedziała. Miała duszę przepełnioną bólem. Poszła sama, zasłaniając się parasolką, choć dzień był pochmurny, by która z jej wnuczek, spojrzawszy przez okno, nie zobaczyla, że całą jej postać wstrząsały łkania. Ona te dzieci wykołysała, wypiastowała, nosząc je czasem, gdy były chore, na rękach własnych, po całych nocach, ona i dziś myślała o wszystkich ich potrzebach, żyła myślą o nich, a one czekały skinienia Michała, który raczył je brać z sobą

na spacer. Raczył! I one to tak czuły. Miały to za łaskę z jego strony, za królewską miłościwość, której obrazić bały się, na ktorą oczekiwaniem niespokojnem zasłużyć usiłowały.

Już teraz i Stenieczka zaczynała bać się obrażenia ojca więcej, niż wszelkich połajań babki, niż wszelkich kar. Gotowa się była wystawić na niezadowolenie wszystkich innych domowników, lekceważyła rady bony, babce ulegała bez zapału, choć wiedziała, że ulegać musi; ojcu patrzała w oczy i usiłowała odgadnąć jego życzenia. Przyszło jej to, jako sugestja, od Helusi, za pomocą tej bezwiednej, a potężnej intuicji, którą dzieci są obdarzone. Pani Gozdawina widziała, pojąć nie mogła i cierpiała. Rozumiała dobrze, że oddziaływanie żadneby tu nic nie pomogło, brzydziła się zresztą wszelką intrygą, pogardzała drogami podziemnemi. Ale miała żal do Michała i w tym żalu odnajdywała coraz silniejsze przywiązanie, które zięć bez żadnej ze swej strony zasługi obudzić w niej potrafił. Była zazdrosna o tę miłość Stenieczki i Helusi, a ją, gospodynię domu w Minowicach, ją, która potrafiła wychować te dzieci wzorowo, ją, która lepiej i rozumniej od Helusi odpowiedzieć na wszystko umiała, omijał. Widziała, że nie było w tem chęci obrażenia jej, że postępował w całej naiwności ślepego egoizmu i bolała, że mu była niczem. Dla dzieci miał słowa płynące z serca, miał myśl zwróconą ku ich przyjemności i pożytkowi, miał błysk w oczach na ich widok, dla niej zaś miał tylko zdawkową monetę uprzejmości z nakazu, słów konwencjonalnych i uszanowania, przyjętego zwyczajem. Zamykała się względem niego

w milczeniu, wszakże nie zwracał na to uwagi, więc przyjęty środek chybiał celu; mówiła o wyjeździe z Minowic w październiku, ale otrzymywała tylko spojrzenie zięcia, rzucone na Helusię i jakby pytające: „Czy doprawdy chciałabyś wyjechać stąd w październiku?“ Raz wywołała słowa:

— Październik bywa jeszcze czasem bardzo pogodny i miły na wsi, ale naturalnie mama uczyni wedle swojej woli.

On to nazywał postępkiem wedle jej woli! Nie rozumiał, że to z jej strony był bunt przeciwko jego obojętności, że to była zazdrosna chęć pokazania mu, że jej było pilno do Warszawy, że wcale jej nie chodziło o te parę miesięcy, które dłużej w Minowicach przebyć mogła. Wogóle stała się względem Michała wyniosłą i wyraźnie zaznaczającą swoją wolę. Lecz on ani jej milczenia, ani jej uprzejmości, ani jej wyniosłości nie zdawał się dostrzegać. Może zmienność jej usposobienia, kładł na karb zwykłych kaprysów kobiecych, które siła męska powinna tolerować i przeciwstawiać im uśmiechniętą dobrotliwie wyrozumiałość.

Czasem w sercu tej kobiety, zranionej w uczuciach, wrzał gniew. Wtedy mówiła sobie, że z radością ucieknie z Minowic z Helusią, że ją wyrwie z pod wpływu Michała, że ją przynajmniej zabierze i nie będzie już patrzeć na ten głupi kult obu dziewcząt względem osoby Michała. W myślach jej to zabranie Helusi, z którą na lato chciała wyjeżdżać do Otwocka lub Nałęczowa, było rodzajem zemsty nad Michałem. Niech ma samotność, kiedy nie umie cenić tej, która mu ją zapełniła życiem rodzinnem.

Nawet w obejściu się z nią Konrada, okazującego jej szacunek wielki i upodobanie w rozmowie z nią, znajdowała nowy powód do użalania się nad sobą. Obcy, który nic jej nie był winien, cenił ją więcej niż jej blizcy, prosił ją czasem o radę i zdanie jej ważył sobie wysoko.

Były to codzienne, drobne zajątrzenia, składające się na jedną wielką ranę. Pani Gozdawina zbierała w sercu swem bóle, jak się w skarbcu chowa kosztowności. I Stenieczka i Helusia i Michał ciągle i bezwiednie dokładali jeszcze do tego wielkiego ciężaru, gniotącego piersi biednej kobiety. Bolały ją teraz nawet takie drobiazgi, na które dawniej nie byłaby zwróciła uwagi. Dziewczęta wpatrzone w Michała i ciągle gotowe na jego usługi nie widziały czasem, że usług ich potrzebowała babka. Często dochodziło ją jakieś słowo z cichej narady Helusi ze Stenieczką, narady mającej na celu uprzyjemnienie życia Michała, dogodzenie jakiemu skrytemu jego życzeniu. Te niewinne spiski dziewcząt dolewały oliwy do ognia. Pani Gozdawina walczyła z sobą, powtarzała sobie, że te paroksyzmy zazdrości były niegodne charakteru podniosłego, lecz wola jej zawsze zwyciężana była przez silniejsze ciągle drażnione uczucia.

Wedle życzenia Michała Helusia używała wszystkich usiłowań swego kobiecego, domyślnego serca, by z przed oczu Konrada usuwać widmo, które z przeszłości ku niemu wyglądało. Przyjęła względem sąsiada taktykę zupełnie różną od zwykłej taktyki panien względem młodych ludzi. Nie unikała go, nie raziło jej wcale pozostawanie z nim sam na sam, ciągnęła go do for-

tepianu, otaczała go dobrocią, unikała wszystkiego, coby go w jakikolwiek sposób dotknąć mogło i bez żadnego zmieszania, z prostotą i szczerością, które były jej największym czarem, podnosiła ku niemu piękne oczy, w których nie było ani zaczepki, ani myśli egoistycznej żadnej. On bronił się z początku, ale prędko zapomniał o wszelkich rozumowaniach. Osoba i muzyka Helusi pociągały go, w życiu rodzinnem Minowic znajdował pociechę i uczucie zadowolenia, przyjeżdżał więc często i pozwalał owionąć się atmosferze młodości i piękna, która otaczała Helusię, Stenieczkę i Michała. W Minowicach, gdy nie było gości czuł się zupełnie swobodnym. Nie pozował na człowieka, będącego typem zupełnego zdrowia umysłowego i nie obawiał się, że w każdej chwili wszyscy pamiętali o chorobie, która na jakiś czas zamąciła mu umysł. Uległ też upodobaniu dziwnemu, które w nim tkwiło, a które zwalczał dotąd: począł z Helusią mówić o swej warjacji. Gdy się to po raz pierwszy zdarzyło, Helusia zmieszała się bardzo. Nie wiedziała, czy go do zwierzeń zachęcać miała, czy też ich unikać. Poszła na naradę do Michała, który po namyśle przyszedł do wniosku, że jeżeli Konrad do swych wywnętrzań powróci, to Helusia powinna ich słuchać, jak relacji przejść, nie mogących mieć żadnego wpływu na przyszłość.

— Myślę, — mówił Michał — że ta chęć zwierzenia komuś tego, co jego umysł nawiedza, musi w nim tkwić, jak cierń, który wyrwać pragniemy. Więc może pożytecznem będzie dlatego biedaka, że ty go wysłuchasz, jak ty słuchać umiesz, to jest nie jak ciekawa kumoszka, żądna co raz to nowych szczegółów, ale jak

pełna litości siotra, której siła litości daje rozum i takt. Jestem pewien, że ty odczujesz, jakie z twojej strony obejście się i jakie słowa będą dla niego najlepsze. Ma do ciebie zaufanie, którego nawet do mnie nie ma. I ja to rozumiem. On czuje we mnie ostrzejszą i starszą krytykę, myśli, że może słuchać go nie zechcę i jego zwierzeniom przeciwstawię nawoływanie o moc ducha i panowanie nad sobą. W tobie czuje litość niehamowaną przez siłę woli, litość młodej duszy kobiecej, i do ciebie idzie się użalić, czy wprost wyspowiadać z tego, co leży w jego myślach, a co ukrywa przed innymi. Ty, Helusiu, jesteś z urodzenia duchową siotrą miłosierdzia. To wielkie powołanie! Opatrywać rany fizyczne potrafią nawet grube ręce lekarza, zobojętniałego na cierpienia ludzkie, ale odczuwać w sercu bliźniego ból, we własnej duszy znajdować struny dzwoniące miłością i miękką, lekką rękę pomocną przykładać do ran tajemnych, których inni nie widzą, to zadanie bardzo piękne i tak wyraźnie kobiece!

Helusia odeszła z uczuciem zawstydzenia i wielkiej przykrości. Czuła się niedomyślną, za mało oddaną cierpieniom bliźnich, wogóle wcale nie podobną do obrazu duchowej siostry miłosierdzia, który Michał przed nią ukazał. Przykro jest znosić słuszne nagany, ale stokroć przykrzej słuchać niezasłużonych pochwał. Gdyby je był wygłosił kto inny, byłaby protestowała głośno, byłaby się broniła z całych sił, ale Michałowi przeczyć nie chciała. Myślała:

— Może to i dobrze, że on mię ma za lepszą niż jestem. Dla mnie to źle, bo mię te niezasłużone pochwały gniotą i przygnębiają, ale dla jego szczęścia

lepiej, że widzi we mnie istotę wyższą przez wielką chrześciańską miłość, przez powołanie na duchową siostrę miłosierdzia. Może i on otworzy przede mną kiedy swoje milczące serce. Rozmawia już ze mną poważnie i szczerze o rzeczach ogólnych i domowych; może kiedy wybije godzina, w której mi mówić będzie o swojej boleści, o swoich uczuciach, o swoich nadziejach osobistych. Niech myśli, żem doskonała i wyjątkowa, bo taką istotę miło jest mieć przy sobie. Niech więc ma tę pociechę. Jest ona złudzeniem, ale złudzenie warte rzeczywistości, dopóki się je ma! Byle go tylko w tem złudzeniu utrzymać choćby kosztem upokorzenia, którego we własnych oczach doznawać muszę! Co tam moja duma wobec jego zadowolenia!

Szukała Konrada, którego opuściła dla porady z Michałem. Usłyszała dźwięki fortepianu i skierowała się ku salonowi. Konrad ujrzawszy ją, kilkoma akordami zakończył improwizację, której się oddawał.

— Czy będziemy grali jeszcze? — zapytała, stojąc obok fortepianu.

— Naturalnie, że grać będziemy! Septuor czeka, niech pani siada.

Helusia przy grze na cztery ręce z Konradem podejmowała się zwykle wykonywania basu. Na swojem miejscu usiadła więc i teraz, pytając:

— Skąd zaczniemy?

Lubił w niej niezmiernie tę, okazywaną sobie uległość i oddawanie najzupełniej w jego ręce kierunku tych godzin, które przy fortepianie spędzali. Jak zwykle charaktery słabe, lubił samemu sobie, choćby chwilowo tylko, wydawać się pełnym siły, zdolnym do kierowa-

nia innymi i do panowania nad ich wolą przez naturalne oddziaływanie wyższości, przez przewagę mocy charakteru.

Panował nad Helusią. Kazał jej powtarzać po kilka razy te same kawałki, kazał jej się uczyć rzeczy, które nudnemi znajdowała, przerywał, kaprysił, czasami męczył ją naprawdę. Radowało go to, że mu ulega i uległości jej nadużywał.

W połowie pierwszej karty septuoru urwał i zdjął nagle jej rękę z fortepianu.

— Chodźmy do ogrodu, panno Heleno.

— Chodźmy do ogrodu, — powtórzyła z uśmiechem, zabawiona nagłością propozycji i tem zatrzymaniem ręki, jakby pragnieniem Konrada było oszczędzanie własnemu słuchowi każdej nuty, wchodzącej w drogę jego chęci urwania muzyki.

Szli do ogrodu. Jego trawiła ochota mówienia znów o epoce życia swego, o której nie mówił dotąd z nikim innym. Ona myślała:

— Jak to dobrze, że wiem, co mam czynić z jego zwierzeniami. Bo on pewno znowu zwierzać się będzie.

Patrzała na jego głowę, spuszczoną na piersi, i widziała, że po jego czole przebiegały chmury.

— Czy panią bardzo męczy rozmowa ze mną? — zapytał podejrzliwie.

— Rozmowa jest, jak gra na cztery ręce. Dwoje ludzi idzie razem za myślą muzykalną kompozytora, albo dwoje ludzi myśl własną w rozmowie wysyła w jedną stronę. Gdy chodzi o rozmowę między panem a mną, to jabym raczej zapytać powinna, czy pana nie męczę?

— Dlaczego?

— Bo pan tyle więcej wie i umie.

— Więcej przeszedłem, niezawodnie. Opowiedziałem już pani o jednem przejściu mego życia... o takiem, które pani nigdy nie dosięgnie...

— Kto wie? Jest to choroba, jak każda inna. Może mnie spotkać tak, jak spotkała pana.

— To nie jest choroba, jak każda inna i to mię właśnie gnębi! Żeby jej dostać, trzeba mieć w mózgu tę fałdkę predyspozycji, która o niej stanowi. I jeszcze jest jedna rzecz, panno Heleno. Powstawszy z niej i nawet wróciwszy do zupełnego zdrowia jest się innym, na zawsze innym, niż się było. Ludziom się zdaje, że można po takiem przejściu powrócić do swojego dawnego *ja,* że człowiek wraca do domu jak po odbytej podróży i zastaje w nim wszystko, jak było... Gdzietam! Widziało się światy, których nikt ze znajomych nie widział, było się półbogiem i tego wspomnienia, tych uczuć potęgi i wielkości nic zatrzeć nie jest w stanie. Panno Heleno! Ja mały, szczupły i wątły powaliłem o ziemię siłacza, który dziś jednym palcem przygniótłby mię i zmiażdżył; uderzeniem pięści w gruzy zamieniłem piec kaflowy; miałem siłę olbrzyma i byłem z niej dumny; byłem zuchwały do szaleństwa. Była to tylko siła nerwowa warjata, alem ją jednak posiadał. W tym samym stosunku urosła we mnie siła wyobraźni, siła myślenia, siła twórcza myśli. Byłem półbogiem, bo uczuć półboga doznałem!

Helusi idącej obok Konrada stawało się dziwnie nieswojo. Szukała w myśli odpowiedzi stosownej, nastrajała się do roli pocieszycielki rozsądnej a słodkiej,

ogarniało ją jednak uczucie bezsilności i wielkiego zdziwienia. Wyobrażała sobie, że ten człowiek wstydził się, że się lękał tłoczących się mimowoli do umysłu wspomnień natrętnych, a on, lękając się ich, jednak się w nich lubował. Helusia w swej myśli napół jeszcze dziecięcej nie była w możności zdać sobie sprawy z tego stanu ducha, który się jej z dziwną i naiwną szczerością odkryć usiłował. Przejmowało ją uczucie jakiejś grozy, litości, a jednocześnie gorączkowego zainteresowania się. Ciągnęło ją do przepaści, która się jej oczom ukazywała, a na samą myśl o tej przepaści w głowie jej się kręciło. Jaka to w istocie była zdumiewająca potęga choroby, która z tego bladego i szczupłego człowieka czyniła siłacza, któremu żaden atleta oprzeć się nie mógł. Jakie to było dziwne, że i twórcza potęga wyobraźni zolbrzymiała w nim wraz z siłą fizyczną.

Stała przed Helusią bezdenna i straszna zagadka, i dziewczę odczuło, że przerasta jej rozum. Co tu znaleźć do powiedzenia Konradowi, coby mu mogło dać zapomnienie i wypoczynek od tego wspomnienia, władającego jego duszą? Przypomniała sobie zalecenia Michała i zebrała odwagę.

— W dzieciństwie miałam raz silną gorączkę — rzekła. W gorączce tej przesuwały mi się przed oczami rozmaite najdziwaczniejsze obrazy, które mię potem straszyły, jak widma, gdym przyszedłszy do zdrowia na pamięć je przywoływała! To jest widać rzecz zwyczajna.

— Nie, — zawołał Konrad. — To jest zupełnie co innego! Ja pani wszystko opowiem! Ale może ja się pani śmiesznym wydaję? Może pani mię ma za człowieka, nie będącego przy zdrowych zmysłach? Je-

stem pewien, że niejedna kobieta w tej chwiliby ode mnie uciekła, że niejednaby się bała!

Helusia pomyślała, że musi być odważną i choć lekki dreszcz przebiegł jej po plecach, podniosła ku Konradowi oczy spokojne.

— Cóż to dziwnego — rzekła, że pan mi opowiada to, co pan przeszedł? Każdy lubi wspominać nadzwyczajne wydarzenia, które mu się przytrafiły... Ja to zupełnie rozumiem!

— Pani to rozumie? Pani jest istotą, przeznaczoną do odczuwania sympatji! Pani ma takie oczy duszy, które patrzeć umieją! Dobrze jest człowiekowi spotkać panią na drodze swojej! Pan Bóg stworzył panią w chwili wielkiej litości dla nędzy ludzkiej!

Helusia chciała wołać, że nie zasługuje na żadne pochwały, ale pomyślała, że zapewne zdrowo było dla uczuć Konrada, by ją miał za istotę wybraną, że może, jako taka, łatwiej na niego wpływać potrafi, rzekła więc:

— Nie mam oczu duszy bardzo przenikliwych, ale umiem być wdzięczną moim przyjaciołom, gdy chcą mówić ze mną szczerze i gdy mi myśli swoje najtajniejsze odkrywają.

— Najtajniejsze! — pochwycił Konrad — tak, najtajniejsze! Wszak ja bałem się wspomnieć komukolwiek o tej mojej przeszłości, a miałem ją ciągle tu i tu!

Wskazał na czoło i na piersi.

— Bałem się wszystkich, nawet Michasia, bałem się nerwowo, instynktownie, jak warjat boi się kaftana, który go obezwładnia. Dlaczego się pani nie boję, tego sam nie wiem... Więc pani chce mię słuchać? Pani chce iść ze mną w tę krainę wspomnień?

— Chcę — odparła Helusia, którą przebiegł dreszcz grozy. — Pan mi opowie wszystko...

— I może tym sposobem wyjmę to sobie z pod czaszki! Ale pani mi musi uczynić przyrzeczenie...

— Jeżeli będę mogła, uczynię je.

— Pani mi musi przysiąc, że pani nigdy, nikomu nie powtórzy moich zwierzeń. Tylko że pani jest kobietą i może nieprzezwyciężenie niedyskretną.

— Słyszałam, jak raz babcia mówiła, że mężczyźni są daleko bardziej niedyskretni od kobiet i że właśnie oni żadnej tajemnicy zachować nie są w stanie. Ja nie mam doświadczenia żadnego, ale gdy mię która koleżanka prosiła o sekret, tom go dotrzymywała. Wszakże niech pan ode mnie nie wymaga przyrzeczeń. Jeżeli w istocie zasługuję na zaufanie, to niech mi je pan da bez żadnych warunków. Mnie się zdaje, że warunki w tym razie nic nie warte! Jeżeli ja nie mam dość serca na to, by zamilczeć przed innymi o tem co jest tajemnicą cudzą, to mojego gadulstwa nie zwiąże przyrzeczenie.

— A więc bez zastrzerzeń żadnych! — zawołał Konrad. — Ma pani słuszność, zaufanie, to zaufanie zupełne! Zastrzeżenia upakarzają obie strony i dają dowód podejrzliwości, której ja względem pani nie mam. Przyrzeczenie zachowania tajemnicy daje mi wyraz oczu pani. Uczciwszego wejrzenia nie widziałem w życiu! Wreszcie to nie są tajemnice żadne. Tajemnica to coś, czego wyjawienie mogłoby zaszkodzić czyjemuś szczęściu, czyjejś sławie, czyjemuś powodzeniu. To zaś, o czem z panią mówić pragnę, to nie może zgubić nikogo i tylko jakieś uczucie niewytłomaczonego wstydu

sprawia, że pragnę, by pani jedna wiedziała. Niech inni nie podejrzewają we mnie tej hydry wspomnień, tego pociągu, który mię zwraca ku nieszczęsnej mojej przeszłości, tej ciekawości, która mi każe wciąż szukać rozwiązania zagadki i tej wątpliwości nieuzasadnionej, szalonej, której jednak oprzeć się nie mogę, wątpliwości, czy tamto było rzeczywiście stanem nienormalnym i czy raczej chorobą nie jest mój dzisiejszy stan bezsilności fizycznej i bezpłodności umysłowej. Tamtego zapomnieć nie można, jak się nie zapomina chwil najwyższego szczęścia i najwyższej potęgi.

Helusia czuła się zmieszana i nieswoja. Poczęło ją trapić przypuszczenie, że Konrad, jeżeli był w tej chwili zdrów zupełnie, mógł w każdej chwili powrócić do stanu nieprzytomności. Rozmyślała o tem, coby uczyniła, gdyby przystęp furji zdarzył się w tej chwili.

Konrad tymczasem mówił z zapałem i zdawał się chwytać z rozkoszą sposobność uczynienia zwierzeń postępującej obok niego dziewczynie.

— Jakem ja sobie wypoczął wtedy od codzienności, od szarej przędzy życia! Mali ludzie, małe względy i małe przyczyny nie istniały dla mnie!

— Będę bronić codzienności życia — rzekła Helusia, rada, że zdołała uchwycić jakąś myśl, którą egzaltacji Konrada przeciwstawić mogła. — Życie jest śliczne! Niech pan pomyśli... jest słońce dla wszystkich, lato dla wszystkich,.. a dla nas jeszcze muzyka...

Spojrzał swym niezwykle błyszczącym wzrokiem na uśmiechnięte usta Helusi, objął potem wzrokiem całą jej postać i rzekł głosem w którym odczuwały się dźwięki gorętsze:

— Prawda, życie bywa śliczne w niektórych swych przejawach. I słońce jest piękne i lato i muzyka... i dobra jest obok człowieka dusza wzbudzająca ufność...

Pani Gozdawina szukała Helusi i przerwała jej rozmowę z Konradem. Zaczynała się trochę niepokoić tą wyłączną przyjaźnią do wnuczki. Najprzód chciałaby była Helusię jak najpóźniej zamąż wydać, a wiedziała, że takie przyjaźni często w miłość się zamieniają; powtóre zapomnieć nie mogła, że Konrad niedawno powrócił z zakładu dla chorych umysłowo. Postanowiła pomówić z Helusią i zamknęła się z nią w swoim pokoju. Ale Helusia uspokoiła jej obawy.

— To jest bardzo nieszczęśliwy człowiek — rzekła — i dlatego nie unikam jego towarzystwa. Często mię on męczy. Jest przy fortepianie kapryśny, wymagający i despotyczny, a gdy rozmawiamy sam na sam, jest czasem dziwny... egzaltowany i niezrozumiały dla mnie. Często miałabym ochotę od niego uciekać i dziś byłam mimowoli wdzięczna babci, że naszą rozmowę przerwała. Nie uciekam od niego, bo skoro wzbudziłam w nim zaufanie, więc mogę czasem trochę go pocieszyć, trochę mu przyjść z pomocą... Ale niech się babcia nie boi. Ani ja jemu nie podobam się tak, jak się może podobać osoba, którąby się żoną nazwać chciało, ani znowu mnie on się nie podoba..

— Widzisz moje dziecko... Konrad jest człowiekiem zacnym, wykształconym, różnica wieku między wami jest duża, lecz ostatecznie zamknąć na nią oczyby można, jedna jest rzecz straszna: jego choroba. Lekarze mówią, że jest wyleczony na zawsze, ale lekarze bardzo często się mylą.

— Kiedy niema najlżejszego prawdopodobieństwa! Niema o czem mówić! Babcia wie, że jestem szczera zawsze. Jestem też zupełnie szczera w tej chwili.

— Pocieszyłaś mię, moje dziecko. Gdy się przeszło wielkie nieszczęścia, ma się mimowoli strach przed wszystkiem. Już myślałam o prędkiej ucieczce z tobą z Minowic. Ale skoro dla Konrada masz tylko...

— O, tylko przyjaźń i pragnienie niesienia mu pociechy. I przede mną też, babciu, stoi widmo tej jego nieszczęśliwej przeszłości. I ja się tego widma boję. Zresztą babcia wie, moje cele są inne!

Po tej rozmowie z babką, Helusia ukrywszy się w swoim pokoju, pisała list do koleżanki, z którą korespondowała. Czyniła to w tej chwili dlatego, by uniknąć dalszej rozmowy z Konradem. Ujrzała go dopiero wtedy, gdy jej oznajmiono, że pragnął się z nią pożegnać.

— Czy dzieci chcą uczynić ze mną wyprawę do lasu? — zapytał Michał nazajutrz po śniadaniu.

Odzywając się do Helusi i do Stenieczki, mówił zawsze w liczbie mnogiej „dzieci„ i traktował je teraz tak, jakgdyby obie jego córkami były. Obdarzał je obie i usiłował nie czynić między niemi żadnej różnicy. Chciałby był, by się jednakowo ubierały. Stenieczka od niemowlęctwa ubierana była zawsze biało, bez żadnych kolorowych ozdób i tak miało być do skończonych jej lat 10-ciu. To był rodzaj żałoby po matce, obmyślony przez panią Gozdawinę. Michał rzekł raz do Helusi:

— Czemu ty się nie ubierasz biało, jak Stenieczka?

— W mieście to było niemożliwe. Nie mam tylu sukien białych, bym mogła zawsze w nich chodzić.

— Ale tu, w lecie, w Minowicach... materjał do prania tak mało kosztuje... kupimy, co będzie potrzeba... zrobimy wycieczkę do Słomieńca po wyprawę dla ciebie. Wszak Weronika uszyć to potrafi.

Helusia odtąd starała się być zawsze biało ubrana. Skoro to był kaprys wuja, gotowa była wszystkie swoje kolorowe suknie pochować do kufra.

— Ale może ty nie lubisz białego koloru? — spytał Michał, gdy ją ujrzał w bieli, od stóp do głów.

— Na białej sukni znać każdą plamkę — odparła— wygodniej jest nosić suknię mniej plamistą; ale mi przyjemnie, że wuj chciał mieć jednakowo ubrane „dzieci".

Włościanie okoliczni przyzwyczaili się widzieć wysoką, czarnę postać mężczyzny, przy boku którego szła biało ubrana panna, przed nimi zaś biegło też biało ubrane dziecko z rękami pełnemi świeżo zerwanych kwiatów.

Podczas przechadzki do lasu nazajutrz po zwierzeniach Konrada Michał, widząc, że Stenieczka pobiegła naprzód, zapytał z niepokojem o przyjaciela i usposobienie, w jakiem dnia poprzedniego Helusi się ukazał.

Dziewczyna zmieszała się, lecz zaraz ku Michałowi podniosła spojrzenie szczere i jasne.

— Nie dałam panu Konradowi przyrzeczenia, że zachowam tajemnicę co do jego zwierzeń, ale on o tajemnicę prosił. Życzy sobie, żeby nawet wuj nie wiedział o treści jego wczorajszej rozmowy ze mną. Czy więc mam milczeć?

— Naturalnie, moje dziecko! Wiesz dobrze, co moją ciekawość powoduje, ale skoro on chce tajemnicy, a twoje sumienie ci ją nakazuje... Dobrze, że jesteś dyskretna i uczciwa, ty moralna siostro miłosierdzia. Nie mam tajemnic osobistych i nie mam zwierzeń do uczynienia, ale że życie jest często dla człowieka okrutne, więc może i ja kiedy z jaką raną do ciebie przyjdę.

— A, niechże Bóg broni!

— Nie chcesz moich zwierzeń?

— Niech Bóg broni, by życie okrutnem dla wuja być miało! Jest takie, wiem, ale niech nowych ciosów nie przynosi, niech daje same pociechy!

Michał spojrzał na Stenieczkę, potem w swem sercu wyczytał, że nie była ona jedyną jego pociechą. „Dzieci"! On miał dzieci. Trudno mu było rozróżnić i ocenić, którą z dziewcząt kochał silniej. Obie były mu tarczą przeciwko zupełnemu nieszczęściu, a gdy tak był z niemi razem, uznawał przed samym sobą, że życie miało dla niego przyszłość i interes. Nie można być zupełnie nieszczęśliwym, gdy się czuje dla siebie żywe przywiązanie, a on w oczach dziewcząt czytał, że mu były oddane zupełnie.

— Helusiu!

Spojrzała pytająco.

— Mam przekonanie, że to ty nauczyłaś Stenieczkę tej wiary w moje czyny, w moje słowa, którą w niej widzę. Może i bez ciebie kochałaby mię, ale tyś mię dla niej uczyniła nieomylnym.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się blaskiem uśmiechu i zadowolenia.

— I babcia utrzymuje, że ja wzniosłam ołtarz, na którym obie ze Stenieczką palimy dla wujaszka ofiary.

— Stenieczce to nie szkodzi. Cześć dla ojca to bardzo piękne i zdrowe dla dziecka uczucie. Ty, Helusiu, to co innego. Ty masz prawo mię sądzić. I sądzisz pewno.

Helusię oblał rumieniec. Chciała powiedzieć, że nie miała ojca i rada była czcić wuja, który jej tyle dobroci i przywiązania okazywał, ale krępowała ją nieśmiałość. Michał dostrzegł rumieniec, dostrzegł poruszenie się ust, które nie miały odwagi przemówić i domyślił się prawie zupełnie uczuć Helusi. I on nie wypowiedział głośno tego, co pomyślał, a pomyślał, że w młodem sercu kobiecem kryją się skarby uczucia i że mieć klucz do tych skarbów jest pociechą.

— Człowiek, który żył przez lat kilka tylko z myślą własną — mówił, — staje się niezdolnym do stosunków światowych. Ja już nie umiem rozmawiać w salonie. Wyszedłem z wprawy, jak muzyk przez dłuższy czas pozbawiony swego instrumentu. Rozmowa salonowa wydaje mi się teraz gmachem budowanym z samych kłamstw. Udaje się życzliwość, zainteresowanie się cudzemi sprawami, udaje się rozbawienie i mówi się o wszystkiem oprócz o tem, co stanowi istotę naszych myśli. Wszystko w tem jest prócz prawdy! Otóż, Helusiu, lata ostatnie wyrodziły we mnie wstręt do kłamstwa i sztuczności. Byłem sam na sam z wielką...

Urwał. Ona patrzała mu w oczy, chwytała słowa. Odczuł, że to, co mówił, szło wprost do jej serca, więc ciągnął dalej:

— Ty rozumiesz, że wiele rzeczy zmalało mi w oczach, a między innemi stosunki salonowe. Dawniej nie czułem tych tysiąca kłamstw, które popełniałem przez tak dokładnie nabyte przyzwyczajenie, że stało mi się drugą naturą. Przesadzałem, niedomawiałem, dawałem do zrozumienia, rozczulałem się na zimno, usiłowałem pochlebiać miłości własnej, udawałem przyjaźń... Teraz, gdy się znajdę w salonie czynię jeszcze mniej więcej to samo, ale mię to mdli, sprawia mi to niesmak i wywołuje chęć ucieczki. Z tobą, Helusiu, zdaje mi się, że z tobą jedną nie wysilam się na żadne udawanie i dlatego tak mi z tobą dobrze.

Chciała coś powiedzieć, otworzyła usta, ale odwaga opuściła ją i milczenia nie przerwała.

— Powiedz co myślisz? — rzekł poważnie Michał.

— Chciałam... zdaje mi się, że wujowi musi przeszkadzać to, że ja jestem... czuję się tak bardzo niższą we wszystkiem od wuja.

— Tak, nie masz ani mojego doświadczenia, ani znajomości życia, ale nie stoi między nami nic takiego, coby mię do najlżejszego kłamstwa zmuszało, i to stanowi dla mnie wdzięk stosunku naszego! Konrad to brat, ale od jego nieszczęśliwej choroby, boję się zawsze w rozmowie z nim dotknąć jakiej struny drażliwej i to mię krępuje. Z babcią nie umiem być naturalny. Z tobą jedną, Helusiu.

Spojrzała z wdzięcznością, cała rozpromieniona i dumna z wyznania Michała.

— Dziś do tego przekonałem się, że jesteś dyskretna i ufność moja do ciebie ugruntowała się. Liczę na ciebie, przyzwyczaiłem się do twojej obecności i będzie mi bardzo smutno, gdy wyjedziesz.

Szła przez chwilę obok Michała, milcząc, potem podniosła oczy, od których jasno się w duszy człowiekowi robiło, i zapytała z prośbą w głosie:

— Czy nie mogłabym w Minowicach zostać na zimę?

Potem nie dając przyjść do słowa wujowi, mówiła prędko.

— Na przyszły rok będzie dość czasu zamieszkać w Warszawie. Terazbym chciała nie bywać jeszcze ani na balach, ani nigdzie... Tak mi tu dobrze! I Stenieczce będzie smutno bez babci i beze mnie! Czy wuj pozwala mi poprosić babci, byśmy zostały?

— Moje dziecko, to od was samych zależy.

— Ale to dom wuja... właściciel może sobie nie życzyć...

— Czy byłaś szczerą w tej chwili, Helusiu?

— Nie, nieszczerą! nieszczerą! To, co powiedziałam, to było kłamstwo! Ja wiem, że wuj chciałby nas tu mieć...

Wzięła rękę Michała i złożyła na niej gorący pocałunek.

— Ale dlaczego wujaszek powiedział babci, że lepiej będzie dla mnie, byśmy zamieszkały w Warszawie?

— Myślałem, że ci tu będzie smutno! że nie można poświęcać twojej młodości...

— Kiedy mnie tu nie smutno! Mnie tu dobrze. Ja tu jestem szczęśliwa! Ja tu jestem trochę potrzebna!..

Uśmiechnął się.

— Ci, którym jesteś potrzebna, powinni o tem pamiętać, że nie mają prawa w tym razie myśleć o sobie.

— Jestem potrzebna, a przynajmniej, doprawdy, pożyteczna dla Stenieczki, której będzie smutno bezemnie... dla pana Konrada...

— Jesteś pożyteczna dla nas wszystkich.

— Więc niech mię wuj z Minowic nie wypędza!

Gdy projekt Helusi przed panią Gozdawiną roztoczono, wywołał on gwałtowny opór. Babka nie lubiła zmieniać zamiarów, mieszkanie było wynajęte od paru miesięcy, wszystkie rozporządzenia czynione były z myślą o wyjeździe na zimę do Warszawy. Pani Gozdawina oświadczyła, że ludzie mający pewną godność, powinni się dobrze zastanowić przed powzięciem postanowienia, ale raz projekt uczyniwszy powinni go wykonać. Michał musiał iść do Kanossy i w postawie pokornej wysłuchał kilku słów prawdy, których mu tym razem pani Gozdawina nie oszczędziła. W końcu wszakże stało się zadość prośbom Helusi, poczem wszyscy poczuli nagle, że im się lekko na sercu zrobiło. Pani Gozdawina musiała wyznać przed sobą, że się wszystko ułożyło wedle jej skrytych pragnień, że rozłączenie ze Stenieczką, Michałem, Minowicami byłoby dla niej ciężkiem przejściem, a przenosiny ciężkim trudem.

Helusia nie posiadała się z radości. Jej oczy jaśniały triumfem. Przyjeżdżającego Konrada przyjęła wiadomością o tej szczęśliwej zmianie zamiarów.

— Gdybym był wcześniej wiedział, że pani pragnie pozostać w Minowicach, nie byłbym ani na chwilę wątpił, że się stanie wedle życzenia pani — odrzekł Konrad.

— Dlaczego? — spytała Helusia.

— To wcale nie jest wina pani... ale wina młodości, która kruszy zapory, bo jest młodością, i wina jeszcze innych darów, które w pani są, bez woli, ani zasługi pani.

— Helusia nas tu wszystkich trochę pod pantofel bierze, to prawda — rzekł Michał.

Spotkał się z pytającem, poważnem spojrzeniem Helusi.

— Wuj to mówi? — rzekła z wyrzutem. — Ze strony pana Konrada żadne żarty mię nie dziwią, ale z ust wuja... Jeżeli to był tylko mój pantofel...

— Helusiu, co to znaczy? — rzekł poważnie Michał. — Czy doprawdy cię obraziłem?

— Nie, nie, zawołała z żalem — niech mi wuj przebaczy, tylko jabym chciała być taką posłuszną, a tu mi mówią, że ja rozkazuję!

— A więc ja całą winę biorę na siebie — rzekł Konrad. — To nie siła rozkazu pani sprowadziła tę zmianę, ale potęga mojego pragnienia. Tuby się bez pani zrobiło okropnie pusto i smutno! Już się przyzwyczaiłem do Minowic z liczniejszem towarzystwem i z muzyką pani. Już ich nie rozumiem w innym składzie! A zresztą pani teraz wyjechać nie może. Musimy przestudjować Wagnera, a to mało na to jednej zimy. Sprowadzam wszystkie jego opery w partycji fortepianowej i będziemy się wczytywali i w słowa i w muzykę, a na przyszły rok do Bayreuth! Napisałem już, by mi zatrzymano miejsca na przedstawienia, i musimy pojechać z panią Gozdawiną i Michasiem. Dobrze, Michasiu?

Michał uśmiechnął się z wyrazem smutku i dobroci.

— Gotów jestem jechać do Baireuthu z wami.

Konrad wyciągnął z kieszeni program przyszłych przedstawień i poczęto o nich mówić. Michał ozwał się pesymistycznie:

— Nie lubię zdala czynionych projektów. Przeznaczenie gniewa się o to i mści się na człowieku.

— W tym razie przeważy przeznaczenie panny Heleny, a w jej wieku wszystko się udaje.

Konrad nie zawsze w tak dobrem usposobieniu przyjeżdżał do Minowic. Czasem przybywał milczący i chmurny, i wtedy Helusia cierpiała nietylko dla tego, że serce miała przejęte litością, ale że czuła jakby rodzaj wyrzutu sumienia, iż nie umie znaleźć sposobu na rozpędzenie chmur czarnych, otaczających jej pacjenta.

Zwierzyła się z tem Michałowi.

— Łamię sobie głowę — mówiła — szukając sposobu rozweselenia, a przynajmniej sposobu rozwiązania ust panu Konradowi. Mam przekonanie, że gdyby mi powiedział, co go smuci i boli, zrobiłoby mu się lżej na duszy. Ale czuję się bezsilna i napróżno szukam słów, któremiby do niego przemówić należało.

— Kiedy on był zawsze taki, — odparł Michał.— Czasem nadmiernie wesoły, to znowu w złym humorze. Bo to są poprostu złe humory, nalatujące niewiadomo skąd. To jest nieszczęśliwe usposobienie, zdarzające się często u ludzi, nie mających równowagi i spokoju wewnętrznego. Przechodzi to u Konrada, jak niepogoda. Najlepiej na jego zły humor nie zwracać uwagi. To trochę fantastyk. Na mnie się nigdy nie obrażał, ale jest też obraźliwy i o tem pamiętać trzeba.

Helusia wkrótce się przekonała o prawdzie słów Michała. Konrad męczył ją i nużył nierównością usposobienia. Uczyniwszy z niej powiernicę swoich dziwacznych wspomnień zdawał się przeceniać prawa, które miał do jej przyjaźni. Karał ją za niewiadome winy, okazując jej niezadowolenie, czynił jej nawet sceny o byle co. Innym razem znowu milczał, nie patrzał na nią, przechodził obok niej z umyślną obojętnością, a ona czuła, iż chciał, by się domyśliła, czem go dotknęła. Wtedy biedna dziewczyna odczuwała przykrość nieokreśloną, a niewymowną. Niechby jej już zrobił wyraźną scenę i niechby wiedziała, o co mu chodzi! Poprostu znosić nie mogła, gdy jej kto w ten sposób okazywał niezadowolenie, Miewała obraźliwe towarzyszki na kursach i zawsze gotowa była każdą przebłagać za częstokroć mimowoli uczynioną przykrość, ale już wtedy uczyniła doświadczenie, że błagania takie do niczego nie prowadziły, raczej jeszcze podniecały upór i najlepiej było udawać, że się obrazy nie widzi.

Im częściej Konrad do Minowic przyjeżdżał, tem wyraźniej poczynał traktować Helusię, jak duszę mu poddaną, którą tyranizować mu było wolno. Ona czuła, że mogłaby była otrząsnąć się z jego despotyzmu, ale bała się go zranić, nie miała odwagi na okazanie mu buntu. Walczyła łagodnością i uległością z myślą o jego zadowoleniu i szczęściu. On chwilami rozrzewniał się jej dobrocią, nazywał ją „aniołem słodkości", a wkrótce potem przychodził zły humor, który wylewał się wyłącznie na Helusię. Dziewczyna była w rozterce. Czuła, że zamiast uspokajać, jej obecność jeszcze go rozdraźnia. Poczęła go unikać i schodzić mu z oczu.

To wywołało z jego strony napad prawdziwej rozpaczy. Był człowiekiem nieszczęśliwym, któremu się w mgłę rozwiewało wszystko, do czego rękę wyciągnął! Wiedział, że miał usposobienie zmienne i niemiłe, odpychające od niego serca! Helusia musiała go przepraszać, siebie obwiniać, przyrzekać poprawę, nim wkońcu zdołała go ułagodzić.

Ale nierówności jego humoru powróciły wkrótce. Czasem bywał dla Helusi szorstki i wymagający, czasem zdawał się ją nienawidzieć i mieć żal do niej. To wszystko było przeplatane okresami jasnemi, w których bywał miły, serdeczny i naturalny, lub rozrzewniony dobrocią Helusi i patrzący na nią nieledwie ze czcią. Dziewczyna oczekiwała jego przyjazdu z niepokojem i nieufnością, spodziewając się mimowoli nowych burz i przykrości. Z Michałem nie mówiła o tem, gdyż czuła, iż martwiłby się nietaktownością Konrada i tą fałszywą nutą, która nagle przerwała spokojną harmonję jej życia.

Pani Gozdawina widziała nierówności w obejściu się Konrada z Helusią, a nawet do pewnego stopnia zdawała sobie sprawę, jaką to przykrość sprawiało łaknącej spokoju i pogody Helusi. Usiłowała jak najmniej zostawiać ich we dwoje, co znowu denerwowało Konrada. Gdy Helusię zasadził do fortepianu, przy którym studjowali Wagnera z myślą słuchania z przygotowaniem właściwem oper jego w Baireuth, nie znosił wprost obecności pani Gozdawiny. Zdawało mu się, że ona cały nastrój psuje, że ta osoba trzecia, na którą nie patrzał, a tylko jej obecność odczuwał, nie pozwala mu rozumieć, ani wpoić swych poglądów Helusi. Wstawał

od fortepianu z widocznem niezadowoleniem i szedł na werandę palić papierosa, lub spacerować po szpalerach ogrodu. Zaczynał nienawidzieć panią Gozdawinę. Ta kobieta zdawała się mieć rozum, a nie pojmowała, że są sprowadzone z jakichś innych światów nastroje ducha, które mogą spłynąć tylko na dwie głowy, na dwa umysły połączone sympatją nici muzykalnej. To był rodzaj magnetyzmu czy hypnotyzmu, który rozwiać musiała osoba trzecia, niepowołana, przerywająca prąd, wstrzymująca siłę, będąca potęgą ujemną. Jakże ludzie byli mało subtelni, że takich rzeczy nie pojmowali.

Helusia spostrzegła, że obecność babki drażniła Konrada, ale i ona subtelności tych zrozumieć nie mogła i zżymania się jego na panią Gozdawinę przypisała dziwactwu niczem nie uzasadnionemu.

Pewnego razu duet Trystana i Izoldy przerwany został przez wejście pani Gozdawiny. Nastrój prysł, jak bańka mydlana. Konrad wstał od fortepianu i wkrótce potem odjechał. Nazajutrz powrócił, a dowiedziawszy się, że po jego odjeździe, dnia poprzedniego Helusia duet ten studjowała, uczynił jej scenę, jak zazdrosny mąż. Przecie on ją chciał sam wprowadzić w ten świat piękności głębokich, prostych, ale tak indywidualnych, że bez przewodnika połowa ich zginąć musiała. Od czasów Ewy, która zerwała jabłko w raju, wszystkie kobiety musiały być ciekawe, niedyskretne, łakome, chciwe tego, czego pojąć nie były w stanie! Wszystkie przedewszystkiem ostrzyły zęby na owoc zakazany.

Innym razem nie zastał Helusi, która z Michałem i Stenieczką pojechała do lasu. To go odrazu wpra-

wiło w zły humor. Pani Gozdawina, która go przyjęła, dostrzegła, że gryzł wędzidło.

— Już oddawna nasi moraliści krzyczą, że wszystkie panny to próżniaki — rzekł z żółcią. — Spacery, przejażdżki, zabawy i czekanie na męża! Żadnej działalności! Prawdziwe trutnie w ulu społecznym!

— Niech pan wyraźnie powie, o co panu chodzi. Czy to pana gniewa, że Helusia wybrała się do lasu?

— Naturalnie. Nigdy, przez cały czas wakacji nie grała dwóch godzin dziennie. I właściwie nic nie robi.

— Niechże pan nie będzie taki surowy i taki niesprawiedliwy! Najprzód to są wakacje, a Helusia dobrze pracowała w Warszawie. Powtóre ona sama myśli nad znalezieniem sobie jakiego obowiązkowego zajęcia. Ponieważ zostajemy na zimę w Minowicach, więc tak jak wiele panien na wsi, będzie ona prowadzić szkołę. A na męża dla niej nie czekamy ani ona, ani ja!

— Za siebie tylko odpowiadać można!

— Co panu jest, panie Konradzie? Od pewnego czasu stał się pan nierówny i rozdrażniony. Przywozi nam tu pan złe humory, które nas męczą. Trzeba trochę nad sobą panować!

— A kto pani powiedział, że ja nad sobą nie panuję?

— Widzę to sama. Ot i w tej chwili pan jest rozgoryczony, rozstrojony i szuka pan pretekstu do wylania swej żółci. Przyznaję, że oddawna chciałam panu powiedzieć słowa prawdy i czekałam tylko na sposobność. Każdy ma swoje chwile czarne, ale nad tem nie powinni cierpieć otaczający. To jest elementarne, a pan zdaje się tego nie rozumieć!

— Czy to panna Helena skarżyła się na mnie?— spytał podejrzliwie.

— Helusia? Pan jej nie zna. Nie powiedziała mi nigdy nic podobnego, ale ja przecie mam oczy i uszy, i intuicję, która jest podobno wrodzona kobietom. Otóż przyrzekam, że będę pana łajała, ile razy zobaczę pana, poddającego się złemu humorowi. Zły humor wolno jest mieć tylko we własnym pokoju. Są podobno wulkany, które wyrzucają nie ogień, lecz błoto. Człowiek, miewając złe humory, jest podobny do takiego wulkanu. Pan będzie nieznośnym mężem, jeżeli się pan ożeni. Każdy młody człowiek powinien w sobie wychowywać przyszłego męża, bo przecie jak się do siebie przykuwa drugą istotę, to trzeba się starać o jej szczęście, a niema szczęścia bez jasnego horyzontu nad głową. Dla społeczeństw potrzebni są bohaterowie, wielcy ludzie, wielcy pracownicy i myśliciele. Dla żon potrzebni są ludzie uprzejmi, zgodni, wyrozumiali, nie poddający się złym humorom. Wybraną kobietę trzeba umieć otoczyć atmosferą jasną, ciepłą, a nie wiecznym zatargiem, wieczną burzą, wiecznem błotem, wyrzucanem przez wulkan złego humoru! Gdyby pan miał mądrość Salomona, a miewał złe humory, nie uda się panu uszczęśliwić żony.

— To też ja się żenić nie myślę!

— Postanowienie bardzo rozsądne!

— Nie potrzebuję wychowywać w sobie przyszłego męża, bo nim nie zostanę!

— Wyznaję, że to są okoliczności łagodzące. Przyjemnie mi jest pomyśleć, że ta młoda kobieta, której stronę tu brałam, nie będzie skazana na ciężkie roboty przez całe życie!

— Więc pani sądzi, że życie ze mną byłoby takiem nieszczęściem?

— Wielkiem, wielkiem nieszczęściem!

Przekonanie głębokie dźwięczało w głosie pani Gozdawiny; Konrad przysunął się, jakby zelektryzowany usłyszanym wyrokiem.

— Pani mówi to naprawdę? Pani nie żartuje?

— Daleka jestem od żartów i mówię z zupełną szczerością!

— Więc mniejsza o miłość, mniejsza o rzeczywistą wartość człowieka, mniejsza o to, co ma w duszy, co ma w głowie, byle się uśmiechał uprzejmie, byle podawał zawsze do przechadzki ramię, zgrabnie zaokrąglone, byle z dworską grzecznością zbliżał się i przemawiał.

— Przecie uprzejmość i równy humor nie przeszkadzają ani wielkiemu sercu, ani wielkiemu rozumowi, i ja panu ani jednego, ani drugiego nie odmawiam.

— Ale odmawia mi pani daru największego, daru uszczęśliwiania tych, z którymi jest mi przeznaczonem żyć, i tem mnie pani dotknęła boleśnie. Nie myślę się żenić, ale marzę czasem o żonie i zawsze wtedy wyobrażam ją sobie szczęśliwą przez moją miłość, szczęśliwą przez moje poświęcenie się dla niej!

— Marzenie takie jest dozwolone, ale niech go pan nie wciela w życie, bo spotkałby pana zawód. Powiększyłby pan liczbę par niedobranych i kobiet zawiedzionych. Znałam kobietę, przebaczającą mężowi niewierności, które jej czynił, ale nie znałam takiej, któraby się czuła szczęśliwą przy mężu kwaśnym, fantastyku, podlegającym złym humorom. Będę z panem

szczerą do końca, bo mam przyjaźń dla pana. Od jakiegoś czasu uważam u Helusi pewien rodzaj mimowolnego strachu na wiadomość o przybyciu pana. Ona się poprostu boi złych humorów, które na nią spadają, a które i ja nieraz zauważyłam.

— A więc skarżyła się?

— Już mówiłam panu, że nie, i że wszystko wypływa z mojej własnej obserwacji.

— Więc się mnie boi i radaby mnie nie widywać?

— Pan mnie nie chce rozumieć. To jest obawa istoty życzliwej i przyjaznej, pragnącej widzieć pana szczęśliwym i swobodnym.

— I która nie chce mnie widzieć takim, jakim jestem, cierpkim, nieznośnym, kwaśnym, zgryźliwym. A więc nie będzie mnie widywała! Niech pani powie pannie Helenie, by się przestała obawiać mego przybycia! Żegnam panią!

Nie pomogły prośby pani Gozdawiny. Konrad pobiegł do stajni, kazał śpiesznie zaprzęgać i wyjechał, nie czekając na powrót pana domu.

Pani Gozdawina była niezadowolona z siebie. Postąpiła niezgrabnie, skoro wywołała tak niespodziewany obrót rzeczy. Chciała była ułagodzić Konrada i skłonić go do panowania nad sobą, a tymczasem wypędziła go z Minowic. Cierpiała szczególniej nad tem, iż będzie musiała rzecz całą opowiedzieć Michałowi, jedynemu imponującemu jej na świecie człowiekowi, wobec którego czuła się nieśmiałą. Postanowiła uczynić to natychmiast, gdyż należała do tych, co się przed gorzkiem lekarstwem nie namyślają i wypijają je duszkiem odrazu. Oczekiwała powrotu zięcia i niecierpli-

wiła się, że go tak długo nie było widać. Przyjechał wreszcie w towarzystwie Helusi i Stenieczki, z któremi musiał odbyć przyjemną wycieczkę, bo twarze wszystkich oddychały spokojem i zadowoleniem.

— Zrobię ci przykrość, Michasiu — rzekła pani Gozdawina — wyobraź sobie, że przyjechał tu podczas twej nieobecności Konrad w złym humorze, jakiś złośliwy i rozdrażniony. Powiedziałam mu słowa prawdy, on zaś tak się obraził, że pobiegł do stajni, kazał coprędzej zaprzęgać i wyjechał, zapewniając, że się tu więcej nie pokaże.

Michał okazał się naprawdę zmartwionym.

— Biedny Konrad! — mówił — szkoda, że go mama obraziła. On naprawdę potrzebuje wyrozumiałości i dobroci. Helusia jedna umie z nim postępować. Jestem jej nad wszelki wyraz obowiązany, że go nie odpycha, że mu przebacza jego nietaktowności, że jego obraźliwość jej nie zraża.

Helusia podniosła na mówiącego z wdzięcznością cudne oczy. Jego pochwała okupiła dla niej naraz wszystkie doznane od Konrada przykrości.

— Stało się! — rzekła pani Gozdawina, której wyznanie ulgę przyniosło. — Postąpiłam widocznie za śmiało i żałuję tego, ale miałam najlepsze intencje.

— To się naprawi, mam nadzieję. Dotychczas Konrad nigdy niczego mi nie odmówił i teraz wytłomaczę mu wszystko. Gdyby nie interesant, czekający na mnie, pojechałbym do niego dziś jeszcze. Żal mi, że się tam będzie gryzł sam aż do jutra.

Nazajutrz, po bezsennej nocy, Konrad spał jeszcze, gdy do jego pokoju wszedł Michał. Śpiący drgnął

całem ciałem na odgłos kroków i przetarł oczy. Wyciągnął potem rękę do Michała ruchem nagłym i wymownym.

— Ty! Zawsze ten sam! Zawsze jeden wśród wszystkich!

Michał usiadł na krawędzi łóżka. Postać Konrada, okryta kołdrą, wyglądała mizerna i wątła, twarz była blada, tylko, jak zawsze, oczy były niezmiernie błyszczące. Uczucie głębokiego przywiązania, z lekką przymieszką litości, odezwało się w sercu Michała.

— Cóż to było wczoraj? — rzekł z wyrzutem. — Rozgniewałeś się na starą kobietę, mającą przychylność dla ciebie... I dlatego uciekłeś z mojego domu?

Konrad zerwał się i usiadł na łóżku.

— Mój drogi — zawołał — muszę się ubrać, bo tak mówić nie mogę, a postanowiłem z tobą pomówić... Jestem od jakiegoś czasu w dziwnym odmęcie uczuć i myśli... Ale się nie bój, to nie ma żadnego stosunku z tamtem... Musisz mi powiedzieć prawdę bez ogródek... Tymczasem, nim się ubiorę, mów mi o tobie, o Minowicach. Gdzie wczoraj byłeś ze Stenieczką i panną Heleną? Prawda, co to za urocza młodość tej dziewczyny!

— Tak, urocza, a przedewszystkiem dobra i przez dobroć rozumna. Poznałem Helusię bliżej w ostatnich czasach, bo z nią często rozmawiam. I wiesz, ja śmiertelnie w serce ugodzony, ja doświadczony i pesymizmem nasiąkły czuję, że ta ośmnastoletnia dusza mię rozumie. Często się sam sobie dziwię, że przemawiam do niej z takiem zaufaniem... że gotów jestem mówić z nią równie szczerze, jak z tobą. To jest istota z tak

szlachetnego kruszcu ulepiona, że poprostu cała ludzkość wydaje się człowiekowi mniej brudną, skoro zdołała wydać taką Helusię.

Konrad, nawpół ubrany stanął nagle przed Michałem i spojrzał mu w oczy długo i głęboko. Wzrokiem pytał i badał.

— Taką Helusię — powtórzył, jak echo — taką Helusię można kochać szaleniel

Urwał, nie śmiał uczynić zapytania, które mu paliło usta.

— Można ją kochać i wiem, że miłość mi ją zabierze, ale nim się to stanie, korzystam z pociechy, która mi od niej płynie. Dziecko to przywiązało się do mnie, nawet nauczyła Stenieczkę kochać mię i poprostu wierzyć we mnie. Jestem dla nich wyrocznią. Pojęcie samo jest fałszywe, ale mi z niem dobrze; i to przywiązanie dzieci mię grzeje i do życia pobudza. Mogę powiedzieć, że jestem wiele winien Helusi. Tak się ucieszyłem, że ona tu na zimę zostaje! Nie sądziłem, bym do takiej uciechy był jeszcze zdolny!

— Więc przypuszczasz, że ona kogoś wkrótce pokocha?

— Jużci pewno za mąż pójdzie i w każdym razie opustoszeją i zbrzydną Minowice, gdy nam ją ktoś zabierze. A teraz, kiedyś już ubrany, słucham twojego zwierzenia.

— Powiedz mi, żem zwarjował na nowo! Ja sobie jej ani z oczu, ani z marzenia, ani ze snu wyjąć nie mogę! Ciągnie mię do niej nieprzeparta siła. Ja, szaleniec, pragnę jej! Czuję, że jej się stanie krzywda, jeżeli za mnie pójdzie, a nie mam siły pokonać siebie!

Michał zamyślił się, czoło mu się pofałdowało.

— Szaleństwem było, żeśmy tego nie przewidzieli. A przecie to była rzecz prosta! Do prochu przykładaliśmy ogień i chcieliśmy, by nie wybuchnął! Miało się ciągle Helusię za dziecko, ciebie za jej przewodnika w muzyce... Ja byłem swoją nędzą tak zaślepiony, żem nic nie dojrzał, nic nie przeczuł, nic nie przewidział.

— Ja sam dopiero tych wakacyj, dopiero teraz opatrzyłem się... Michasiu, wyrok w twoje ręce składam! Ty powiedz, co myślisz, lub tylko *tak* lub *nie*, a ja posłucham i nie zapytam nawet o powody. Uznam za słuszne każde postanowienie twoje. Ja już z sobą walczyłem, ale doszedłem tylko do takiego rozdrażnienia nerwów, że stałem się nieznośny dla siebie i dla drugich. Helusię zamęczałem kaprysami, wymaganiami, obraźliwością, scenami... Trzeba jej anielskiej słodyczy, żeby to wszystko zniosła. Zazdrosny byłem o fortepian, którego jej palce dotykały; zazdrosny byłem o ciebie, który z nią pod jednym dachem mieszkasz i na spacery z nią chodzisz; zazdrosny byłem o Wagnera, dla którego podziw sam w niej obudziłem... Wczoraj uciekłem z Minowic nie dlatego, że pani Gozdawina mię obraziła, ale że poczułem, iż ona miała rację, mówiąc mi, że moje złe humory napełniają Helusię obawą i przykrością, i że mię chwycił wyrzut sumienia! O, nie dlatego, że jej zrobiłem przykrość niejedną, ale dlatego, że coraz namiętniej zaczynam marzyć o uczynieniu z niej mojej żony. Wiem, że wedle pojęć światowych byłbym dla Helusi dobrą partją, ale sumienie mi mówi, że jej szkoda dla mnie. Byłem

warjatem, sam tego nie zapomnę nigdy, i ludzie mi tego nie zapomną! Przeżyłem wiele i po wielu kątach wyobraźnię moją wycierałem, mam zdrowie wątłe i jestem mizerak, a ona to kwiat, który wczoraj otworzył się do słońca, a jutro dopiero rozkwitnie w całej pełni. A teraz sądź! Znasz moje życie, znasz moją przeszłość, znasz mój charakter. Sądź, czy mam prawo starać się o wzajemność Helusi.

— Kochasz ją ze wszystkich sił?

— Nieraz ci mówiłem, że tak kochać, jak ty naprzykład, ja nie umiem. I teraz nie wiem, czy to jest namiętność, która mię pożera, czy też to jest miłość zdolna do ofiary. Tylko jestem uczciwy i nie kryję przed sobą, że dla Helusi trzebaby dzielnego, młodego, zdrowego i dobrego chłopca, któryby umiał szczęście swe brać poprostu. Ja jestem wytrawiony w różnych ogniach żużel i szkoda dla mnie tej dziewczyny.

— Jeżeli to jest twoje przekonanie, to się od niej odsuń.

— Kiedy to mówi krytyka jedynie, zaś pożądanie, miłość ciągnie mię do niej.

— Mój Konradzie, tylko co powiedziałeś, że jesteś uczciwym człowiekiem. Postąp tak, jak ci nakazuje uczciwość. Jeżeli nie czujesz się na siłach, by uszczęśliwić Helusię, to wyjedź, zabij w sobie miłość lub powiedz pani Gozdawinie, by z Helusią stąd uciekła. Gdybyś zaś postanowił inaczej, to skoro mi zostawiasz wyrok w tej sprawie, musisz dopełnić jednego warunku.

— Słucham.

— Musisz jeszcze z ust psychjatrów usłyszeć, że wedle ich mniemania nie może być recydywy.

Ból i wstyd odmalował się na twarzy Konrada.

— Widzisz, że ja się tobie wydaję człowiekiem niepewnym, — rzekł z tłumionym gniewem.

— Czy wymagania tego nie uznajesz za słuszne? — zapytał Michał łagodnie.

— Owszem, owszem! Jest słuszne, a rozgniewało mię tylko dlatego, że dotknąłeś tej przeszłości... Czy sądzisz, że Helusia pokochałaby mię?

— Nie wiem, nie zdaję sobie sprawy. Takich rzeczy nigdy przewidzieć nie można. Kobiety bywały dla ciebie łaskawe, i gdybyś był chciał o miłość której z nich się postarać...

— To była zabawa, czy nałóg, za który często mię łajałeś. Ja się upajałem rozmową i obecnością kobiet i zdaje mi się, że moje upojenie przenikało je także. Jedna z nich mi powiedziała, że mam oczy gorejące, które jednak ziębią, bo od nich dreszcz przejmuje. Czułem zresztą w sobie to coś hypnotycznego, to coś przenikającego, co na kobiety działa. Ty wiesz, że to nie głupie samochwalstwo, ale widziałem niejedną głowę, nieprzeparcie chylącą się ku mnie, niejedno spojrzenie zwyciężone. Otóż jest coś dziwnego w tem, że ja tej siły owionięcia namiętnością wobec Helusi nie mam. Czuję, że ona bierze mnie poprostu, że na nią nie działam, jak umiałem działać na inne kobiety i to mię niecierpliwi, i to mię denerwuje. Pod moim wzrokiem spuszczały się powieki, Helusia patrzy mi prosto w oczy spokojnie i bez najlżejszego zmieszania, jakgdyby patrzała w oczy Stenieczki!...

— Bo ona jest tak pełna prostoty we wszystkiem. Zresztą mój Konradzie, tak mówisz, jakgdyby dla podobania się młodej pannie trzeba było jakichś sposobów, jakiegoś hypnotyzmu, jakiegoś oddziaływania na nerwy. To jest fałszywe i niezdrowe. Najlepszym sposobem wzbudzenia miłości jest kochać gorąco samemu. I zapewne Helusia nie żadnym hypnotyzmom lecz twej gorącej miłościby uległa. Czujesz, że dla obojga was pragnę szczęścia, że połączyć mojego najlepszego przyjaciela z tą dziewczyną, to dla mnie osobiście prawdziwa pomyślność. Mieć was dwoje tak blisko, a życzliwych sobie, a pozwalających zasiąść czasem przy waszem jasnem ognisku... Tylko będę szczerym: żal mi oddawać Helusi na żonę. To jeszcze dziecko prawie... Ale to przeznaczenie takiej pięknej istoty, że wszędzie, gdzie się znajduje, muszą za nią dążyć serca i pragnienia. Trudno tego uniknąć. Ty jesteś dobrą partją nie dlatego, żeś zamożny, ale żeś jest człowiek zacny i szlachetny. O wady twoje nie boję się przy Helusi. Ona jest tak taktowna, łagodna, spokojna i dyskretna, że potrafi cię nie rozdrażniać, potrafi rozdrażnionego uspokoić. Będzie miała równowagę wewnętrzną za was dwoje.

Konrad płomiennym wzrokiem spojrzał na Michała.

— Dziękuję — rzekł — twoje serce mnie nie zawiodło! Uspokoiłeś mnie, dodałeś mi odwagi! Przysięgam ci, że jeżeli lekarze orzekną, że recydywy być nie może, jeżeli Helusia mię pokocha, to ją uszczęśliwię. Będę proch zmiatał przed nią, będę ją czcił i w oczach jej czytał!

— Wierzę ci! Nie trudno czcić i kochać taką istotę, a gdy się kocha i jest się kochanym, to szczęście przybywa zwykle na towarzysza.

— Jutro jadę do Warszawy, Berlina, Wiednia. Będę tam szukał wyroków lekarskich i po powrocie powiem ci, co orzekli.

— Wiem, że mi powiesz całą prawdę!

W tej chwili wszedł służący, prosząc na śniadanie. Michał nie chciał na nim zostać. Gdy wyjechał, uczyniło mu się niesłychanie nieswojo i przykro. Zdawało mu się, że nie mając do tego prawa, zaprzedawał Helusię, że zachęcał do starania się o nią człowieka, którego kochał niegdyś ogromnie, ale którego dziś kochał już mniej. Odnosił się wprawdzie do niego, jak dawniej przez siłę przyzwyczajenia, ale w skarbcu uczucia były już skazy i braki. Oddawał Helusię, a może raczej należało jej bronić przed człowiekiem, którego jutro było bądź co bądź zagadkowe i który był dla Helusi za stary, nie jako wiek, ale jako przejścia życiowe i pewne wyszarzanie w uczuciach, tak jak bywa wyszarzanie w odzieży, nieoględnie zużywanej. Helusia była zamłoda dla tego dziwaka, którym był bądź co bądź Konrad.

Myśl ta jeszcze wyraźniej mu ciężyła, gdy przybywszy do domu, ujrzał Helusię ze Stenieczką na ganku. Dziewczyna aż olśniewała młodością, zdrowiem i taką bujnością rozkwitu, taką świeżą pięknością, że Michał oczu od niej nie odrywał, porównywując ją w myśli z mizerną i jakby wyblakłą postacią przyjaciela. Z pozoru była to bardzo niedobrana para! Miłość wprawdzie doskonale wyrównywa takie niedobory, je-

dnak Michałowi było przykro i prawie sobie wyrzucał zadowolenie, którego doznał przed chwilą.

— Myślałam, że wuj przywiezie pana Konrada— ozwała się Helusia. — Czy rzeczywiście taki na babcię zagniewany?

— Nie, był rozdrażniony nerwowo i dał się unieść złemu usposobieniu, ale przyznał się do winy i żałuje za nią. Jeszcze tam zaledwie podawano śniadanie, gdy wyjechałem. Myślę, że Konrad dziś tu będzie.

W tej chwili przypomniał sobie, że to on sam namawiał Helusię do wyrozumiałości i uprzejmości dla Konrada i poczuł głęboki żal do siebie. Należało przecie pamiętać o tem, że Konrad był młodym człowiekiem, a Helusia prześliczną i pełną wdzięku dziewczyną, a on widział tylko w niej moralną siostrę miłosierdzia, w nim zaś chorego na duszy, potrzebującego pociechy i pomocy.

Helusia spostrzegła zamyślenie i niezadowolenie w wyrazie twarzy wuja, i zaraz przejęły ją ogromny niepokój i nieśmiałość. W ostatnich czasach przywykła do dobrego usposobienia ze strony Michała i to usposobienie starała się wszelkiemi siłami utrzymać.

Widocznie uciekając od dłuższej z nią rozmowy, poszedł ku swoim pokojom, a ona poczęła łamać sobie głowę nad przyczyną jego niezadowolenia, i zaraz zrodziła się w niej chęć gorąca usunięcia z przed oczu Michała niemiłego obrazu, który go prześladował, lub z jego umysłu przykrej myśli, która w nim osiadła. Podczas obiadu spoglądała na niego dawnemi przelękłemi oczami czternastoletniej dziewczynki. On spotkawszy wreszcie ten wzrok nawpół przelękły, nawpół

błagalny, posłał Helusi cień uśmiechu, który ją nieco pocieszył.

— Chodź ze mną do ogrodu, Helusiu — rzekł po obiedzie — weźmiemy też Stenieczkę, boby była zazdrosna,... chciałbym z tobą porozmawiać.

Helusia zaczerwieniła się z radości. Wzięła Stenieczkę za rękę i obie poszły z Michałem. Za nimi podążył zachmurzony wzrok pani Gozdawiny.

Gdy Stenieczka, ujrzawszy jakiś kwiatek pobiegła ku niemu, Michał zapytał Helusię:

— Moje dziecko, czy ty myślałaś kiedy o małżeństwie?

— Myślałam, wuju.

— Widzisz, takie się utarło niemądre przeświadczenie, takie kłamstwo konwencjonalne, że się z pannami nie mówi poważnie o zamążpójściu. Panny też mają sobie za punkt honoru udawanie, że o niczem nie myślą. Zrobiłaś mi ogromną przyjemność tem przyznaniem się.

— Ale wuju, muszę powiedzieć, że myślałam jakoś mglisto, jak o jakiejś bardzo dalekiej i niepewnej przyszłości. Rozmawiałam z koleżankami o przyszłych naszych mężach, w tonie żartobliwym, ale było tam w tem zawsze trochę prawdy i szczerości.

— Cóżeście ułożyły?

— Każda z nas dała innym portret swego ideału. Zosia Majewska chce mieć za męża wielkiego artystę, Józia Ruszewiczówna pójdzie tylko za podróżnika i pojedzie z nim choćby pod biegun. Marynia Szyniewska chce miljonera i wybiera się na jego połów do Ame-

ryki, Rysia Łowicka chce mieszkać choćby w chatce leśnika, byleby na wsi...

— A ty?

— Ja mam obecnie inne zamiary, ale wówczas im powiedziałam, że chcę pójść za jakiego biedaka, dla którego byłabym wielką pomocą, wielkiem szczęściem i zesłaniem z nieba, błogosławieństwem Bożem. Ksiądz Obrudzki powiedział mi, że w tem życzeniu jest wielka ambicja, że chcieć być dla kogoś takiem wielkiem szczęściem to zarozumiałe wyobrażenie o sobie i swojej wartości, że wszystkiem dla człowieka może być tylko Bóg, ale taka ochota przychodzi mi mimowoli, ile razy pomyślę, że kiedyś za mąż pójdę.

— Więc ma być biedny, jak Hiob?

— Może być nawet bogaty, byleby potrzebował jakiegoś ratunku, bylebym go mogła wyciągnąć z jakiej nędzy, z jakiejś toni! Wuj mię rozumie?

— Tak, rozumiem cię, dziecko. Ale tego człowieka musiałabyś kochać.

— Pokochałabym go za jego niedolę, za jego zły los. Ci, których ja obchodzę, niech się modlą o to, żeby ten człowiek nieszczęśliwy był dobry, bo ja mu nie odmówię, jeżeli będzie prosił, bym złą dolę z nim podzieliła. Nie będę miała nigdy siły mu odmówić.

Michał patrzał chwilę w milczeniu na postępującą obok niego w pełni młodości i wdzięku dziewczynę, która na męża chciała dostać kalekę, potrzebującego ciągłych poświęceń z jej strony.

— Nie wystawiałem sobie, — rzekł wreszcie — by w dziewczęcej głowie mogło się zrodzić takie ma-

rzenie. Ale kiedy się to zdarza, niech będą błogosławione te, co w ośmnastym roku tak marzą!

Pod wieczór przybył Konrad, bledszy niż zwykle; i widocznie wzruszony. Nie przepraszał pani Gozdawiny, tylko jej rękę podniósł do ust ze spojrzeniem, które mówiło o skrusze. Do Helusi prawie się nie zbliżał, a Michał zauważył, że był nieśmiały i jakby zalękniony. Zaraz na wstępie oświadczył, że miał wyjechać z domu na parę tygodni.

— Jadę po wyrok — szepnął Michałowi.

W chwili pożegnania rzekł do Helusi:

— Niech się pani pomodli za mnie.

Rzuciła mu wzrok pytający.

— Niech się pani pomodli, bym wrócił z dobrą nowiną... Albo nie, niech się pani nie modli za mnie, bo na prośby pani Bóg mógłby się zlitować, a nie trzeba by się litował, tylko by był sprawiedliwy!

— Zawsze jest sprawiedliwy i pełen litości. Będę się więc modlić.

— On jest jakiś dziwny — rzekła pani Gozdawina po wyjeździe Konrada.—Ja się poprostu boję o niego.

— Czy babcia przypuszcza?...

— Tak, boję się, by to nie wróciło.

— Trzebaby nad nim czuwać... trzebaby go bronić od tego — rzekła Helusia gorąco. — On zanadto jest sam... nie ma przy sobie życzliwej duszy, którąby myślom jego nie pozwoliła schodzić na manowce!

Michał, który patrzał na Helusię, gdy mówiła, wstał nagle z krzesła, i zbliżając się do dziewczyny z wzrokiem, który zaszedł jakąś mgłą rozrzewnienia, rzekł, biorąc jej rękę:

— Dziękuję ci, Helusiu. Ty jesteś jak Parsifal „durch Mitleid wissend". Mnie na myśl nie przyszło, że nie należy Konrada puszczać samego. Trzeba w istocie koło niego życzliwej duszy. Ja z nim pojadę i zaraz poślę mu to oznajmić.

Dla Helusi każde słowo uprzejme Michała było najwyższą nagrodą. Spojrzała na niego z wdzięcznością i chciała rękę wuja przyciągnąć do ust, ale on nie pozwolił na to. Pochylił się i dotknął ustami jej czoła.

Nazajutrz, gdy go Konrad ujrzał przybywającego z walizką i torbą podróżną, zapytał podejrzliwie:

— Nie ufasz mi i chcesz sam być świadkiem wyroku, jaki zapadnie?

— Co to znaczy, Konradzie? — odparł Michał z wyrzutem. — Odkądże to bawimy się w posądzanie siebie wzajemne? Ja twemu słowu ufam i nie dałem ci powodu do podejrzenia mię o podstępy i kłamstwa. Nie chcę być świadkiem wyroku, ale chcę byś miał przy sobie przyjaciela, jeżeli doznasz zawodu. Czy ty odstąpiłeś mię wtedy, gdym cierpiał?...

— Babciu, czy jabym mogła zacząć uczyć Stenieczkę? Przypominam sobie, że między babcią a wujem była mowa o tem, że Stenieczka zacznie się uczyć w siódmym roku. Skończyła sześć w maju. Teraz zaczynają się już dni jesienne zimniejsze, możnaby spróbować ze Stenieczką trochę nauki o rzeczach, trochę rysunku, trochę pisania i czytania.

Helusia lubiła uczyć. Czuła się szczęśliwą, gdy miała przed sobą szeroko otwarte oczęta słuchającego jej wykładu dziecka.

— Chciałam sama zacząć uczyć Stenieczkę — odparła pani Gozdawina — tak jak uczyłam ciebie, Helusiu.

— Jeżeli babcia chce ją sama uczyć...

Głos Helusi wyrażał zawód, pani Gozdawina po chwili namysłu rzekła:

— Pozwalam ci ją uczyć po pół godziny dziennie, ale muszę być obecna przy kilku przynajmniej lekcjach. Jeżeli zobaczę, że Stenieczka się nie nudzi, że jej uwagę potrafisz utrzymać, to się chętnie dla ciebie zrzekam kierowania pierwszemi krokami Stenieczki w nauce początkowej.

Pani Gozdawina czyniła poświęcenie dla starszej wnuczki i niechętnie zrzekała się nauczania dziecka rozwiniętego i zdolnego, ale rozum powiedział jej, że dla Helusi to obowiązkowe zajęcie było pożyteczne moralnie i zaraz postąpiła wedle porady rozumu.

Rozpoczęły się półgodzinne lekcje Stenieczki. Wysunięto stół na środek pokoju, rozłożono ołówki, papier, tabliczkę, książki, i Helusia poczuła się w swoim żywiole. Stenieczka niemniej była szczęśliwa i dumna, a obie pracowały z myślą o Michale. Stenieczka skakała z radości, mówiąc:

— Jak tatuś przyjedzie, to ja stanę z książką przy stole i zacznę czytać.

I na myśl o tej chwili rzucała się Helusi na szyję i przyciskała twarz swoją do jej twarzy, muskając ją jasnemi włosami przyciętemi na czole, a po obu stronach głowy spadającemi swobodnie.

— A potem, jak tatuś gdzie pojedzie, to napiszę do niego list!

Ale wkrótce zmieniła zdanie. Chciała napisać list zaraz, gdy się tylko liter nauczy i list ten posłać przez furmana, jadącego po pana na stację.

— To się tatuś zadziwi!

I przy tych słowach nowe podskoki i nowe objawy radości.

— Ale się też i ucieszy, że jego córeczka już pisze — dodała Helusia.

Sama bynajmniej na tę uciechę nie była obojętna, choć nie wykonywała jak Stenieczka harców wkoło stołu. Uczyła z zapałem i zamiłowaniem, ale obok zamiłowania i zapału żyła ciągła myśl o zadowoleniu wuja. Przygotowywała dla niego z rozkoszą tę niespodziankę i przemyśliwała tylko czem jeszcze mogłaby mu dać dowód, że o nim podczas nieobecności jego pamiętała.

Grób Stefanji stał zawsze ubrany kwiatami, które teraz nosiły tam obie ze Stenieczką, i wtedy Helusia mówiła dziecku o matce, usiłując obudzić cześć i żal dla tej nieznajomej, której fotografja wisiała nad łóżeczkiem sieroty. Stenieczka pytała bez końca, zaciekawiona i mistycznie usposobiona widokiem grobu, na którym kwitły kwiaty i tą krainą zagrobową, w której żyła jej matka, a z której do swego dziecka powrócić nie mogła.

— Helusiu, ty mówisz, że mama na mnie patrzy, a dlaczego ja jej oczu nie widzę?

Helusia była nieraz w kłopocie i nie znajdowała odpowiedzi logicznej. O, Stenieczka wiedziała, że tatuś mógłby jej wszystko wytłomaczyć, ale wiedziała też, choć jej tego nikt nie powiedział, że o tem z tatusiem mówić nie można. Chodziło się koło niego na palcach,

gdy był zadumany i pewno myślał o mamie, a słowem żadnem nie wspominało się ani o zmarłej, ani jej grobie.

Stenieczka uczyła się z zapałem, jak większa część dzieci wychowanych wśród starszych. Nauka czytania poszła jej z niesłychaną łatwością i chciałaby była czytać ciągle. Każda gazeta, każda książka, którą zoczyła były dla niej polem do wprawiania się. Trzeba je było dziecku odbierać. Pisała też bez końca na papierze, na tabliczce, na piasku. Były to litery niekształtne, ale do układania ich w wyrazy Stenieczka miała zdolność wybitną. Pisała ciągle list do tatusia. Zawierał go każdy skrawek papieru, a także ścieżka w ogrodzie.

— Co ty piszesz?

— List do tatusia.

Wreszcie napisała go naprawdę, ten list, cel marzeń obu dziewcząt. Michał miał powrócić i telegrafował o konie. List brzmiał:

„Tatusiu, to ja sama piszę. Helusia mię nauczyła. Już skończyłam sześć lat. Buras skaleczył się w łapę. Niech tatuś prędko przyjeżdża, bo już tatusia dawno nie było u nas. Bardzo brzydko na dworze i deszcz pada. Babcia kazała zapalić na kominku. Niech tatuś powie Wojciechowi, żeby dobrze popędzał konie".

— I dosyć?—zapytała Helusia, gdy jej Stenieczka ten list pokazała.

— Dosyć. Niech tatuś długo nie czyta, tylko zaraz niech przyjeżdża.

— To się przynajmniej podpisz. Napisz w tem miejscu: Stenieczka.

Gdy Michał list ten odebrał, poczuł się roztkliwionym i szczęśliwym. Jak on kochał to dziecko, na

które z początku nie zwracał uwagi! Wszak on przez cały czas podróży z niepokojem myślał o wszystkich zabójczych chorobach, grożących dzieciom, a w oczach stała mu Stenieczka w białej sukience, z jasnemi włosami, spadającemi po obu stronach twarzy. Często obok niej widział Helusię, jakby drugie dziecko swoje, dla którego nie obawiał się już odry i szkarlatyny, ale o które drżał znowu z powodu zamiarów Konrada, uprawnionych teraz przez świadectwo najznakomitszych psychjatrów. Sam był świadkiem ich wyroku i za każdym razem doznał dziwnego uczucia zadowolenia, pomieszanego z obawą i jakby z zawodem. Szukając i badając duszę swoją do głębi, doszedł wkońcu do wniosku, że żal mu było oddawać Helusię, że chciałby był zatrzymać ją dłużej w Minowicach, że doznawał jakiejś rodzicielskiej zazdrości o przywiązanię Helusi, o owo fanatyczne przywiązanie, które z konieczności zwróci się ku innemu. Pomyślał, że człowiek jest jednak nędzną i przedewszystkiem samolubną istotą. Wszak jemu chodziło o Helusię niezawodnie, ale chodziło mu nadewszystko o stratę własną, o widok dziewczęcia upiększającego jego dom, o te rozmowy, w których Helusia odkrywała mu swą gorącą, egzaltowaną duszę, o te spojrzenia pełne współczucia i chęci biegnięcia na pomoc, które na nim spoczywały ile razy był smutny. To wszystko musiał z konieczności utracić kiedyś, ale chwilę tę pragnąłby opóźnić i odsunąć jak najdalej. Konrad zatrzymał się jeszcze na parę dni w Warszawie, więc Michał wracał sam, i te wszystkie myśli tłoczyły się w jego głowie. Nie zauważył wcale, że po raz pierwszy, wracając do domu, nie pomyślał ani razu

o swej zmarłej. Dopiero gdy na zakręcie ujrzał cmentarz minowicki, żal głęboki nad tem, że już żałować przestawał, napełnił mu piersi goryczą. Biedna Stefanja, tak bardzo kochana zaczynała zasuwać się w cień, tego zataić przed sobą nie mógł! Biedni umarli! Żywi prędko zastępowali ich miejsce nawet w sercu najbliższych!

Wyskoczył z bryczki i kazał furmanowi jechać do domu. Sam, ze spuszczoną głową szedł ku grobowi, ale otworzywszy bramkę cmentarną spostrzegł, że go tam uprzedziły Helusia i Stenieczka. Zbierały z mogiły zwiędłe i zeschłe kwiaty, a obok nich stał koszyk napełniony świeżemi, tylko co zerwanemi. Serce zabiło mu radością, poczuł, że nawet wobec grobu Stefanji mógł doznać rozsadzającego piersi uczucia szczęścia. Otworzył ramiona, wołając:

— Dzieci moje!

Stenieczka rzuciła mu się w objęcia, a gdy ją uniósł z ziemi, otoczyła jego szyję rękami, tuląc pieszczotliwie główkę do jego twarzy. Całował ją i przyciskał do piersi namiętnie, potem podtrzymując ją jednem ramieniem, drugie wyciągnął ruchem pełnym serdeczności ku stojącej na boku Helusi.

— A ty, Helusiu! — zawołał.

Trochę rozżalone oczy Helusi zapaliły się nagle weselem. Podbiegła z bijącem sercem i za chwilę trzymał w objęciu i dziecko i dziewczynę, na której rozwartych ustach złożył pocałunek. Tacy się czuli szczęśliwi wszystko troje przytuleni do siebie, swoi, złączeni gorącą miłością!

Ale wnet Michał poczuł jakby wyrzut sumienia za tę pełnię życia, pulsującą w związku trzech istot

młodych i silnych, splatających ramiona o parę kroków od grobu. Ogarnął go jakiś rodzaj wstydu i doznał takiego uczucia, jakgdyby Stefanja patrzała na niego z zazdrością i żalem. Odsunął od siebie Helusię i Stenieczkę, mówiąc:

— Chodźmy, dzieci, do grobu! Nigdy z tobą, Stenieczko, nie mówiłem o twojej mamie...

Nie mógł mówić dalej. Padł na kolana przy sztachetach grobu, a Helusia i Stenieczka poczęły łkać cicho. Potem wszyscy troje rzucali na mogiłę kwiaty i wrócili do domu milcząc, ale trzymając się za ręce:

Pani Gozdawinie oszczędzony został widok powitania Michała z dziećmi. Było to szczęście dla jej spragnionego miłości, a jednak samotnego serca, bo nie zabolało jej porównanie między porywem uczucia Michała ku Stenieczce i Helusi, a zimnem powitaniem, które się jej dostało. Michał dotknął jej ręki obojętnemi ustami, pytając z obowiązku i jakby z przymusu.

— Jakże zdrowie mamy?

Byłaby przysięgła i słusznie, że nie dosłucha odpowiedzi i twarz jego ożywiła się dopiero, gdy zwróciwszy się ku Stenieczce począł rozmowę o odebranym liście.

— Nie wiedziałem, kto to do mnie pisze — mówił — aż zobaczyłem podpis: *Stenieczka*. Ucieszyłem się ogromnie, że mam już taką dużą córeczkę, co pisać umie. Prawda, kochanie, jakie to szczęście umieć pisać? Już teraz nie może być między nami takiego rozłączenia, jakie bywało dawniej. Ja napiszę do ciebie, ty napiszesz do mnie, to tak jakbyśmy z sobą rozmawiali! A co to wiadomości sobie donieść można!

Ot i teraz, nie byłbym nic o tem wiedział, że tu deszcz padał, że się paliło na kominku i że Buras w łapę się skaleczył. Czy moja córeczka dostatecznie wdzięczna jest Helusi za to, że ją pisać nauczyła? Jaka dobra, jaka kochana ta Helusia, że ci czas poświęca i uczy cię.

Pani Gozdawina odczuła boleśnie dziękczynne słowa Michała dla Helusi. Była przekonana, że gdyby to ona była zaczęła uczyć Stenieczkę, Michał byłby zaczął od obawy, czy dziecko nie zawcześnie do książki zapędzano, czy go nie męczono zbyt długiemi posiedzeniami, ale że zasługa należała się Helusi, więc wszystko było dobrze, a nawet na największą wdzięczność zasługiwało!

— Ja i czytać umiem! — zawołała Stenieczka.

Przyniesiono książkę, odbyła się próba, i znowu Helusia siedząca i trzymająca wpół dziewczynkę, Michał nad Stenieczką pochylony i sama mała, cel uwagi tych dwojga, poczuli się szczęśliwi i zjednoczeni we wspólnem przywiązaniu.

Nazajutrz dzień wstał pogodny, choć chłodny. Jesień rozścielała się pustemi polami, na których mieniły się w słońcu cienkie i misterne pajęczyny. Lasy upstrzyły się żółtemi i czerwonemi liśćmi; była w powietrzu cisza, jakby jej potrzebowała natura, układająca się do spoczynku.

Dziewczęta oczekiwały wezwania Michała do wspólnej wycieczki, a że podczas jego nieobecności chodziły zwykle na przechadzkę z babką, więc pani Gozdawina uczyniła propozycję wyjścia póki słońce świeciło.

— Musimy czekać na tatusia — odpowiedziała Stenieczka — może będzie miał ochotę pójść z nami.

— A jak nie będzie miał ochoty? Teraz już nie można chodzić o każdej porze; wieczory są chłodne. Chodźcie ze mną!

Stenieczka spojrzała z rozpaczą na Helusię, potem powzięła postanowienie bohaterskie, na które dotąd nigdy się nie zdobyła.

— Pójdę się zapytać tatusia! — zawołała — może z nami pójdzie.

Pobiegła do pokoju ojca, którego zastała piszącego w zamyśleniu. Był uradowany okazanem sobie po raz pierwszy zaufaniem Stenieczki i pozwolił się za rękę prowadzić ku babce i Helusi.

— Babciu, i tatuś z nami pójdzie! — mówiło uszczęśliwione dziecko.

Pani Gozdawina ubrana już była do przechadzki, więc Michał rzekł grzecznie:

— W którą stronę mama sobie życzy pójść?

— Gdzie chcecie, wszystko mi jedno.

— A więc, pójdziemy do pieca wapiennego, w którym dziś zapalili.

Michał poczuł się w obowiązku podania ręki pani Gozdawinie i zaraz napadło go jakieś skrępowanie, jakiś brak swobody. Ręka teściowej lekko na jego ramieniu wsparta, ciężyła mu, myśli gdzieś się rozpierzchły, zawisło nad nim znudzenie, pragnął, aby ta przechadzka skończyła się conajprędzej. Miał głowę pustą i niecierpliwie szukał przedmiotu do rozmowy, a znaleźć go nie mógł. Szedł prędko, jakgdyby mu chodziło o najspieszniejsze dosięgnięcie celu. Helusia idąca naprzód obok Stenieczki miała też uczucie jakiejś straty, czegoś chybionego. Miała właśnie myśl, którą się

z wujem podzielić chciała, ale za nic w świecie nie byłaby się z nią odezwała przy babce. Panią Gozdawinę przejęło nieprzyjemne przeczucie, że ona to była powodem braku swobody Michała, że prąd sympatyczny, który go łączył z dziećmi, przerwany został przez jej obecność. Obrażona duma odezwała się w niej głośno, zaraz zastąpiona w jej sercu przez ból dotkliwy.

— Wiecie — rzekła — że przeceniłam moje siły. Nie dojdę z wami do pieca wapiennego i wrócę do domu.

— Wrócimy wszyscy — rzekł grzecznie Michał.

— Nie, nie, wrócę sama. Przecie to biały dzień i taka niedaleka droga! Idźcie! Jestem kontenta, że się dzieci przejdą. Słońce przygrzewa, jak w lecie... Idźcie, idźcie!

Zawróciła ku domowi ze ściśniętem sercem, a Michałowi się wydało, że mu ciężar spadł z ramion. Helusia bez namysłu stanęła obok niego i poszli dalej, nic nie wiedząc o tym ciężkim bólu serdecznym, którego byli mimowolnymi sprawcami. Milczące dotąd usta rozwiązały im się odrazu. Helusia zapytała o to, czem było właściwie wypalanie wapna, a Michał z zadowoleniem tłomaczył jej cały proces. Rozmowę tę mogli byli równie dobrze prowadzić wobec pani Gozdawiny i wcale nie zdawali sobie sprawy dlaczego potrzebne im było do tego sam na sam. Stenieczki bowiem za świadka liczyć nie mogli, gdyż nucąc biegła naprzód, zrywając trawy w braku kwiatów.

Gdy stanęli przy piecu wapiennym, Michał pokazywał Helusi jego konstrukcję i sposób, w jaki funkcjonował, potem rozmawiał z ludźmi, którzy niedaleko

kopali kamień, wreszcie zaproponował odpoczynek, do którego zachęcało drzewo sągowe, złożone przy piecu. Usiedli, podczas gdy Stenieczka wyszukiwała kamieni z odciskami muszli i przynosiła je uradowana. Helusia uznała chwilę za stosowną, by wypowiedzieć myśl, która ją całą zajmowała.

— Wujaszek mię niegdyś pytał, czy ja kiedy myślałam o małżeństwie. Myślałam daleko częściej o tem, by nie być jedną z tych, które czekają na zamążpójście, by zacząć jakąś obowiązkową pracę. Ja tak pragnę być pożyteczną, mieć jakieś powołanie i już je sobie obmyśliłam. Byleby tylko wujaszek się zgodził.

Oczyma błagała, usta zaś jej dodały:

— Naturalnie, że wujaszek będzie szczerym ze mną.

— Nie umiałbym być innym. O jakiem powołaniu myślisz?

— Babcia mówiła mi, że chce w tych czasach oddalić bonę Stenieczki, która już jest za mało rozwinięta dla tak zdolnego dziecka; że Stenieczka potrzebuje albo początkowej nauczycielki Francuzki, albo Polki z francuskim językiem... Jabym chciała zająć to miejsce! Mój wujaszku, to źle, że ja, która zarobku nie potrzebuję, odejmowałabym zarobek jakiejś biednej nauczycielce, ale to się jedno z drugiem da pogodzić. Pieniądze, które tu zarobię, oddawać będę jakiej chorej dziewczynie, która pracować nie może, a za którą ja pracować będę. Obowiązki moje będę spełniać sumiennie...

— O wiem, Helusiu, że spełniałabyś je sumiennie!

— Ja Stenieczkę tak kocham... Ale nie psułabym jej... nic a nic bym jej nie psuła!

— I temu wierzę! I wiem, że Stenieczka byłaby szczęśliwa i nam wszystkim byłoby z tobą dobrze, ale...

— Jakież ale, wujaszku?

— Ale czy się godzi ciebie wiązać obowiązkami? Mogłoby więc być tak — jeżeli pani Gozdawina się na to zgodzi — byś ty, żadnych zobowiązań nie biorąc, była nauczycielką i towarzyszką Stenieczki dopóty, dopóki tu jesteś, dopóki okoliczności się nie zmienią, dopóki inny jaki zamiar w drugą stronę cię nie powoła. W takim razie tylko zgodzićbym się mógł na twój projekt, gdybym nietylko ja zobowiązań twoich nie przyjął, ale gdybyś mi dała słowo, że ty ich sobie nie czynisz sama przed sobą.

— O, wujaszku, ja tak chciałam mieć jakiś poważny obowiązek, którybym przyjęła na prawdę.

— Ale ja nie mogę brać dla siebie twoich młodych sił!

— Kiedy ja je oddaję z taką radością!

— Wiem i czuję wszystko, ale i ty Helusiu musisz zrozumieć względy, które mną kierują. Już kiedyś mówiłem twojej babci, że trzeba ci pokazać świat i ludzi, mój dom zaś jest cichy, smutny i innym, nawet dla ciebie, stać się nie może.

— Ja nie pragnę żadnych zabaw, a ludzie?... Czyż tu ludzi niema?

— Tylko pod warunkiem o którym ci powiedziałem, mogę przyjąć twoją ofiarę.

— Ależ to nie ofiara! To prośba, wielka i gorąca prośba o to, co do mego szczęścia jest potrzebne!

— Nie mogę, Helusiu.

— I ja nie miałabym prawa założyć sobie jakiegoś terminu?

— I ty tego prawabyś nie miała.

Poczuła, że walka byłaby daremna. Trzeba było już wracać, więc wstali oboje z improwizowanego siedzenia, i Helusia szła obok Michała smutna i rozmyślająca nad tem, że ludzie tworzą sobie najrozmaitsze uprzedzenia i względy, odbierające młodym dziewczętom swobodę działania.

— Więc jeżeli przyjmę ten warunek, to wujaszek pozwoli mi pomówić z babcią?

— Naturalnie. Przyjęcie nauczycielki chcę zostawić jej uznaniu. Dopóki tu jest, nie chcę jej odbierać swobody w zajmowaniu się Stenieczką. Będzie więc wszystko od niej zależało. Zobaczysz, że i ona ten sam warunek ci postawi, i zrozumie, że narzucać ci obowiązków z dłuższym terminem nie możemy, i ty ich sobie narzucać nie powinnaś.

Widząc w spojrzeniu Helusi, że się na jego zdanie nie zgadza, dodał:

— Jutro naprzykład mógłby przyjść ten nieszczęśliwy, potrzebujący twojego poświęcenia się i prosić o twoją rękę. Wszak mówiłaś mi, że nigdybyś mu odmówić nie śmiała.

— O, to każda nauczycielka może się znaleźć w takiem położeniu. Są wypadki wielkie, wyjątkowe, raz w życiu się zdarzające, które zmuszają strony do względności. Takim wypadkiem jest małżeństwo, jest śmierć...

Helusia, która z taką swobodą rozmawiała z Michałem o swoim projekcie zostania płatną nauczycielką

Stenieczki, musiała zbierać się na odwagę, by o tym projekcie pomówić z panią Gozdawiną. Intuicyjnie czuła w humorze i zachowaniu się babki jakąś zmianę, jakieś cierpienie, coś co ją przejmowało obawą jakichś nowych postanowień, mających na celu opuszczenie Minowic. Były to domysły na niczem wyraźnem nie oparte, a jednak Helusia miała przekonanie, że nie były bezzasadne! Odkładała z dnia na dzień rozmówienie się z babką, czekając na powrót u niej jaśniejszego usposobienia. Tymczasem uczyła Stenieczkę, wyobrażając sobie, że już jest umówiona, jako jej nauczycielka.

Wiedziano już w Minowicach, że Konrad z podróży powrócił i dziwiono się, że nie przyjeżdżał. Michał zaniepokojony pojechał go odwiedzić.

— Boję się, — rzekł mu Konrad — pragnę ją zobaczyć, pragnę z nią pomówić, a boję się i odwlekam.

— Czego się boisz?

— Sam nie wiem. Jej odmowy, czy jej przyzwolenia... Wiem, że muszę się jej oświadczyć i dowiedzieć się nakoniec co mię czeka, a odciągam tę chwilę ze strachu... Taki się ze mnie zrobił tchórz...

— Bałem się, czyś nie chory, ale skoro cię widzę zdrowym, to już wszystko dobrze.

— Zdaje mi się, że się po prostu boję, żeby się moje marzenie nie rozwiało. Bo wiesz, ja sobie już marzę o tem, jak ten dom przerobię, gdzie będą jej pokoje, gdzie będziemy siadywali i jak ja dla niej tu wszystko przyozdobię. Zdaje mi się chwilami, że ona już tu jest i że się zaraz ukaże...

— Szczęśliwi marzyciele — rzekł Michał. — Zdaje im się, że posiadają to, czego pragną, że widzą to za czem tęsknią. Zawsze im zazdrościłem.

— Ale to nic nie pomoże. Wiem, że krok ten postawić muszę. Pojadę z tobą dziś do Minowic, Michasiu. Czy jej nic nie mówiłeś o moich zamiarach?

— Nic. Umyślnie w to ręki nie maczam. O tych rzeczach powinno decydować serce i wola, nie podlegająca żadnej sugestji. I dla tego proszę cię, nie jedź dziś ze mną. Helusia okazuje mi nietylko ogromne zaufanie, ale pragnie wszystkie moje życzenia przewidzieć i spełnić. Zostało jej to z dzieciństwa, z tych czasów, kiedy moja boleść czyniła mię czemś wyjątkowem wśród mojej rodziny. Otóż dziewczyna mogłaby sobie wyobrazić, że cię przywożę umyślnie, że cała rzecz została ułożona między nami i toby mogło wpłynąć na jej postanowienie. Okoliczności mogłyby jeszcze do tego się przyczynić. Helusia w tych dniach mi proponowała, że przyjmie miejsce nauczycielki przy Stenieczce. Odmówiłem, dając za jeden z powodów, że mógłby się wkrótce znaleźć ktoś, co o jej rękę poprosi. Przyszłoby jej może do głowy, że miałem na myśli ciebie i tobie grunt przygotowałem. Nie chcę, by Helusia działała z myślą o kimkolwiek innym. Niech ma na celu siebie tylko, gdy będzie o swej przyszłości stanowiła.

Opuściwszy dom przyjaciela, Michał uczuł mimowolne zadowolenie, że wracał sam, że nie wiózł konkurenta, że to jeszcze nie będzie dziś, że przy braku energji Konrada decyzja Helusi może się opóźnić i wszystko w Minowicach pozostanie jeszcze czas jakiś jak było, bez zmiany, że jeszcze te jego dzieci uzu-

pełniające się wzajemnie pozostaną przy nim bez myśli o rozłące.

Wkrótce jednak przekonał się, że niepewność i oczekiwanie mają też swoją gorycz i swoją truciznę. Nie mógł odpędzić od siebie ciągłego przetrawiania wątpliwości i stawiania bez ustanku przed własną myślą wszystkiego co można było przytoczyć za związkiem Helusi z Konradem i tego co przeciwko temu związkowi przemawiało. Wkońcu stanął na punkcie zdenerwowanych i zmęczonych i powiedział sobie:

— Niech się to skończy, jak chce, byleby się raz skończyło!

Widocznie powiedział to sobie i Konrad, gdyż przyjechał wreszcie jakiś nieśmiały i rozstrojony, bledszy niż zwykle, z oczami bardziej błyszczącemi. Niecierpliwiło go zwyczajowe posiedzenie w salonie, przejście w całym komplecie do obiadu i wszystkie banalne zapytania, tyczące się jego zdrowia i podróży. Radby był sam zostać z Helusią, a nikt z otaczających nie zdawał się rozumieć. Nawet Stenieczka uparcie boku Helusi się trzymała, a pani Gozdawina nie opuściła salonu, gdy muzykalna para zasiadła do fortepianu. Zdołał wreszcie szepnąć Helusi:

— Panno Heleno, ja muszę z panią pomówić na osobności i proszę, by pani znalazła sposób umożliwiający nam chwilę sam na sam.

Helusia bała się tak dobrze zwierzeń Konrada, jak jego nierównych w ostatnich czasach humorów. Ale miał minę tak nieszczęśliwego i tak spragnionego owego „sam na sam“, o które prosił, że wstała i zbliżając się do babki, rzekła:

— Babciu, pan Konrad ma jakiś interes, o którym chciałby ze mną pomówić na osobności. Pójdziemy do bibljoteki.

— Interes? — zapytała pani Gozdawina. — Jeżeli to coś tak ważnego...

Spojrzała na Konrada.

— Widzę, że to coś ważnego — dodała, — bo pan ma minę oskarżonego, stojącego przed sądem.

Był w istocie wzruszony niezmiernie; nawpół przytomny, cały drżący, a gdy się z Helusią znalazł w bibljotece wybuchnął niezdolny do żadnych okresów przygotowawczych. Wziął w swoje dłonie obie ręce dziewczyny i mówił, paląc ją rozgorączkowanym wzrokiem.

— Helusiu! Muszę cię tak w tej chwili nazywać, jak cię nazywałem, gdyś była dzieckiem, jak cię nazywam w moich myślach! Helusiu, jestem człowiekiem bardzo nieszczęśliwym. Czy chcesz mię ratować?

— Chcę! Niech pan prędko mówi o co chodzi!

Jej myśl wybiegła ku wszystkim możliwym poświęceniom, jakich mógł żądać od niej.

— Słuchaj, ja ci muszę wszystko powiedzieć. Gdym wrócił z zakładu, gdzie przeżyłem owo inne życie, o którem ci mówiłem, byłem niezmiernie względem ludzi nieśmiały, byłem jakiś zdziczały i przywiązany do tych dziwnych wspomnień, a jednocześnie zawstydzony, żem ich z duszy wydrzeć nie mógł. Byłem nieswój nawet z Michałem i wtedy spotkałem ciebie, któraś z dziecka naraz w dziewczynę wyrosła. W twoich oczach była litość i niewinność, było może moje przeznaczenie, słowem, że do ciebie jednej uczu-

łem zaufanie, ciebie jednej się nie wstydziłem, z tobą jedną umiałem być sobą, tobie jednej się spowiadałem. I przylgnęła moja dusza do ciebie i już jej teraz oderwać nie mogę i pragnę cię mieć dla siebie wyłącznie, mieć cię, jak puklerz przeciwko widmom dawnym i przeciwko wstydowi, który mię względem innych krępuje... Helusiu, ja bez ciebie gotów jestem wpaść znowu w jaką przepaść i potrzeba mi twojej miękkiej dłoni, by mię przeprowadziła przez resztę życia, które z nędznego przy tobie stanie się pełnem i dobrem! Przez długi czas nie przyznawałem sobie prawa do przemówienia do ciebie w ten sposób, walczyłem z sobą, męczyłem się wewnętrznie i wtedy to męczyłem i ciebie! Byłem szorstki, zazdrosny, despotyczny, nieznośny. Ale takim nie jestem z natury i takim nie będę!...

— Dobrze. Ale co mam uczynić dla pana?

— Zostać moją żoną, Helusiu.

Helusia odsunęła się od Konrada przestraszona.

— Żoną? — zapytała, jakby nie rozumiała tego wyrazu.

— Tak, moją żoną, to jest mojem zbawieniem, moją opatrznością, moim ratunkiem.

Helusi przebiegło przez głowę, że był samotny, że w istocie miał przeszłość nieszczęśliwą, że trzeba go było ratować od niego samego, od wizji, które mu mogły zmysły zamącić i od tego wstydu, który go wobec całej normalnej ludzkości krępował, rzekła więc niepewna jeszcze, i jąkając się:

— Widzę, że mogłabym rzeczywiście...

— Kocham cię — przerwał jej Konrad — kocham cię boś piękna, ale szczególniej cię kocham boś dobra!

Kochać cię będę i dla ciebie żyć... i tylko twojem szczęściem będę szczęśliwy!

— Ale ja przyrzekać nie mogę,... babcia ma tu głos pierwszy. I ja zupełnie inne miałam zamiary!

— Co tam babcia, jeżeli ty mię kochasz! Tu o ciebie chodzi, o twoje szczęście!

— Nie! Przecie pan mówił, że chodzi o szczęście pana, o ratunek pana.

— To mówiłem, jak egoista, jak tonący, który tylko o swem ocaleniu myśli... mówiłem, jak człowiek bezprzytomny i do ostateczności doprowadzony walką i oczekiwaniem... Chodzi o ciebie, Helusiu! Gdy kobieta przyjmuje lub odrzuca rękę, która się do niej wyciąga, musi mieć siebie jedynie na względzie!

— Więc co mam uczynić? — zawołała z rozpaczą. — Chciałabym być dla pana tem wszystkiem, o czem pan mówił, ale także chciałabym być nauczycielką Stenieczki... i nie wiem, czy byłabym pożyteczniejszą...

— A więc zbadaj dokładniej twoje serce, Helusiu, i powiedz, czy mam być najszczęśliwszym z ludzi, czy mam być zbawionym, wyciągniętym z toni, ocalonym przez ciebie, czy też rzuconym na pastwę wszystkim rozpaczom, wszystkim szałom, strącony na samo dno nieszczęścia?

— Już zostanę żoną pana, — rzekła Helusia pokornie.

On, ze zdolnością do wpadania w ostateczne krańce uczuć wszelkich, rzucił się nagle przed nią na kolana, chwytając jej ręce i przyciskając je do ust rozpalonych...

— O, teraz — zawołał — czuję się silnym, czuję się zasłoniętym od wszystkich ciosów, od wszelkiego nieszczęścia, od wszelkiego zła! I przysięgam ci moja jedyna, moje ty dziecko najdroższe, że nie pożałujesz kroku, który czynisz. Jestem o dwanaście lat starszy od ciebie, ale je zrzucę z siebie i stanę się przy tobie młodzieńcem. Kochałem już w życiu mojem, ale tak głęboką miłością kocham ciebie pierwszą!... Chodź, Helusiu, od tej chwili jesteś moją narzeczoną, jesteś moją...

Zerwał się z klęczek i chciał Helusię wziąć w objęcia, ale przelękniona potokiem jego namiętności, jak niegdyś bywała przelękniona jego dziwactwami, odsunęła się szybko.

— Jeszcze babcia nic nie wie! — zawołała, jakgdyby broniła się tą nieświadomością babki. — Chodźmy najpierw do babci.

— Czegóż ty się boisz, dziecko? — zapytał z łagodną wymówką. Przepraszam cię! Byłem zanadto natarczywy! Będę takim, jakim ty mnie mieć zechcesz... i zawsze mi powiedz Helusiu, gdy cię czem razić będę.

— Chodźmy do babci—powtórzyła z tym samym strachem w głosie.

Pani Gozdawiny nie było już w salonie i musieli jej szukać w jej pokojach.

— Babciu — rzekła Helusia głosem drżącym i zmienionym — pan Konrad miał ważny interes. Chce, abym została jego żoną.

Pani Gozdawina zerwała się z krzesła wzburzona, z gorącemi rumieńcami, które nagle zapałały na jej policzkach.

— A ty co odpowiedziałaś?

— Że zostanę jego żoną — odparła pokornie Helusia i dodała trochę po niewczasie:

— Jeżeli babcia pozwoli.

Twarz pani Gozdawiny przyoblekła się nagle wielką powagą. Głos, który z jej ust wyszedł, brzmiał bardzo stanowczo:

— Nie, Helusiu, ja na to teraz nie pozwolę!

Jakiś wykrzyknik niewyraźny wyrwał się z piersi Konrada.

— Dlaczego? — zapytał namiętnie i popędliwie, podczas gdy duszę jego poczęła nurtować podejrzliwość.

— Dlatego, że Helusia jest za młoda. Wszak to dziecko jeszcze, panie Konradzie! I gdyby najpierwsza partja naszego kraju, a choćby i świata całego,... Najpierwsza pod względem charakteru, urodzenia, majątku, znaczenia, stanęła tu przede mną, prosząc o rękę Helusi, tobym odpowiedziała to samo, co odpowiadam w tej chwili. Nie pozwalam nietylko na małżeństwo, ale na mowę o małżeństwie. Niech dziecko śpi spokojnie i nie myśli o przyszłości! Dla Helusi moja wola powinna wystarczyć, ale dodam jednak, że jej ojciec zawsze powtarzał, że pragnął, ażeby jego córka przed skończonym dwudziestym rokiem zamąż nie poszła.

Helusia oddychała swobodniej. Jakiś ciężar, który czuła na piersiach, spadł z nich przy słowach babki. Konrad miał minę zniecierpliwioną i kwaśną.

— Więc poczekam! — zawołał — ale uważam ją za moją narzeczoną!

— Nie daję panu bynajmniej tego prawa. Helusia niczyją narzeczoną nie jest, a jej dziecinne przyrzeczenia nie mogą mieć żadnego znaczenia.

— Cofamy się, jak widzę do czasów niepodzielnej władzy nad kobietą! — zawołał Konrad.

— Nad małoletnią kobietą rodzina zawsze ma władzę — rzekła spokojnie pani Gozdawina — a że ja jestem opiekunką moralną, jeżeli nie prawną Helusi, więc na mnie spoczywa obowiązek stanowienia.

Konrad zżymał się, a w swojej fantastycznej wyobraźni zaczynał już snuć projekta wykradzeń i ucieczek.

— Więc pani nie zostawia mi nawet prawa uważania się za narzeczonego panny Heleny? — zapytał gwałtownie.

— Helusiu, moje dziecko — rzekła pani Gozdawina — idź do Stenieczki, a zostaw nas tu samych. Muszę z panem Konradem pomówić otwarcie.

— Dlaczego panna Helena ma odchodzić? — zawołał Konrad.

— Bo ja sobie tego życzę.

Zaciął wargi, czując, że nie należało obrażać tej samowładnej babki.

Helusia wyszła. Miała ochotę biec i skakać, jak wtedy, gdy dzieckiem była. Przyrzekła, że zostanie żoną Konrada, bo jej go bardzo żal było, ale skoro babka nie pozwala, a ojciec wyraźną wolę zostawił, to będzie mogła do lat dwudziestu zostać w Minowicach i być nauczycielką Stenieczki!

— Niech pan się uspokoi — mówiła tymczasem pani Gozdawina — niech pan usiłuje być bezstronnym. Ja muszę postąpić wedle swoich przekonań i wedle

woli ojca Helusi. Wiem, że wiele panien w jej wieku idzie zamąż..., ale to nie przyczyna. Wiem, że pan jest człowiekiem zacnym i szlachetnym, więc nie chodzi tu o żadne zarzuty względem pana, a jednak będę musiała wymagać od pana, aby pan nie widywał Helusi.

— Bym nie widywał Helusi? — zawołał Konrad, przestając panować nad sobą. — Ależ na Boga, to jest poprostu okrucieństwo! Dlaczego ja jej nie mam widywać?

— Bo ją pan kocha, a ona uczyniła panu przyrzeczenie.

— Więc tembardziej widywać ją muszę!

— Nie będzie jej pan widywał! Jeżeli pan nie zechce przestać bywać w Minowicach, to ja z Helusią Minowice opuścimy! Ja jestem stara i znam życie. Nie narażę Helusi na przebywanie z człowiekiem, który ją kocha, którego namiętność będzie wybuchała na każdym kroku, który będzie szukał sposobności, by dawać pocałunki dziewczynie, którą ma za swoją narzeczoną. Oszczędzę Helusi życia namiętności przed czasem. To jest niezdrowe i rozbudzające. Nie chcę tego dla niej!

— Ależ to być nie może! Niech nas sądzi kto chce! Ja się na to zgodzić nie mogę! Pozyskałem jej serce, a teraz mnie od niej odpychają! Niech Michaś powie, co o tem sądzi!

— Ja o niczyje sądy pytać nie będę! Helusia nie ma nikogo i ja, niestety, muszę decydować sama!

— To być nie może! To jest okrucieństwo, na które nie zasłużyłem.

Z temi słowy wyszedł, chwytając się, jak nitki zbawienia, myśli o szukaniu pomocy u Michała.

— Cóż za surowa baba, ta twoja teściowa! — zawołał wzburzony i zaledwie zdolny do panowania nad sobą. — Helusia zgodziła się zostać moją żoną, a ona nie pozwala! Wyciągnęła na poczekaniu jakąś przedśmiertną wolę ojca Helusi i wypędza mię z Minowic!

— Ciebie z Minowic wypędza?

— Powiada, że przed skończonemi laty dwudziestu Helusia nie ma prawa być niczyją narzeczoną, że jej przyrzeczenie nic nie znaczy i zabrania mi widywać Helusię!

— Więc Helusia?...

— Przystała odrazu prawie! Widzę, że pozyskałem jej serce!... Ale cóż ja pocznę z tą despotką, która ma nad nią prawo? Mój drogi, idź jeszcze, pomów z panią Gozdawiną! Niechże ona zrozumie, że ja nie mam ani czasu, ani siły na tak długie czekanie! Toć jabym musiał się wyrzec widoku Helusi na półtora roku! To być nie może! Półtora roku tęsknoty i oczekiwania, to wiek cały męki! Michasiu, idź ty, przemów do jej rozsądku, do jej serca! Ja się unoszę i źle bronię swojej sprawy. Obrażam ją tylko i w uporze utwierdzam!

— Czekaj-no, niech zrozumiem o co chodzi! Czem moja teściowa usprawiedliwia odmowę swoją?

Michał słuchał odpowiedzi Konrada, a w głębi czuł, że do duszy spływało mu uspokojenie. Rad był despotyzmowi pani Gozdawiny i w sumieniu swojem przyznawał mu słuszność. Chciał wszakże wysłuchać obie strony i obiecał Konradowi, że pomówi z teścio-

wą i będzie się starał wyrobić sobie przekonanie zupełnie bezstronne.

— Jakto bezstronne? — zawołał Konrad. — Czy ty przypuszczasz, że ta kobieta może mieć słuszność?

— Nie wiem. Po rozmowie z nią powiem ci zdanie moje szczerze i bez żadnych ogródek.

— Przecie ty rozumiesz, że w moim wieku i z mojem usposobieniem być przez półtora roku zawieszonym na nitce niepewnej nadziei, to położenie wprost nieznośne!

— Rozumiem, ale musimy wejść w położenie tej kobiety, która ma dwie córki w grobie. I musimy przedewszystkiem myśleć o Helusi, jako o niedoświadczonem dziecku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że może w istocie za młoda jest do małżeństwa... że lepiejby dla niej było, gdyby poczekała do lat dwudziestu.

— I ty to mówisz, ty, mój przyjaciel! Słuchaj, mnie rozpacz porywa na myśl, że ta deska zbawienia z pod nóg mi się wysunie...

— Uspokój się, Konradzie. Może wszystko da się ułożyć... Pomówię z panią Gozdawiną, wybadam Helusię. Chciałbym wysondować głębokość jej uczucia dla ciebie... Będę bronił twoich interesów, a przytem będę się starał ocenić wszystkie względy... Ta sprawa obchodzi mię równie żywo, jak ciebie... Znasz moją przyjaźń. Otóż równie silne uczucie mam dla Helusi. W mojem sercu zajmuje ona miejsce obok Stenieczki. Ta dziewczyna to promień słońca w moim domu... Pragnę by była szczęśliwa!

— Wątpisz o jej szczęściu ze mną?

— Nie wątpie o tobie, ale małżeństwo dla młodej dziewczyny to początek nowego życia, to wstrząśnienie, to rzucenie się w prąd przeciwny temu, który nią dotąd kierował. Mam takie uczucie, jakgdyby mi Helusi szkoda jeszcze było dla życia wśród trudnych czasem obowiązków.

— Powiedz poprostu, że szkoda jej dla mnie!

— I dla ciebie, i dla każdego! Szkoda ścierać barwy z młodego owocu; szkoda pączka przedwcześnie w kwiat dojrzały przemieniać!

Było w głosie Michała wzruszenie, które się i Konradowi udzieliło.

— Masz słuszność! — zawołał. — Szkoda, że w Helusi serce już silniej zabiło, ale skoro się tak stało, szaleństwem jest naznaczać jakieś terminy. Za półtora roku nic się w niej nie zmieni, a mnie zje oczekiwanie i samotność! Bo ja nawet przy twoim boku jestem samotny i czuję, że tylko ramiona kochającej kobiety mogą mię z tego uczucia osamotnienia wyleczyć.

Michał westchnął. Ból szarpnął jego sercem; pomyślał o zmarłej i odczuł głęboko słowa Konrada. Tak, tęsknota za życiem we dwoje jest tak wielka, że żadna przyjaźń zagłuszyć jej nie może. Jakby w odpowiedzi na tę myśl Konrad zawołał:

— Ty masz przynajmniej dziecko, które ci rączyny na szyję zarzuca.

Serce Michała uderzyło silniej, w oczach mu stanęła Stenieczka i poczuł, że samotny nie był. Pod jego okiem rosło i rozwijało się dziecko.

— Rozumiem cię zupełnie — ozwał się. — Są położenia i stany duszy, z których tylko rodzina własna wyrwać nas może.

Pani Gozdawina okazała się nieubłagana. Oświadczyła wyraźnie, że opuszcza Minowice, nie chcąc rozdzielać przyjaciół, gdyż nie może przystać na przebywanie Helusi z Konradem.

— Wyrzucam sobie gorzko, — mówiła — żem za wiele swobody Helusi zostawiła. Myślałam, że Konrad sam będzie czuł, że po takiej chorobie...

— Lekarze zapewniają, że choroba nie wróci.

— Pomimo to on nie powinien był bez mojej wiedzy dziewczynie w głowie przewracać. I teraz, gdy mu dała słowo, nie pozwolę, by ją po kątach całował i by tylko czyhał na moje odwrócenie się... Nie, tego nie będzie! Z bólem rozłączę się ze Stenieczką, ale Helusię stąd zabiorę!

Michał poczuł nagle głuchy ból i gorące pragnienie zatrzymania Helusi w Minowicach. Jakaś się w nim rodziła zaciętość, jakiś upór i gotowość stanięcia do walki. Dlaczego mieli mu zabierać to dziecko, które pokochał, jak własne? Wszak Helusia sama prosiła o zostanie w Minowicach, wszak pragnęła uczyć Stenieczkę! I w tem gnieździe rodzinnem zaczynało być tak jasno, tak ciepło!...

— Sądzę — ozwał się, czując, że dyplomatycznie postępować musi — sądzę, że wizyty Konrada możnaby ograniczyć,... że możnaby wymagać, by dał słowo, że Helusi o miłości mówić nie będzie.

Pani Gozdawina o żadnych układach słyszeć nie chciała.

— Ja chcę zostawić Helusię wpływowi czasu; chcę od niej oddalić wszelką sugestję! Nie może widywać Konrada i widywać go nie będzie! Wyjedziemy do Warszawy, a gdyby Konrad tam Helusi szukał, wyjedziemy dalej, poszukamy jakiej miejscowości, gdzie będziemy miały spokój! Dwie córki wydałam młodo, małżeństwo obie mi je zabiło! Teraz wnuczki w osiemnastu latach nie oddam! Powiedz twemu Konradowi, że to moje ostatnie słowo. Helusię zobaczy dopiero, gdy ona skończy lat dwadzieścia!

Michał nie usiłował walczyć dłużej. Z wyrazu twarzy, z dźwięku głosu pani Gozdawiny pòznał, że wyrok był nieodwołalny. Wydało mu się, że wyrok ten jest rozumny i sprawiedliwy, więc teraz chodziło tylko o to, by Konrad ustąpił, by chciał zrozumieć, by się nie upierał... Trzeba mu to było wmówić, trzeba mu było delikatnie poddać myśl...

Michał lubił być szczerym z sobą i odrazu zdał sobie sprawę, że w tej chwili w jego duszy, na pierwszym planie, stały interesa jego własne. Pragnął szczęścia Helusi i szczęścia Konrada, ale gorąca, rzeczywista siła takiego pragnienia, które myślą wyłączną osiada w mózgu, leżała w chęci nierozłączania się z Helusią. Wola, upór i dyplomacja stawały po stronie egoizmu i szukały gorączkowo środków, wiodących do celu. Pragnął przedewszystkiem rozmówić się z Helusią, zajrzeć w oczy dziewczynie, która już o przyszłości swojej postanowiła, która chciała z jego domu odejść, jako żona Konrada.

Zastał ją przy lekcji ze Stenieczką. Obie śmiały się z jakiejś bajeczki, którą dziecko czytało. Stanął

chwilę we drzwiach, przyglądając się scenie, jako prześlicznemu obrazkowi. Helusia spokojna, wyprostowana, swobodna a słodka zdawała się być obleczona jakiemś dostojeństwem, gdy przemawiała do Stenieczki z macierzyńską powagą. Dziecko słuchało wpatrzone w nauczycielkę, szczęśliwe, chwytając jej słowa.

Michał usiadł w milczeniu, nie przerywając rozmowy. Zawsze, ile razy znalazł się sam z dziewczętami, tyle razy owiewało go rozrzewnione uczucie szczęścia i ciepła rodzinnego, a zarazem potężnego wdzięku, leżącego w piękności i słodyczy Helusi, w niewinności i swobodzie Stenieczki. I teraz silniej, niż kiedykolwiek przejęło go to uczucie i napełniło błogiem wzruszeniem. Pierwszy raz był obecny na tak zwanej lekcji. Dotąd z umysłu nie wchodził do szkoły, nie chcąc podsunąć Helusi myśli, że zamierza ją kontrolować i że się boi, czy dobrze sobie poczyna ze Stenieczką. Słuchał wykładu Helusi i coś z uczuć nieświadomości własnego, szczęśliwego dzieciństwa powracało do jego duszy. Gdyby był badał siebie w tej chwili i własne wrażenia określał, byłby mógł powiedzieć, iż odbywał się w nim proces zmartwychwstania. Odmładzał się i odnawiał przy swojem dziecku. Patrzał też z zachwytem na Helusię. Zapomniał na chwilę, że mu groziła jej utrata i żył słodkiem rozrzewnieniem chwili obecnej.

Lekcja, trwająca zwykle pół godziny, skończyła się, Stenieczka, okrywana pocałunkami znalazła się na kolanach ojca. Dopiero w tej chwili stanęło mu znowu przed oczami widmo rozłąki z Helusią i spojrzał na dziewczynę okiem badawczem, pragnącem przejrzeć jej myśl, przedrzeć się aż na dno serca.

— Moje dziecko — rzekł do Stenieczki — idź na chwilę do babci. Mam do pomówienia z Helusią.

Stenieczka z widocznym żalem zeskoczyła z kolan ojca. Ociągając się i oglądając odeszła. Helusia wzięła rękę wuja i przyłożyła do niej usta.

— Wujaszek już wie? — zapytała. — Stało się to tak prędko, sama nie wiedziałam kiedy...

— Helusiu, chciałem cię zapytać, czyś poszła za własnem sercem, przyjmując Konrada?

— O, za sercem! Cóżby innego skłoniło mię ku niemu? Żeby wujaszek widział go i słyszał!... Rzeczywiście wołał do mnie o ratunek i przyszło mi na myśl, że jeżeli ja mu ręki nie podam, to on gotów zachorować znowu... Wyglądał na zrozpaczonego. Widzę, że on potrzebuje takiej duszy, któraby się dla niego poświęciła, i wujaszek sam rozumie, że odmówić mu nie mogłam! Uważałam w nim od jakiegoś czasu dziwactwa różne, a dopiero teraz on mi wytłomaczył, że tak go denerwowała myśl, którą odpychał, wezwania mnie na ratunek!

— Ale ty zdajesz sobie sprawę, Helusiu, że to się robi na całe życie, na długie lata... że się porzuca wszystko i wszystkich, i że ten człowiek musi ci być odtąd celem jedynym?

— Wiem. Wszystkie żony na to się decydują, wszystkie zakonnice także. Obierają sobie jakiś cel i przysięgają stać przy nim aż do końca.

— Więc kochasz Konrada?

— Widać go kocham, kiedy chcę być jego żoną i stanąć do walki z tą samotnością, na którą się skarży i z temi widmami, o których mówi. Będę dla nie-

go dobrą i cierpliwą, będę znosiła zmienność jego humoru i jego niecierpliwości i mam nadzieję, że go z nich wyleczę. Wujaszek powiedział mi niegdyś, że jestem moralną siostrą miłosierdzia..., będę wytrwale goić rany, które mu zadało życie i nie wiem, dlaczego mam wiarę, że go do zdrowia doprowadzę.

— A dla ciebie, Helusiu, co pozostanie?

— Jakto dla mnie? Ja będę bardzo szczęśliwa, że zrobię coś dobrego, że oddam wujaszkowi przyjaciela wesołego i ufającego przyszłości, jak dawniej. Wie wujaszek, ja myślałam nieraz o robieniu czegoś na wielką skalę, o prowadzeniu przytułku dla starców i kalek, ale czuję, że napotkałabym wielkie trudności i przeszkody, więc czynię tak, jak radził nam zawsze ksiądz Cieplak: nie szukać wielkich dzieł ani wielkich obowiązków, ale brać te, które są z brzega. Biorę poprostu „ten z brzega".

Michał patrzał na dziewczynę nawpół rozumiejąc i czyniąc wysiłki, by zdać sobie sprawę z pobudek tej wyjątkowej duszy.

— Ale ty może nie wiesz jeszcze, że babcia się sprzeciwia.

— Wiem — odparła. — I nawet wszystko się bardzo dobrze składa. Przez te półtora roku będę uczyć Stenieczkę, a pan Konrad mając pewność, będzie mógł czekać spokojnie.

— Ale babcia nie chce, abyście się widywali.

Helusia się zamyśliła.

— Więc jakże to zrobić? Przecie pan Konrad nie może przestać bywać w Minowicach? Ach, nawet tak zrobić można, bym ja siedziała w swoim pokoju, gdy on tu przyjedzie.

— A nie będzie ci tęskno do narzeczonego?

— Nie wiem. Muszę być posłuszna babci. A byle pan Konrad wiedział, że zostanę jego żoną, gdy będę miała lat dwadzieścia, to niema konieczności, byśmy się widywali.

Michał wyszedł ze szkoły smutny i przygnębiony. Czuł, że Helusia nie kocha Konrada, i doświadczenie życiowe czyniło go naprzód świadomym wszystkich ciężkich przejść, które czekały Helusię na tej drodze, na którą rzucała się z zamkniętemi oczami. Sam do domu niegdyś wprowadził oblubienicę, kochającą równie gorąco, jak była kochaną, i pamiętał, ile rozkoszy dało mu to wzajemne uczucie. A Helusia ku temu związkowi najbliższemu ze wszystkich miała iść, jak siostra, wymawiająca śluby zakonne! Cierpiał głęboko nad tem swojem starszem dzieckiem, niosącem w chwili szlachetnego, ale ślepego porywu młodość swoją w ofierze idei. Wszystko buntowało się w Michale przeciwko tej myśli, a czuł, że nie mógł mówić z Konradem, jak z człowiekiem spokojnym i gotowym do poświęcenia siebie. Znał go i wiedział, że wyobraźnia jego szła zawsze w kierunku jego pragnień i że ani uwierzy, ani zrozumie. Jedna pozostawała nadzieja—czas. Przez półtora roku wiele rzeczy zmienić się może, mogą się oczy otworzyć Konradowi, może w umyśle Helusi przeważyć jakiś zamiar inny. Niechby w myśli układała ów przytułek dla starców i kalek, czekając pełnoletności, by marzenie w czyn wprowadzić. Mówił Konradowi, że szkoda było Helusi na tak wczesne małżeństwo. Nie w młodości jej jednak tkwiła krzywda; szkoda jej było na małżeństwo bez miłości. Jaki

smutny los żony, która przynosi mężowi miłość chrześcijańską jedynie z litości nad jego dolą.

Tego dnia pani Gozdawina cierpiała z nich wszystkich najwięcej może. Postąpiła despotycznie i cofnąć się nie mogła, a zdawało jej się, że wszyscy, zarówno Helusia jak Michał i Konrad byli przeciwko niej. Czuła się zapomnianą i osamotnioną, utraciwszy przywiązanie wnuczki. Z powodu bólu głowy została u siebie i nie zasiadła wieczorem do wspólnego stołu. Zadziwiła się niezmiernie, gdy Helusia, przyszedłszy życzyć jej dobrej nocy, uściskała ją serdeczniej, niż zwykle. Pani Gozdawina podniosła jej twarz ku sobie i spojrzała głęboko w jej oczy.

— Czy mię bardzo w swem sercu potępiasz, Helusiu?

— Moja babciu, co też babcia mówi?

— Więc rozumiesz, że musiałam tak a nieinaczej postąpić?

— Zdaje mi się, że babcia postąpiła słusznie, szczególniej kiedy to było wolą mego ojca.

Jeszcze większem zdziwieniem dla pani Cozdawiny było obejście się z nią Michała. Znalazła go dla siebie jakimś czulszym i jakby pełnym uznania. Wobec tej domowej zgody skargi Konrada mały na nią wpływ wywrzeć mogły. Odetchnęła swobodniej myśląc, że półtora roku czasu dzieli ją jeszcze od naznaczonego terminu. Powiedziała Helusi o swym zamiarze opuszczenia Minowic. Tu dopiero napotkała na opór i na wyraźną niechęć wnuczki.

— Babciu, ja gotowa jestem dać przyrzeczenie, że słowa jednego nie przemówię do pana Konrada, że

nie wyjdę ze swego pokoju, ile razy tu przyjdzie, ale nie opuszczajmy Minowic! Nie godzi się z mojego powodu robić tej krzywdy Stenieczce. Ona się tak dobrze rozwija pod opieką babci, taka jest między nami szczęśliwa, i poprostu trwoga ogarnia, gdy się pomyśli, że przyszłaby tu jaka osoba obca, którąby dzieckiem kierowała... jakaś osoba, której Stenieczka nie zna, którejby może pokochać nie mogła... Babciu, nie zostawiajmy Stenieczki na łasce jakiejś nieznajomej!

Struna najczulsza zadrgała, pani Gozdawina zaczęła się cofać.

— Więc zobaczymy jeszcze. Wszak nie chodzi mi o wywiezienie cię z Minowic, lecz tylko o zostawienie ci swobody. Wierzaj mi, Helusiu, że nie miałabyś jej, gdyby tu Konrad przesiadywał. Kiedyś, gdy nabędziesz doświadczenia, przyznasz mi rację, powiesz, że nie dla własnej fantazji jedynie narzuciłam ci swą wolę.

Konrad rzucał się, zżymał i nie mógł zrozumieć, że w chwili, gdy słodki owoc miał już prawie przy ustach, znalazła się ręka, która mu go odebrać zamierzała. Był panem siebie od lat bardzo młodych i działał swobodnie wedle własnego widzi mi się. W stosunku z kobietami bywał dotąd zawsze panem położenia. Tymczasem wola jednej despotycznej kobiety odbierała mu prawo widywania dziewczyny, którą uważał za narzeczoną. Czy nie było sądów na taką samowolę? Tę kobietę należało ubezwłasnowolnić, jako istotę pozbawioną zdrowych zmysłów!

— Ona mię zmusi poprostu do tego, że ja Helusię wykradnę!

Michał, do którego ten wykrzyknik był zwrócony, uśmiechnął się pobłażliwie.

— Chyba zrobisz napad i siłą Helusię zabierzesz. Pani Gozdawina chce wyjechać z Minowic. Woli opuścić Stenieczkę niż narażać Helusię na to, byście się widywali.

— Ona jest poprostu szalona, ta kobieta.

— Wywiezie ją do Warszawy, a może wyjedzie z nią gdzie dalej!

— Ja na to nie pozwolę! Mam przecie prawo żądać, by Helusia nie była wystawiona na ciągły podziw przechodniów i ludzi obcych, na zachwyt młodych mężczyzn, może na ich konkury! Nie mogę się zgodzić na szukanie myślą Helusi po jakichś dalekich stronach i nieznanych miejscowościach! Niechże ta kobieta zrozumie, że ja przynajmniej muszę znać stosunki, w których się moja narzeczona obracać będzie. Niech się postawi w mojem położeniu! Ja z nią mówić nie mogę, bo gotów jestem zapomnieć o umiarkowaniu, ale ty jej powiedz...

— Będzie od ciebie wymagała, byś przestał bywać w Minowicach!

— Ja tego przyrzec nie mogę, ale tymczasem niech nie czyni projektów wyjazdu! Niech ja przynajmniej wiem, w jakich kątach Helusia się obraca, niech wiem, że jest w twoim domu i pod twoją strażą! Helusia nie jest z tych, co przechodzą niepostrzeżenie. Ona wszędzie musi ciągnąć spojrzenia męskie, a ja tego nie chcę, ja na to nie pozwalam!

— Pomówię z panią Gozdawiną i to może się da urządzić. Wiedz tylko, że ta kobieta ma wolę silną, która niełatwo da się przełamać.

Pomimo pragnienia nie opuszczenia Stenieczki pani Gozdawina nie chciała wstąpić na drogę układów. Konrad dochodził do rozmaitych nietaktowności, walcząc o pozwolenie widywania Helusi, wreszcie jednak pod groźbą wyjazdu jej z Minowic uledz musiał. Obraził się śmiertelnie na panią Gozdawinę i przysięgał, że gdyby go ku Helusi nie pchała miłość, toby jednak z niej uczynił swoją żonę, choćby dlatego, że sobie „ta baba“ tego nie życzy!

— I to nic nie pomogą te wszystkie ostrożności! Helusia mię nie zapomni, zresztą mam tę pretensję, że ja przecie trochę więcej wart jestem od przeciętnego szlagona, sąsiada Minowic!

Zarozumiałość Konrada czyniła zawsze na Michale przykre wrażenie i zawsze usiłował przycierać jej rogi, tym razem jednak nie odpowiedział na nią żadną uwagą sceptyczną. Nie chciał dolewać oliwy do ognia.

— Ty będziesz jej stróżem — mówił dalej Konrad — twojej opiece oddaję narzeczoną moją! Jest pod despotyzmem głupiej babki, ale będzie rzeczywiście pod wpływem i władzą twoją! Powiedz jej ode mnie, że w zastępstwie mojem ty będziesz jej opiekunem, jej doradcą, jej kierownikiem.

— Mój Konradzie — odparł Michał poważnie — ja sobie niedokładnie sprawę zdaję z uczuć Helusi. Wierzę, że ma do ciebie przywiązanie, skoro chce zostać twoją żoną, ale to jeszcze dziecko. Ona sobie nie zdaje sprawy z tego, czem jest małżeństwo, i sama po-

prostu nie rozumie. Otóż ja nie chcę ani jej oczu otwierać, ani znowu egzaltować jej wyobraźni na twój rachunek. Nie podejmuję się kierowania nią i będę tak jak dotąd jej przyjacielem i jakby przybranym ojcem, ale tylko w imię przywiązania a nie w imię praw ojcowskich.

— Więc niech mi przynajmniej pozwolą pisywać od czasu do czasu do niej i niech ona pisuje też do mnie. Niech mi pozwolą choć raz na miesiąc przemówić do niej listownie!

Pani Gozdawina na to jedno ustępstwo się zgodziła.

— Powiedz mu, że pisywać raz na miesiąc pozwalam. I Helusia będzie mogła odpowiadać, jeżeli zechce. Mówiłam z nią i widzę, że tu niema mowy o miłości dojrzałej kobiety. To jakieś mrzonki dziecinne. Korespondencja może trochę bardziej rozegzaltować głowę Helusi w kierunku jakichś idealnych poświęceń, ale przynajmniej zostawi ją spokojną i wesołą, jak dotąd.

Konrad napisał wkrótce do Helusi list pierwszy pożegnalny. Wyjeżdżał na całą zimę do Włoch, gdyż poprostu niepodobna mu było nie myśleć ciągle o odwiedzaniu Minowic, o spotkaniu Helusi na spacerze, o wyjechaniu konno z intencją zobaczenia jej choć zdaleka w ogrodzie Minowickim. Ta bliskość osoby, której widzieć nie miał prawa, którą zobaczyć pragnął, a unikać musiał, denerwowała go do najwyższego stopnia. Czuł, że uciekać mu było trzeba dla znalezienia przynajmniej tyle spokoju, by każda zdala spostrzeżona postać nie przybierała dla niego kształtów Helusi, i by

mógł stanowczo uwierzyć w dalekim kraju, że ani dziś, ani jutro żadna okoliczność nie może sprawić, by zobaczył ukochaną. Helusia mu odpisała, iż się cieszy, że on spędzi zimę pod łagodniejszem niebem i że pragnie, by w jego duszy panował spokój. Półtora roku minie prędko dla niej przy pracy ze Stenieczką, i dla niego wśród zmiennych wrażeń podróży i rozkoszy muzykalnych, które tak odczuwać umiał.

Michał żegnał przyjaciela z uczuciami z sobą niezgodnemi. Z jednej strony żal mu było rozłączać się z nim na tak długo, z drugiej doznał pewnej ulgi na myśl, że Helusia będzie miała spokój, że ta dziewica— dziecko będzie nadal oddychała atmosferą miłości rodzinnej i czystych uciech pracowitej obowiązkowości, że nie będzie miała nic wspólnego z objawami namiętności niecierpliwego narzeczonego. Gdy pożegnawszy Konrada wrócił do domu i zobaczył przez otwarte drzwi salonu Helusię, grającą walca, a Stenieczkę, pod jej kierunkiem wykonywującą *pas,* i usłyszał śmiech obu przy jakiemś niezgrabnem poślizgnięciu się dziecka, ciche zadowolenie wpłynęło mu do duszy. Z rozrzewnieniem, a jednocześnie z zadziwieniem i rodzajem wyrzutu sumienia zaznaczył raz jeszcze, że dom jego z wesołością, pięknością i wdziękiem istot młodych był dla niego pełen powabu i ciepła. Nie chciał przeszkadzać dziewczętom, niepostrzeżony zwrócił kroki ku swemu mieszkaniu, lecz umyślnie obrał drogę dłuższą przez pokój Stenieczki. Nie było w nim nikogo, więc przystanął i obejrzał się. W nogach łóżka dziecka stało łóżeczko lalki, która pod piękną kołdrą z zamkniętemi oczami w biały dzień spała. Obok stał wybudowany

z klocków pałac, a dalej porzucona na krześle leżała mała laleczka w stroju dość zaniedbanym i z trochę wyblakłem woskowem licem. Michałowi przemknęło przez głowę, że dom, w którym jedna taka laleczka leży porzucona na jakiemś krześle, ma swoją radość i swoje piękno. Zrozumiał, że trudno mu było w myśli odłączyć Helusię od Stenieczki i znowu poczuł uznanie dla pani Gozdawiny, że na półtora roku jeszcze zostawiła wszystko, jak było dotąd; zeznał też, że doznawał ulgi na myśl, że wpływ Konrada na Helusię ograniczać się będzie do listów, przychodzących zdaleka.

I popłynęło dalej w Minowicach życie bez wstrząśnień, ciche, pracowite, a jednak pełne i odczuwane głęboko przez Helusię i Michała. Pani Gozdawina nieuleczona z tęsknoty za córkami męczyła się też swem osamotnieniem wśród ukochanych; Stenieczka, szczęśliwa, nie zeznawała przed sobą swego szczęścia, ale ci dwoje, w pełni sił żywotnych, oddychali całą piersią, każde po swojemu. Helusia spragniona czynności i poświęceń, z duszą miłującą ludzkość i jej cierpienia, doskonale odczuwała, że oddziaływanie jej w Minowicach było dobroczynne, że to była misja, którą jej się spełnić udało. Wiedziała, że to ona nauczyła Stenieczkę kochać nad wszystko ojca, że ona nauczyła Michała rozumieć Stenieczkę, że ona była dla niego w istocie moralną siostrą miłosierdzia, pod której ręką zabliźniały się powoli ciężkie rany, zadane przez nieubłagany los. Widziała, jak czarny smutek Michała ustępował powoli, jak jego bolesny pesymizm przechodził ku cieniom jaśniejszym. To wszystko odczuwała sercem, litością, intuicją. Nie był to rozum, zeznający

przed sobą fakty dostrzeżone, lecz mądrość, która swe soki czerpała ze źródła głębokiego współczucia i miłości. Jeszcze dzieckiem będąc, przeczuwała czasem zwroty myśli Michała i umiała czytać w jego oczach, w jego smutnym uśmiechu, w niedostrzegalnych dla nikogo innego drganiach jego głosu. Teraz nastąpiło takie zbratanie się tych dwóch dusz, że choć Michał swej prawie chorobliwej skrytości nawet dla niej przełamać nie mógł, ona jednak rozumiała i przeczuwała tak wiele, że dostrajała się mimowoli i bez wysiłku do najlżejszych odcieni jego usposobienia. Jemu z nią było dobrze. Wyjeżdżał za interesami, pracował, kierując sam gospodarstwem i zajmując się sprawami gminy i włościan, którzy się do jego opieki uciekali, ale ukojenia moralnego, ciszy w niedawno namiętnie cierpiącej duszy doznawał tylko wtedy, gdy był przy Helusi i Stenieczce. To był jego port, w którym ucichała burza i nastawał spokój jasny i wypogodzony. Nie potrzeba było na to wymiany myśli, ani nawet obecności dziewcząt. Dość mu było wiedzieć, że są blisko, że się w dziecinnym pokoju odbywa lekcja, lub że Helusia gra na fortepianie, a Stenieczka bawi się z boną. Czasem z porywem ku swojej zmarłej, z zabobonnością ludzi chorych, jej opiece i miłości przypisywał swoje uzdrowienie. Ona zostawiła mu Stenieczkę i za jej przyczyną do domu weszła Helusia, córka jej siostry. Z poza grobu nawet błogosławionym swym wpływem go otaczała.

Niespodzianie też poprawił się jego stosunek do pani Gozdawiny. Oczy Helusi otworzyły się wreszcie na jej cierpienie. Pewnego razu, gdy Michał z dziew-

czętami mieli się wybrać sankami po pocztę do miasteczka, Helusia dostrzegła, że babka miała oczy podsiniałe i twarz pobladłą. Dziewczyna zapytała o przyczynę, a gdy się dowiedziała, że powodem bladości był ciężki ból głowy, oświadczyła, że na pocztę nie pojedzie, lecz zostanie przy chorej. Spostrzegła, że babka spojrzała na nią z niewymowną wdzięcznością, że to odmówienie sobie spaceru uważała ze strony Helusi za niespodziany dowód przywiązania. Helusia była wprost zdziwiona, że tak małe poświęcenie pani Gozdawina uważała za coś tak znaczącego. Spragniona objawów przywiązania kobieta usiłowała okazać Helusi swoje zadowolenie, starała się nawet zabawić ją rozmową i choć w części wynagrodzić jej uczynioną ofiarę. To było pierwsze wprowadzenie Helusi na trop, którego jej pełne współczucia serce już nie porzuciło, dopóki nie odkryło tajemnicy babki. Ta kobieta łaknęła miłości zięcia i wnuczek i dochodziła do zazdrości i rozpaczy z powodu swego odosobnienia. Teraz oczy Helusi otworzyły się na dziwną obojętność Michała względem matki swej żony. Wszak on był względny, uprzejmy, grzeczny, ale od tych względów i uprzejmości wiało lodowatym chłodem i Helusia poczęła teraz odczuwać wszystko, najdrobniejsze odcienie, najbardziej niepochwytne drażliwości. I na tę ranę usiłowała znaleźć lekarstwo, a przynajmniej kojące środki.

— Wujaszku — rzekła raz do Michała ze spojrzeniem cudnych, wymownych oczu. — Łamałam sobie głowę nad pewnem zadaniem i nie umiem rozwiązać go inaczej, jak szczerem przystąpieniem do rzeczy.

Wujaszek wie, że babcia jest bardzo nieszczęśliwa... przeżyć dzieci... dwóch mężów... Kochała bardzo mojego ojca... Ona już teraz nie ma nic, prócz nas trojga, którzy ją otaczamy. Otóż my się za mało wkoło niej skupiamy i jej serce cierpi...

— Jakto za mało się skupiamy? Wszak was dwie ma ciągle... ja jestem dalszy, ale jeżeli jej o mnie też chodzi, wszak staram się być dla niej, o ile umiem, dobry.

— Tak wujaszku, ale... niech wujaszek pomyśli: wszak my we troje tworzymy ciaśniejsze kółeczko, do którego ona nie należy.

— Moja Helusiu, to są rzeczy sympatji i przywiązań wyjątkowych, pokrewieństw duchowych, słowem jest to świat uczucia, w którym niema ani praw, ani despotyzmu woli, ani względów ubocznych. Prawda, ja inaczej kocham was, dzieci, a inaczej panią Gozdawinę, i to się zmienić nie może, bo to rzecz niezależna ode mnie. Ja mogę widzieć wszystkie cnoty twojej babki, ale w uczuciach moich musi ona zajmować to miejsce, na którem je postawiła władza silniejsza od mojej woli.

— Ale ona kocha wujaszka, jak syna, i cierpi, zazdrości... ukrywa się z tem, ale serce jej się krwawi...

— Skąd to wiesz, czy ci to powiedziała?

— Ja to widzę i czuję i jestem pewna! Biedna babcia! Ona tak chwyta uczuciem każdy najmniejszy dowód przywiązania z naszej strony, tak wyciąga ręce do tej pociechy i tak zawsze dotknięta jest boleśnie, ile razy spotka ją zawód. To jedno ceni, tego jednego pragnie i to sprawia, że zazdrości...

Od tej chwili Michał począł baczniejszą zwracać uwagę na panią Gozdawinę. Rozczulało go to, że ona go kochała i że jego przywiązanie budziło w niej zazdrość. Trochę cieplejsze obchodzenie się z nią Michała przyjęła z widoczną wdzięcznością.

— Największa mądrość w kobiecie to serce — rzekł raz do Helusi. — Ty odkrywasz, zgadujesz i wiesz za pomocą współczucia.

Pogłaskał jej bujne, jasne, jedwabiste włosy, których dotknięcie sprawiało mu przyjemność.

— Miałaś słuszność co do babci — dodał. — Ta kobieta żyje tylko w nas, a jej serce jest łakome i nienasycone. Będziemy się starali oszczędzać mu bólu.

Konrad wedle umowy pisywał raz na miesiąc do Helusi, za to zasypywał swemi listami Michała z nadzieją, że będą czytywane przez Helusię. W tych listach był fantastyczny i pełen niespodzianek. Michał czuł, że jest w tem trochę pozy. Znał go tak dobrze, że wiedział dokładnie, gdzie się kończyła szczerość przyjaciela, a gdzie się zaczynała ta bezwiedna może poza, w którą się drapować lubił.

Michał nierad czytywał Helusi te listy, bo mu był drogi spokój wewnętrzny, który spostrzegał w dziewczynie, a z drugiej strony zdawało mu się, że grzeszy przeciwko przyjacielowi, że czyni jakieś tajemnice z intencją niezupełnie pozbawioną samolubstwa, pozostawił więc co do tego sąd pani Gozdawinie, która orzekła stanowczo, że nie lubi wykrętów i nie dla tego pozwoliła Konradowi na jeden list na miesiąc, by on

przemawiał do Helusi co drugi dzień przez pośrednictwo innej osoby. Michał pozostał co do tych listów w położeniu niezupełnie jasnem. Konrad nie zapytywał, czy Helusia je czytuje, ale czuć było w jego tonie, że był tego pewien. Michał zdawał mu szczegóły o wszystkiem, a więc i o Helusi, ale nie dotykał nigdy kwestji jej uczuć dla Konrada i nie wspomniał o zakazie odczytywania jego listów. Czynił to z intencją nie pozbawienia Konrada na obczyźnie rozkoszy i zajęcia, jakie znajdował, pisując często i obszernie. Wyrosła więc między przyjaciółmi kwestja, co do której nie postąpili ze sobą z całą szczerością, i to było Michałowi cierniem w nodze. Żałował, że przy pierwszym zaraz liście nie powiedział Konradowi prawdy, ale teraz już musiał trwać w tem kłamstwie połowicznem, które mu się za każdym przybywającym listem coraz cięższe do zniesienia wydawało. A biedny Konrad listy swoje opracowywał, opisywał krajobrazy, na których tle jego własna osoba powinna była wydać się zajmującą, uczucia, które go miały w umyśle Helusi podnosić lub poetyzować, dobierał porównania, wyszukiwał myśli uderzające, podawał cytaty z czytanych książek, bywał dowcipny i pełen werwy, bywał wymowny, gdy gorącemi słowy mówił o swojej miłości.

Helusia nie lubiła listów Konrada i zadawała sobie przymus, odpisując na nie. Nie czuła się swobodną, gdy z piórem w ręku rozmawiała z domniemanym narzeczonym. Do koleżanek pisywała z łatwością i z upodobaniem, tu pracowała z wysiłkiem. Bała się obrazić go, rozdrażnić, nie wiedziała, w jakim tonie przemawiać, a gdy nareszcie raz na miesiąc ułożyła

list, jak wypracowanie, czuła że jej wielki kamień spadł z ramion. Pani Gozdawina odgadywała mniej więcej uczucia Helusi.

— Nie uwierzysz — mówiła do Michała — co to za zmartwienie dla mnie te szalone projekty Helusi małżeństwa z Konradem. Ona go wcale nie kocha! Pisuje z obowiązku i nad każdym listem się męczy. Zapalona głowa i taka niedoświadczona! Ani rozumie, że owo ratowanie od rozpaczy ma swoje strony realistyczne, do których nie wystarcza litość choćby największa! Głupie dziecko zobowiązuje się zostać żoną, jakgdyby szło o przyrzeczenie odwiedzania codziennie chorego!

— Najgorsze w tem — rzekł Michał z rozpaczą — że sami jesteśmy temu winni. Ja zachęcałem Helusię do rozmawiania z Konradem, do wzbudzenia jego zaufania. A teraz nie rozumiem, jak można było nie przeczuć, jak można było do tego dopuścić! Ale nie mogliśmy przewidzieć, że Helusia posunie egzaltację do tego stopnia! Bo gdyby go kochała, byłoby wszystko dobrze. Moglibyśmy wydać ją za Konrada bez strachu, ale skazywać ją na małżeństwo bez miłości!...

— Ja muszę odkryć jej, czem są przedewszystkiem obowiązki żony, ale ciebie proszę także, byś z nią pomówił szczerze. Ona tobie ufa, poprostu wierzy w ciebie!

Brwi Michała zbiegły się, a na czole zarysowała się głęboka fałda.

— Mama rozumie, że mnie jest bardzo trudno...

— Dlaczego?

— Nie mogę, nie mogę spiskować tu przeciwko nieobecnemu Konradowi!

— Ja wcale nie rozumiem takiego położenia, w któremby było niemożliwe powiedzieć prawdę i postąpić wedle swego sumienia!

— To mama jest szczęśliwa osoba, która nigdy nie była w położeniu dwuznacznem!

— Czy możemy sumiennie skazywać Helusię na prawie pewne nieszczęście? Co to za piekło, małżeństwo bez miłości!

— A więc może będę mógł to uczynić, może sprobuję wpłynąć na Helusię, ale gdy Konrad powróci i gdy będę mógł mu powiedzieć wyraźnie i szczerze: „Będę pracował nad umysłem Helusi przeciwko tobie". Nie mogę kąsać milczkiem!

— To napisz do niego!

— Nie, nie mogę! Tam mu ten cios posyłać i narażać go na cierpienie zdala ode mnie... mama rozumie, że to jest niepodobieństwo! Biedny człowiek, małżeństwo z Helusią jest dla niego rzeczywistą deską zbawienia. On to czuje i przywiązał się do tej myśli ze wszystkich sił... Doprawdy nie wiem, co się z nim stanie, i jestem w położeniu bardzo trudnem. Chciałbym, by Helusia poszła zamąż wedle swego serca, a z drugiej strony pragnę, by życie Konrada nie poszło na marne. To prawdziwie błędne koło, z którego wyjść mi trudno!

— Więc kiedy działać nie chcesz, przyglądaj się przynajmniej Helusi, staraj się dokładnie zbadać jej serce, byś sobie mógł wyrobić przekonanie jasne i niezależne. Potem postąpisz wedle twego sumienia. Helusia kocha cię z czcią, jakiej nie ma dla nikogo innego, wierzy w ciebie, niechże się na tobie nie zawiedzie!

— I Konrad mi wierzy i opiece mej oddaje sprawę swoją! Nie chcę być dla niego zdrajcą!

A właśnie czuł, że go zdradza, zachowując listy jego dla siebie samego, gdy on był pewien, że czytywała je Helusia. Zdradzał go też w swojem sercu. Zeznawał przed sobą dokładnie, że oddalenie najlepszego przyjaciela było mu na rękę, że od chwili gdy Konrad wyznał mu swoją miłość dla Helusi, coś między nimi stanęło i umarła szczerość, która dotąd była ozdobą ich stosunku. Michał czuł, że leżało w jego duszy coś, co tamowało dawne porywy wyjątkowej i gorącej przyjaźni, coś co mu psuło rozkosz dawnego, braterskiego stosunku. Czy to miałaby być samolubna chęć zatrzymania Helusi w Minowicach, których była ozdobą? Nie mógł zataić przed sobą, że tak było. Drogie mu było przywiązanie Helusi, cześć jej i wiara w niego, a to wszystko musiał do pewnego stopnia utracić z chwilą jej małżeństwa... musiał utracić ją samą. Myśl jego lubiła schodzić aż na samo dno kwestji każdej i wzdrygała się, ile razy dotykała zbliska prawdopodobnego małżeństwa Helusi z Konradem. Dziewica-dziecko miała iść w objęcia człowieka nieukochanego... Coś złego, jakby gniew i zaciętość, rodziło się w jego sercu. Bolał nad własnemi uczuciami, nie rozumiał siebie, wstydził się samego siebie. Po sto razy w myśli powracał zdziwiony do własnych uczuć i nie chciał się łudzić. Czy on może sam kochał Helusię miłością? Nie, nie pragnął z niej uczynić swojej żony, ale nie chciał jej dać za żonę nikomu. Był zazdrosny o uczucia Helusi, nie jak kochanek, ale jak człowiek, który wynalazł zdrój życia, a któremuby go odebrać

usiłowano. I czemu on musiał te uczucia zazdrości żywić względem Konrada? O, istnieje jakiś zły duch, zwany fatalnością życiową, który wchodzi w drogę ludziom spokojnym w sumieniu własnem i rzuca im do rozwiązania zagadnienia, sprowadzające na nich noce bezsenne i dni pełne męki wewnętrznej! Najjaśniejsze i najspokojniejsze z pozoru egzystencje mają nieraz na dnie sumienia takiego toczącego robaka, niewidzialnego dla niczyjego oka.

A Helusia na tle tych wszystkich zgryzot o jej los, tych tajemnych zazdrości i niepokojów, uśmiechała się do życia swoim uśmiechem spokojnym i czystym i patrzała w oczy Michała z prostotą, zaufaniem i swobodą. Utraciła względem niego swoją dawną nieśmiałość. Zwracała się teraz ku niemu z każdą wątpliwością, z każdym projektem. Odbywała z nim narady nad Stenieczką, razem z nim szukając sposobów wyzyskania jej zdolności i dobrych przymiotów, a oddziaływania na jej wady. Stenieczka była popędliwa i nie umiała panować nad sobą. Posłuszna względem babki i Helusi bonę swoją traktowała zgóry i zawsze z nią na swojem postawić usiłowała. Miała też przesadne pojęcie o swojem położeniu socjalnem. Widocznie jakaś niemądra niańka musiała jej mówić o wielkim w swojem przekonaniu majątku, który miał być dziedzictwem Stenieczki. Czasem Helusia, jak młoda matka, przychodziła rozpromieniona z relacją o jakimś dobrym postępku lub mądrem słówku Stenieczki, i wtedy mówili z Michałem o przyszłości dziecka, o tem, jakiemby je, gdy dorośnie, widzieć chcieli.

Helusia ośmieliła się teraz do tego stopnia, że przyjmowała czasem na siebie wstawianie się do Michała za kimś ze służby, lub spełnienia dobrego uczynku z jego pomocą. Gdy był w swoim pokoju, pukała do niego i wchodziła z małym dreszczem nieśmiałości i obawy, który jednak bez trudu przemogła. A jemu było słodko przychylić się do jej prośby, ile razy mógł to uczynić bez uszczerbku dla swoich przekonań. Było mu słodko dawać przez ręce Helusi i czynić z niej łaskawą i błogosławioną opatrzność ubogich i nieszczęśliwych. Czasem, dziękując w porywie wdzięczności, zarzucała ramiona na szyję Michała, szepcząc: „Jaki wujaszek dobry!“, a on czuł się przy niej dobrym, kochającym ludzi, gotowym do słów życzliwych i do gorącego współczucia.

Doznawał radości niezmiernej, ile razy wracając z Warszawy, gdzie od czasu do czasu dla interesów jeździć musiał, przywoził dzieciom kwiaty, cukierki, podarki. Część ich dostawała się i pani Gozdawinie, ale Michał, usiłujący wychodzić szczerze sam z sobą, rozumiał, iż radowało go szczególniej obdarzanie Helusi. Lubiła kwiaty, więc nią niemi obsypywał. Asortymenty kwitnących kamelji, azalji, oryginalne storczyki zdobiły jej pokój, a jej zachwyty i radość były drogie Michałowi. Gdy ją widział wśród mnogości kwiatów, jego zmysł artystyczny czuł się zadowolony i, kochając duszę Helusi, podziwiał jej piękność, od której aż jasno w oczach się robiło.

Tęsknił do jej widoku i drżał na myśl, że ją może pokochać miłością. Czy się to już nie stało? Czuł, że dla swego spokoju powinien był się z nią rozłą-

czyć. I była do celu tego droga krótka, a co najbardziej uczciwa. Należało tylko pójść do pani Gozdawiny i poprostu powiedzieć o grożącem niebezpieczeństwie. Ale jakaś bardzo silna, zacięta opozycja podniosła się w nim samym. „Nie, nie, ona stąd nie wyjedzie!“—wołał w nim jakiś głos potężny. Przeciwstawił mu uczucie honoru, nie pozwalające kochać narzeczonej przyjaciela. O, kochać ją było wolno, byleby tylko ona się tego nie domyśliła nigdy, byleby uczuć najdroższych przyjaciela nie obrazić! Miłość dla Helusi toby było cierpienie, toby był nowy dramat serdeczny! Więc uciekać od dramatu i rozłączyć się z nią? Nie, stokroć nie!

W duszy Michała rozpoczynała się rozterka. Czuł po niepokoju, który go ogarniał, że droga jego nie była zupełnie prosta. Wpadał w myśli i uczucia krańcowe, szukał, podpatrywał własne serce, chwytał się na gorącym uczynku wielkiej rozkoszy, wypływającej w obecności Helusi, to znowu niezadowolenia na myśl o Konradzie. Znał dobrze wieczną historję kobiety, wchodzącej między dwóch przyjaciół i podkopującej najfanatyczniejsze męskie przywiązania, ale łudził się jeszcze, że Helusię kocha jak brat, jak ojciec, bo nie pragnął nazwać jej swoją żoną. Tylko nikomu jej oddać nie chciał i drżał na myśl, że ona kiedyś prawdopodobnie Minowice opuści.

— Jaki ze mnie zazdrośnik! — myślał czasem, ale przecie bywają rodzice zazdrośni o dzieci i nie w innem uczuciu leży powód tradycyjnej nienawiści teściowych do zięciów i synowych.

To znowu na myśl mu przychodziło, że po gromie, który zdruzgotał jego życie, instynkt samozacho-

wawczy, owo ślepe przywiązanie do istnienia, właściwe ludziom normalnym, działało w nim na swoją rękę i sprawiało, że, jak deski zbawienia, trzymał się istoty, która go wybawiła od rozpaczy i powróciła mu równowagę.

Obserwował siebie, jakgdyby był widzem własnych uczuć i czynów, i jakgdyby żyły w nim dwie odmienne istoty, z których jedna śledziła drugą. Widział, że do Helusi ciągnęła go siła jakaś samorzutna, nieznająca ani rozumowania, ani osłabnięć. Gdy był zdala od niej spieszył się, czuł się rozgorączkowany, uświadamiał sobie tymczasowość danego zajęcia i uspokajał się wewnętrznie dopiero, gdy się znalazł przy niej. Wtedy czas mu płynął spokojnie i niepostrzeżenie, nieodmierzany przez wewnętrzną niecierpliwość i pulsujące skronie. Zdawało się, że życie płynie koło niego, a on patrzy uciszony, rozmarzony, jakby słodkim snem kołysany.

— Prawda, wujaszku, jak my się do siebie coraz bardziej przyzwyczajamy! — zauważyła raz Helusia.

— To źle, Helusiu! — rzekł gwałtownie.

Spojrzała zdziwiona żywością jego tonu.

— Źle? A mnie to tak raduje, że aż w szczęście mi się to zamienia!

Spostrzegł się i odparł, panując nad sobą.

— Dlatego źle, że leczenie się z przyzwyczajeń bywa czasem trudne.

— Po co się z tego leczyć? Ja tu zawsze połowę czasu spędzać będę! jeżeli mieszkać będę w Stroczynie...

— Zapewne będziesz, kiedyś przyrzekła.

— Mnie się to takie dziwne wydaje, żem przyrzekła! Prawie trudno mi w to uwierzyć, a jednak wiem, że tak jest!

— Ach, jakżeś ty to lekkomyślnie zrobiła!

— Musiałam, wujaszku, musiałam! Wujaszek sam czuje, że inaczej uczynić nie mogłam. Pan Konrad był taki nieszczęśliwy!... Poprostu się bałam o niego. Jakże było mu nie przyrzec? Ja zawsze sobie myślę, że skoro można całe życie doglądać chorych w szpitalu i być szczęśliwą, więc tem bardziej ratować jednego człowieka... jeszcze takiego, który mieszka tak blisko Minowic... Jedno tylko jest przykre. Pan Konrad pisze tak, jakgdybyśmy bardzo tęsknili do siebie oboje, a mnie to bardzo boli... Nie mogę mu napisać, że nie tęsknię do niego, boby się tam strasznie martwił na obczyźnie, a tymczasem ja jestem taka zła, że nie mogę oprzeć się szczęściu, choć on jest daleko i choć jemu tam jest źle!

— Nie opieraj się szczęściu, dziecko — rzekł Michał, który poczuł, że mu się serce ściskało wielkim smutkiem. — Dosyć ci dzień ma na swej nędzy, dosyć ci ma życie na swoich biedach... Trzeba korzystać ze szczęścia, dopóki serce jest do niego zdolne!

Poczuła ciężki smutek w słowach i głosie Michała i przypisała go nieukojonemu żalowi za zmarłą. Jego smutku nigdy znosić nie mogła i dla jej litościwego serca ten smutek był przyczyną owej wygórowanej czci i przywiązania, które żywiła względem wuja? I teraz cała jej dusza wybiegła ku potrzebie niesienia mu pociechy, a jednocześnie biedna dziewczyna poczuła nowy wyrzut sumienia, iż mogła być szczęśliwa i mówić

o szczęściu, gdy on był ciągle niepocieszony. Spojrzała wymownemi oczami, pełnemi współczucia, w których zabłysły łzy.

— Przepraszam, przepraszam — rzekła, składając ręce. — Ja właściwie szczęśliwa czuję się czasem tylko dlatego...

Urwała, zarumieniła się, nie była zdolna dokończyć swojej myśli. Lecz on myśl tę odgadł. Zrozumiał, że Helusia szczęśliwą się czuła swoją rolą pocieszycielki i ducha opiekuńczego Stenieczki.

— Bądź szczęśliwą — rzekł z uśmiechem. — Szczęście jest uczuciem, które się udziela. Przy twojem weselu i ja się rozweselam... szczęściem twojem się zarażam...

Uśmiech radości błysnął na ustach Helusi.

— Niech wuj całe moje szczęście zabierze dla siebie! — zawołała!

Był wzruszony, ale nie chciał tego okazać.

— Masz mię za rabusia cudzego dobra? — ozwał się żartobliwie.

Przy tych słowach jakieś uczucie niemiłe wstydu czy niepokoju ogarnęło jego serce. Było to uczucie bezwiedne, które rozmysł zaraz uciszył. Nie, on nie jest rabusiem moralnym, jakim się poczuł przez chwilę. On nie chciał nic zabrać nikomu i jeżeli serce jego spiskowało przeciw Konradowi, to z tych wewnętrznych spisków żaden czyn nigdy nie wyrośnie. A jednak... a jednak... dlaczego on nie ma odwagi postąpić szczerze, w całej jasności bezstronnego przekonania? Dlaczego nie może powiedzieć Helusi wyraźnie, że kobieta, która nie kocha, ma prawo zerwać, ma prawo czekać

na chwilę, w której jej serce przemówi. Czuł, że tego Helusi nie powie, bo nie jest bezstronny. Mówił sobie nieraz dawniej, że człowiek szczery sam z sobą może przejść przez życie, nie znalazłszy się nigdy w położeniu niejasnem, że może zawsze odróżnić prostą drogę wśród krętych, najbardziej powabnych. Niegdyś w rozmowie z Konradem przytoczył mu zdanie wyciągnięte z Pisma Świętego: *Opaszcie biodra wasze prawdą.* Utrzymywał, iż należało i można było tak opasać biodra swe prawdą, by żaden fałsz, żaden wykręt nie miał do nas przystępu. Teraz poczuł, że prawda z bioder jego opadła i że jej pochwycić napowrót nie był w stanie.

Nawet jego stosunek z Helusią powoli stawał się nieszczerym. Często, gdy byli z sobą, naturalność i swoboda opuszczała nagle Michała. Czuł, że w jego słowach były rzeczy niedomówione, że się bał przekroczyć jakiejś granicy, która powstawała między nimi, niewidzialna dotąd dla Helusi, a coraz bardziej powstrzymująca Michała na jakiejś pochyłości, którą czuł pod nogami i po której bał się stoczyć. Coraz rzadziej proponował *dzieciom* wspólne przechadzki i przejażdżki pomimo pragnienia przebywania z Helusią. Wymawiał się nawałem interesów, koniecznemi wyjazdami, nawet wspomniał o projekcie swoim wyrwania się na trzy tygodnie z domu dla odwiedzenia Konrada we Florencji. Wciąż, pomimo pragnienia prawdy, pomimo pogardy dla dwulicowości był innym w duszy, a innym w słowach i czynach. Nieraz stawiał siebie samego przed trybunałem własnego sądu i czuł, że nawet ów sąd, dotąd jasny i wyraźny, stawał się chwiejnym i wykrętnym,

a raczej osłabł tak w ostatnich czasach, że nie miał siły przemówić dobitniej. Sąd ów był pod wpływem najwymowniejszego z adwokatów, przed wywodami którego wszystko się korzy: pod wpływem namiętności. Coraz mocniej utwierdzała się ona w sercu Michała, coraz despotyczniej rozkazywała i coraz mocniej zaślepiała mu oczy na prawdę, która opadała z bioder jego w strzępach, a on tego nie czuł. Bliźniemu byłby umiał dać radę zdrową, prostą i silną, sam jednak wpadał coraz głębiej w stan nietrzeźwości, w którym wszystkie przedmioty widział w świetle własnego pragnienia. Niech się dzieje co chce, niech sklepienie niebieskie się zapada, ale Helusia nie opuści Minowic. Wiedział już teraz, że ją kocha całym szałem ognistej duszy. W pierwszych chwilach szału tego się wstydził wobec grobu, który miał zawierać jedyną jego miłość, wobec myśli o przyjacielu, którego zdradzał w swem sercu, potem szał swój postawił na planie pierwszym, a wstyd zmalał w jego oczach, wreszcie znikł zupełnie. Była na świecie jedna prawda, jedno dobro, jedna mądrość, to jego miłość dla Helusi. Wprawdzie on sobie w ten sposób stanu swej duszy nie określił, ale w myśl tego określenia postępował. Unikał przebywania sam na sam z Helusią, ale potrzebował czuć, że ona była blisko, potrzebował wiedzieć że do jednego z nią stołu zasiądzie, będzie widział jej oczy, te dwie jej gwiazdy, podnoszące się ku niemu z wyrazem zaufania, szczerości i przywiązania, będzie czuł dotknięcie jej ust na swej ręce i sam usta przyłoży do jej czoła lub do jej włosów. Uczyni to niby obojętnie a nawet przelotnie, nie z dłuższą pieszczotą

jak dawniej, ale to nie na przeżycie dnia całego wystarczy. Żył teraz, jak we śnie. Nie badał i nie krytykował, ale zbolała i zmęczona dusza jego przepełniła się naraz nieuświadomioną nadzieją i młodzieńczym zapałem. Miał na nowo lat dwadzieścia i kochał znowu, jak gdyby pierwszą, pełną złudzeń i czarów miłością. Zamykał oczy na to co będzie dalej, nie dochodził i nie badał, tylko jak lunatyk za promieniem księżyca, tak on szedł rozmarzony za miłością swoją. Teraz ugruntował się w przekonaniu, że bynajmniej nie zdradzał Konrada, bo uczucie wieje, gdzie chce i ktoby się mu usiłował oprzeć byłby podobnym człowiekowi, próbującemu postawić tamy Niagarze. Przestał się też wstydzić przed cieniami Stefanji i przyszedł do przekonania, że to ona obok niego postawiła istotę, która go do życia przywracała.

Nastała epoka, w której Michał, w zaraniu swej miłości, jak rozkochany student, śledził ślady stóp Helusi na piasku, zrywał kwiaty, które później, ukrywając się jak złodziej, rzucał na ławkę, na której siadywać z książką lubiła; chowając się za drzewami, spoglądał po rozejściu się wieczorem w oświetlone okno jej pokoju; czerwienił się i drżał na szelest jej kroków; w nocy pisywał sonety. Bynajmniej nie czuł się śmiesznym, tak jak nie czuje się śmiesznym chory majaczący w paroksyzmie gorączki. A dawało mu to tysiące rozkoszy. Ludzie przytomni nie wiedzą, ile się mieści czaru w przyłożeniu do ust przedmiotu, którego przed chwilą dotknęła ręka ukochana, ile rozkoszy dać może patrzenie w oświetlone okno i śledzenie chwili, w której światło zgaśnie, a przed wzrokiem wyobraźni ukaże się obraz

oczu, na które zapuszczają się senne powieki... Michał nie czuł, że szedł śladem utartym przez wszystkich sentymentalnych młokosów, przez pensyonarki z rozmarzonemi główkami!.. Krył się przed okiem otaczających, ale się przed samym sobą nie wstydził...

Los, który lubi przypatrywać się dramatom w sercach ludzkich i który dla miłości z jakiegobądź powodu zakazanych ma szczególniejsze względy, a zatem lubuje się w ułatwianiu im rozkwitu, los ten zsyłał co chwila Michałowi sposobność zbliżania się do ukochanej. Domowe interesa, wychowanie Stenieczki, miłosierne uczynki Helusi, jej artystyczna gra na fortepianie, wszystko to było powodem wspólnego przebywania, krótszych i dłuższych rozmów, które dla Michała stawały się pełnemi wrażeń, pełnemi wzruszeń, pełnemi niewypowiedzianego i wyjątkowego interesu. Przez ręce Helusi płynęły dobrodziejstwa, które serce jego odczuwało jako rozkosz. Zdawało mu się, że teraz dopiero kocha ludzi, że teraz dopiero jest bratem i bliźnim wszystkich. Nawet natura wydawała mu się nową i inną. Odkrywał w niej tysiące uroków, których dawniej nie widział. Miała teraz dla niego wymowę i duszę inną. Kwiaty, które zrywał, mchy po których deptał, las, który mu nad głową szumiał, chmury biegnące po niebie, to wszystko co mu się jeszcze tak niedawno wydawało śmiertelnie smutnem, teraz szeptało mu o jakiejś jasnej przyszłości i zalewało mu serce nadzieją. Żył pełną piersią, stał u progu życia i szedł naprzód raźnym i elastycznym krokiem pierwszej młodości.

Helusia, z intuicją kobiecą, dostrzegła, że zaszła zmiana w usposobieniu i postępowaniu wuja. Widziała

w nim jakiś nadmiar życia strzelający z jego oczu, z jego ruchów, z jego słów, to znowu widziała go tkliwym i rozrzewnionym, miękkim i słodkim, słowem innym niż bywał dawniej. Brała to za wyleczenie się z tęsknoty za zmarłą i w pacierzu dziękowała za to Bogu, że jej pozwolił być potrosze narzędziem przy tym powrocie do zdrowia i życia.

Nie mówili teraz o Konradzie; nie mówił o nim nikt. Michał przebiegał pobieżnie jego listy, odpowiadał na nie krótko, mówiąc nieszczerze o przybyciu do Florencji, który to projekt upadł był zupełnie w jego umyśle. Nieszczerość tę popełniał, jak człowiek chcący się pozbyć natrętnika, jak człowiek biegnący ku nowemu życiu, któremu w drogę wchodzi przeszkoda. I przyjaciel jest wtedy przeszkodą. Gdy się idzie na schadzkę ze szczęściem, to się udaje, że się nie widzi wyciągniętych ku sobie ramion przyjacielskich. Michał doznał był też w tych czasach wielkiego rozczarowania z powodu niejasnego postępku Konrada względem siebie. Ten ostatni wyjeżdżając prosił go, by się nie wdawał wcale w sprawy Stroczyna, dostał był bowiem, jak mówił, doskonałego rządcę, człowieka, któremu ufał najzupełniej, ale który był szalenie obraźliwy i nie znosił kontroli osób trzecich. Zgadzał się na dyrektywę samego właściciela, ale na niczyją inną. Michał uwierzył i zastosował się do woli Konrada, tymczasem dowiedział się, że Konrad dał się złapać w zastawione sidła Moszka, który kupił od niego kawał lasu wraz z ziemią, przeznaczając ją na kolonizację. Wolno było niezawodnie Konradowi czynić co chciał ze swojem mieniem, ale Michał poczuł, że tu leżał wykręt. Przy-

jacielowi znana była jego potępiająca, surowa krytyka względem tych, którzy sprzedawali Żydom ziemię. W historyjce o obraźliwym rządcy tkwiła po prostu chęć uniknięcia uwag i nagany Michała, który poczuł gniew na Konrada i jego szacunek względem niego, już i tak osłabły, obniżył się jeszcze. Podczas jego choroby bronił go przed Moszkiem, a teraz szedł on dobrowolnie w siatkę tego pająka choć się wstydził i ukrywał.

Helusia zawsze przejęta litością dla oddalonego i stęsknionego pisała bruljon listu, poprawiając i przekreślając, by zostały tylko wyrażenia najbardziej zdolne uspokoić Konrada a nie obrazić go niczem. Po napisaniu wreszcie listu czuła, że jej ciężar spadał z ramion na całe dwa tygodnie i szła spokojna, uśmiechnięta i zadowolona ku zajęciom swoim, ku Stenieczce, którą wytrwale i z rozkoszą uczyła, ku ubogim, chorym i protegowanym, których była opatrznością... Miała pracy bez miary, a dni wypełnione po brzegi.

Z pomocą kalekiego od dzieciństwa syna ekonoma, zaprowadziła dla dzieci wiejskich szkółkę, która istniała pod nazwą ochronki. Straszono Helusię, że lada dzień może za nauczanie tajemne być wywiezioną do której z oddalonych gubernij rosyjskich, ale męczeństwo dla religji i ojczyzny nie odstraszało bynajmniej dziewczyny, a raczej jej się podobało. Nie wiedziała, że ją bezpieczną czyniły rozmaite posyłki dla „strażników“ i innych urzędników, pochodzące ze śpichlerza w Minowicach. Jechały worki z pszenicą i żytem, i to było najlepszą rękojmią spokoju i bezpieczeństwa. Rewizje, w ochronce czynione z hałasem, nie wykrywały żadnego

bezprawia, a widziano jednego z urzędników zapychającego za piec znalezione książki.

Jak ćmy, do jasnej świecy, tak się do Helusi zbiegały różne biedy i kalectwa. Staruszki i starcy schodzili się, „jak do matki". Miała protegowanych bez liku, a każdy odchodził od niej, jeżeli nie z datkiem, to z ukojeniem z powodu okazanego tak głębokiego współczucia, iż się wydawać mogło, że nieszczęście bliźniego dotykało bezpośrednio dziewczynę.

Michał podziwiał ją, wygrzewał się w promieniach tej gorącej duszy, posiadającej takie skarby miłości, że im więcej jej rozdawała wkoło siebie, tem płomień jej zdawał się być żywszym. Dni wypełniały mu się rozkoszą przebywania z Helusią, tęsknotą do jej obecności i roztargnionem zajęciem się sprawami majątkowemi, które załatwiał niechętnie, gorączkowo, jakby z przymusu, ulegając konieczności, z uczuciem, że tracił drogi czas, że go za drzwiami kancelarji czeka coś ważnego, coś od czego życie zależy. Pracowitość, którą dotąd się odznaczał, usnęła, schowawszy głowę pod skrzydła miłości. Spełniał dawniej posługi obywatelskie z zapałem i sumiennością. Teraz stały mu się ciężarem. Na radach familijnych i sądach polubownych czuł się nieszczęśliwym i moralne łańcuchy, trzymające go zdala od domu, odczuwał jako więzień.

Tak upływały tygodnie i miesiące, i począł się zbliżać termin powrotu Konrada. Helusia jak niegdyś mówiła o zostaniu siostrą miłosierdzia, marzyła o założeniu przytułków, szpitalów, ochronek, tak teraz myślała o staniu się dla Konrada opatrznością i ratunkiem, chciała przytem nie zaniedbać swych zamiarów

pierwotnych i namówić Konrada do wzniesienia jakiej dobroczynnej instytucji, może domu nauki bezpłatnej rzemiosł dla chłopców i dziewcząt wiejskich, którzyby mogli korzystać z nauki w zimie, w lecie zaś dom ten byłby ochronką, gdzieby matki idące w pole na robotę mogły zostawiać małe dzieci. Dobroczynna marzycielka widziała przyszłość swoją tylko jako rozdawnictwo siebie drugim i życie dla drugich.

Pewnego razu Michał znalazł na stole w pokoju szkolnym sporządzony na papierze kratkowanym plan domu bardzo szczegółowo i starannie wypracowany. Dostrzegł zaraz, że był zrobiony wadliwie, ponieważ wymagania kominów i palenisk nie były w nim uwzględnione, ale rozkład był widocznie gruntownie obmyślony i przeznaczenie pokoi określone. Oczy zdziwionego tem Michała biegały po następujących oznaczeniach: nauka rzemiosł, szwalnia, pokój kierowniczki; zrozumiał odrazu o co chodziło, a z łatwością też odgadł autorkę planu. Schował rysunek do kieszeni z czcią i rozrzewnieniem i zarazem z pragnieniem zadowolenia marzeń Helusi. Możeby mógł wystawić dom podług jej planu, zmieniwszy tylko niepraktyczności... I w wyobraźni ujrzał Helusię otoczoną gromadą skromnie ubranych dzieci, jakie kilka razy w życiu widywał w szkółkach i ochronkach. Jasna postać dziewczyny zdawała się zlewać promienie dobroczynności i miłosierdzia na główki malców, którzy ją otaczali...

— Skonfiskowałem pewien plan, który znalazłem w pokoju szkolnym, — rzekł do Helusi. — Domyślam się osoby budowniczego, który zupełnie zapomniał, że

w naszym klimacie domy muszą być opalone. Trzeba w planie zaprowadzić pewne ulepszenia.

Helusia zmieszała się.

— Ach! wujaszek znalazł ten plan? Ja myślę, że taki dom mógłby być pożyteczny na wsi, że nauka tkactwa, bednarstwa, koszykarstwa...

— I gdzież to ten dom chcesz postawić, Helusiu?

— Nie wiem. Myślałam, że może pan Konrad... że może w Stroczynie...

Michałowi wydało się, że go jakiś cios ugodził w samo serce. Wiedział przecie, że Helusia uważała się za narzeczoną, ale myśl, że układa w wyobraźni przyszłość swoją, związaną z przyszłością Konrada wydała mu się czemś okrutnem bez granic. Chmura przebiegła po jego czole, uczynił nadludzki wysiłek, by nie krzyknąć z bólu.

— Czy wujaszek sądzi, że kobieta zamężna nie ma prawa?... Ja myślę, że można pogodzić te dwie rzeczy... Tak się boję, czy potrafię spełnić nadzieje pana Konrada, czy go uleczę z pesymizmu... Może i dla niego dobreby było zajęcie się jakieś żywsze ludem, który go otacza... Ja też potrzebuję coś robić... Nie będę miała Stenieczki...

— Będziesz miała swoje dzieci, Helusiu!

Słowa te przedarły się przez gardło Michała z jakimś głuchym jękiem. Sam się przestraszył swego głosu i zaciął wargi. Helusia spojrzała na niego z przerażeniem; po chwili jednak przyszły jej na myśl szczegóły urodzenia się Stenieczki, śmierć Stefanji... Wzięła rękę wuja i poniosła ją do ust, jak to czynić była zwy-

kła. Lecz on rękę z jej dłoni wyrwał i wyszedł spiesznie, zostawiając ją w osłupieniu.

Gdy się znalazł w swoim pokoju, myśl, że się źle obszedł z Helusią, że ją obraził, zalała żalem i roztkliwieniem wielką gorycz i ból, który go chwycił nagle za gardło przy myśli o małżeństwie jej z Konradem. Radby był rzucić się do jej kolan, przepraszać ją i nogi jej całować. Ale nie miał prawa nic ze swych uczuć pokazać nikomu, a najmniej Helusi. I rozkosze swoje i udrękę musiał odczuwać samotnie i całą swą męską siłę wytężać na to, by nikt w jego duszy czytać nie mógł.

Były chwile, w których w siebie wmawiał, że mu jedynie o szczęście Helusi chodzi, że i dla niego ono wystarczy i da mu smutne może, ale spokojne zadowolenie, potem jednak zaraz cierpienie przy myśli o oddaniu jej innemu ostrzegało go, że bohaterstwo, przy którem się oddaje życie w czasie szlachetnego porywu, jest drobnostką wobec cichego bohaterstwa, w którem chodzi o zwalczanie własnego egoizmu ciągle i zawsze i o noszenie na twarzy spokoju i swobody, gdy serce jest rozdarte.

Myślał jednak z pewną pociechą, że będzie miał Helusię blisko, i że stan obecny stanie się stanem ciągłym. Nie będzie jej posiadał, ale jej przynajmniej nie straci, nie będzie miał jej miłości, ale mu zostanie jej przywiązanie, widok jej ukochanych rysów, a może mu się nieraz uda oddać jej jaką przysługę, być jej doradcą, być dla niej puklerzem od ciosów życiowych.

W innych chwilach znowu ogarniała go rozpacz. Czuł, że przyglądanie się uczcie spożywanej przez in-

nego, gdy się umiera z głodu, przechodzi siły ludzkie i by się na ucztującego nie rzucić lepiej jest uciec daleko. Możeby mu było spokojniej zdala od Helusi. Nie potrzebowałby przynajmniej udawać ciągle i zawsze. Tęskniłby, aleby się tak nie szarpał wewnętrznie.

Jego obejście z Helusią było nieszczere i nienaturalne. Im bardziej pragnął ukryć miłość swoją tem się stawał sztywniejszym, twardszym i dumniejszym. Gdy Helusia przy nim posępniała i błagalne, smutne oczy ku niemu podnosiła, spływało na niego rozrzewnienie, z którem uciekał, jak tchórz, bo się bał samego siebie.

Konrad pisywał teraz listy radosne. Zostawało już tylko dwa miesiące, które chciał spędzić w Warszawie, by miał jedynie krok do uczynienia, gdy przyjdzie dzień oznaczony.

Pani Gozdawina wzięła Helusię na poufną rozmowę.

— Moje dziecko — rzekła jej — myślałam długo nad tem, czy jest moim obowiązkiem otworzyć ci oczy na różne prawdy życiowe. Przyszłam do przekonania, że obowiązek ten mam i że muszę go wypełnić. Czy wiesz, Helusiu, dla czego Pan Bóg chce, żeby małżeństwa łączyły się z miłości?

— Wiem babciu, wszak Pan Bóg chce, żeby miłość była podstawą wszelkich związków ludzkich.

— Tak. Ale przy związku z obcym ci dotąd człowiekiem, przy związku najbliższym, jaki jest na świecie, potrzeba miłości innej, miłości wyjątkowej, takiej, o jakiej czytałaś w powieściach, takiej, jaką miał Michał dla Steni, a ja dla ojca Steni. Widzisz Helusiu... ja dotąd nie powiedziałam ci tego i nie powiedziałabym

nigdy, gdybym cię nie chciała obronić przed tobą samą, przed twoją przeczuloną niepraktycznością. Ja poszłam za twojego dziadka, a mego pierwszego męża z takich prawie pobudek, z jakich ty chcesz iść za Konrada. Cierpiał wiele, był wygnańcem, kochał mnie bardzo... Ja miałam dla niego sympatję, miałam szacunek i myślałam, że to w małżeństwie wystarcza... Twój dziadek był człowiekiem najzacniejszym, ale ja byłam z nim nieszczęśliwą, bom go nie kochała ową miłością wyjątkową, z którą do małżeństwa przystępować należy.

— A on czy był szczęśliwym? — zapytała Helusia.

— Tak, moje dziecko, był szczęśliwy właśnie dla tego, że mię kochał, ja zaś spełniłam swój obowiązek, bom mu nie powiedziała nigdy, iż mię unieszczęśliwił.

— A więc wszystko było dobrze i do dziś dnia babci pewno miło jest pomyśleć, że zadanie swoje spełniła.

— Zapewne — odparła pani Gozdawina, oblana rumieńcem na myśl, że o swym pierwszym mężu nie myślała nigdy, chyba wtedy, gdy go porównywała z drugim na korzyść tego ostatniego — zapewne, ale wiesz Helusiu, ja grzeszyłam i nie byłam dobra, bo moje serce bywało nieraz pełne goryczy, rozpaczy, wstrętu. Widzisz... małżeństwo jest zanadto bliskim związkiem i niepodobny tu jest spokój i obojętność... rozumiesz, że z obowiązku kochać nie można...

— A czy nie można kochać swego obowiązku? — wtrąciła nieśmiało Helusia.

— Helusiu, Helusiu! Codziennie mówisz „nie wódź nas na pokuszenie“, a nie rozumiesz, że grzechem jest samą siebie na pokuszenie wystawiać! Tego Pan Bóg od nikogo nie żąda! Po co iść za człowieka, którego się nie kocha miłością najwyższą, a wystawiać własną duszę na gorycz i żal? Można kochać obowiązek, gdy chodzi o pracę, o akuratność, o porządek, ale jakże kochać obowiązek, gdy nim jest miłość dla męża, do którego serce nas nie ciągnie, do którego nie ciągnie nas... upodobanie. Trzeba mieć bardzo silne upodobanie, Helusiu. Widzisz, moje dziecko, jest taki zwyczaj, o którym wiesz, że mąż i żona nie rozłączają się nigdy, że stoją w jednym pokoju... Żona widzi, jak się mąż rozbiera... Trzeba bardzo lubić, trzeba mieć upodobanie do człowieka, który jest takim ciągłym towarzyszem, takim nieodstępnym drugim ja. Czy ty to rozumiesz, moje dziecko?

— Ja myślę, że tylko trzeba brać każdą rzecz ze stanowiska właściwego. Pewno byłoby przyjemniej mieć własny pokój, ale człowiek ubogi, zakładający rodzinę wprowadza żonę do tej jednej izby, którą posiada i którą ona z nim odtąd dzieli... Ten podział z konieczności u ludzi ubogich stał się u bogatszych zwyczajem, jednym z tych zwyczajów, które od ludu przechodzą do klas zamożniejszych. Dla zakonnicy cela jest symbolem jej samotnego życia, dla żony to wspólne mieszkanie jest symbolem jej oddania się zupełnego szczęściu i interesom męża... Ja rozumiem, babciu, że po przysiędze złożonej przed ołtarzem kobieta staje się wyższą nad takie względy jak niemiłe uczucie wstydu na widok zdjętego surduta czy fraka.

Wszak chłopi pokazują się nam boso i w koszuli, a jednak ten widok wydaje się nam naturalnym. Siostra miłosierdzia nie dziwi się wcale, że chory, którego pielęgnuje, jest zaledwo przyodziany.

— To zupełnie co innego! Wierzaj mi, Helusiu, że to wszystko, co powiedziałaś, jest tylko dziecinną przesadą. Zdaje mi się, że sobie gotujesz nieszczęście na całe życie. Czy ty kochasz Konrada?

— Tak jak bliźniego, jak człowieka nieszczęśliwego, który się boi powrotu do nieprzytomności i którego ja odzwyczaję od patrzenia w tę przepaść, stojącą przed nim otworem.

Pani Gozdawina załamała ręce.

— Boże! — zawołała — skąd ci się bierze ta szalona egzaltacja. Ty, biedne dziecko, mówisz, jak istota pozbawiona rozumu! Bo ty idziesz w przepaść, gubisz swoję szczęście, swoją przyszłość całą. Pożałujesz gorzko awanturniczego czynu swego i przygotujesz napewno sobie i innym grzech.

Helusia spojrzała pełna zdziwienia.

— Tak, Helusiu! Raz w życiu kobieta kochać musi! Ty jesteś piękna i jeszcze może nieraz miłość obudzisz! Za późno znajdzie się ten, którego miłość obejmie twoje serce płomieniem wzajemnym! Kochać będziesz w zgryzocie i upokorzeniu, w kłamstwie i grzechu!

— Babciu!—zawołała Helusia z wymówką w głosie.

— Teraz to ci się wydaje nieprawdopodobnem! Nie rozumiesz, że jest jeden tylko puklerz przeciwko miłości zakazanej, to miłość godziwa i uświęcona! A ty, szalone dziecko, chcesz piersi swoje uczynić bezbronnemi!

Oczy Helusi podniosły się na babkę z jakąś trwogą i bólem.

— Jak ja babcię martwię! — zawołała — Nie będę mogła zaznać żadnego szczęścia, jeżeli babcia...

— Nie o mnie tu chodzi, moja Helusiu!... Czy powiedziałaś kiedy wujowi Michałowi, z jakich pobudek idziesz zamąż?

— Mówiliśmy o tem.

— Pomów z nim raz jeszcze! Moja Helusiu, przyrzeknij mi, że z nim pomówisz!

— Nie wiem, czy się ośmielę... nie wiem, czy znajdę sposobność.

— A więc ja ci tę sposobność przygotuję.

Nie zwlekając ani chwili pani Gozdawina poszła szukać zięcia.

— Proszę cię — rzekła mu — dopomóż mi do spełnienia obowiązku względem Helusi. Przyznała mi dziś, że Konrada kocha tylko jako nieszczęśliwego, potrzebującego jej poświęcenia się, jako moralnego kalekę...

— Cóż więc mam zrobić?

— Spróbuj ją odwieść od zamiaru tego małżeństwa!

— Nie, mamo, tego uczynić nie mogę!

— Nie możesz z nią pomówić?

— Nie mogę, niech mi mama wierzy, że nie mogę!

— Dlaczego? Masz prawo przecie powiedzieć jej swoje zdanie!

— Tak, ale względem narzeczonej Konrada?...

— Ja ciebie nie rozumiem, Michasiu! Na twojem miejscu i jej i jemu powiedziałabym, co myślę, całą prawdę, wszystko!

— Wiem, że mamaby to uczyniła, ale ja jestem w położeniu fałszywem...

— Niema położeń fałszywych!...

Urwała i zmieszała się. Pomyślała o porywach zazdrości, które kryła przed Michałem, i Helusią i zdanie o nieistnieniu położeń fałszywych wydało jej się fałszywem.

— Może to wszystko powiem Konradowi — rzekł Michał i mówiąc czuł, że Konradowi też nic nie powie, bo własne uczucie odejmowało mu do tego prawo.

— Chciałam otworzyć oczy Helusi, ale ta dziewczyna ma zupełnie przewrócone w głowie. Marzą jej się poświęcenia, a małżeństwo wygląda w jej oczach jak jakaś ofiara pełna zasługi! Nigdy nie lubiłam panien, dla których zamążpójście jest marzeniem pełnem koronek, jedwabiów, podróży, zbytku i używania, ale nie wiem, czy takie Helusie nie są jeszcze niebezpieczniejszym gatunkiem.

— To nie gatunek, mamo, to wyjątek!

— I teraz już jej nikt od tego głupiego zamiaru nie odwiedzie! Mnie nie wierzy, a ty, któremu wierzy, masz jakieś skrupuły, których nie pojmuję.

Czuł, że pani Gozdawina miała słuszność, że wzgląd na szczęście Helusi powinien był stanąć przed wszystkiemi innemi, ale nie miał odwagi wziąć na siebie roli Judasza. Nie miał prawa mówić przeciwko Konradowi, bo nie mógł zaręczyć, czy miałby siłę nie skorzystać samolubnie z porażki przyjaciela. Wiedział, że milczenie nie było z jego strony szlachetnością, ale tchórzostwem i słabością, a jednak nie mógł się zdobyć na zwalczenie buntu, który się w jego duszy podnosił,

ile razy myślał o odwodzeniu Helusi od postanowienia. Życie jego było teraz ciągłą walką i szamotaniem się wewnętrznem, przecinanem chwilami jasnemi, które daje miłość nawet niewzajemna i beznadziejna. Udawało mu się na mgnienie oka zapomnieć, że Konrad czekał w Warszawie zaczajony na swoją zdobycz, jak kot gotowy do skoku, wyglądający tylko przeznaczonej minuty. Nadeszła nareszcie. Oczekiwano jej, ale jej się dnia tego nie spodziewano, gdyż Konrad jej nie zapowiedział. Michał, czujący niepohamowane pragnienie korzystania z ostatnich dni wolności Helusi zaproponował jej i Stenieczce przechadzkę. Obie były tak uszczęśliwione, jakgdyby jakaś niełaska ciążąca na nich zmieniła się nagle w słodką łaskawość. Patrzały w oczy Michała, usiłując dostroić się do jego usposobienia, bojąc się spłoszyć chwilkę złotą. On był smutny, ale spokojny, jak człowiek zdecydowany na spełnienie ofiary. Że poprzedniego dnia koń spłoszony poniósłszy go obtarł mu nogę o płot, więc kulał trochę, co dało myśl Stenieczce wzięcia jego ramienia niby dla podpory. Helusia zbliżyła się nieśmiało do drugiego, które on jej podał z uśmiechem. Szli tak milcząc, a on myślał, że tak we troje złączeni mogli byli przejść przez życie...

Była późna jesień. Droga była sucha, lecz na polach i łąkach błyszczała rosa, snuły się pajęczyny i mieniły się tęczowo w słońcu.

— Ktoś do nas jedzie — rzekła Stenieczka.

W istocie w perspektywie wysadzanej drogi wyrastał coraz wyraźniej w tumanach kurzu dążący szybko wózek. Michał poczuł wielki ból w sercu. Wydało mu się, że ku niemu, jak kula mająca mu przeszyć piersi,

dążyło jego nieszczęście. Stanął, ramiona opadły mu wzdłuż ciała, dziewczęta spojrzały ku niemu przerażone.

— Konrad! — szepnęły jego usta.

Helusia zmieszała się bardzo. Doznała przykrości, jaką się czuje, gdy ku nam dąży ktoś, kto powinien nam być bliski i miły, a kto rzeczywiście miłości naszej nie posiada. Ramię jej zadrżało pod ramieniem Michała. Myśli jej rozpierzchły się i tylko nawpół przytomna usiłowała być spokojną i naturalną. Jak ona przywita Konrada, co mu powie?

Tymczasem wózek był blisko, zatrzymał się, a Konrad, wyskoczywszy z niego, biegł ku przyjacielowi i narzeczonej. Rzucił się najpierw w objęcia Michała.

— Michasiu — zawołał — twoje serce przeczuło, że ja jestem blisko. Toś ty wyprowadził pannę Helenę na moje spotkanie! Rzucił się do rąk Helusi, które okrywał pocałunkami. Ona blada i sztywna patrzała na tego człowieka, którego usta przyciskały się do jej rąk. Wydało jej się, że to był jakiś zbój, jakiś intruz, który nie miał prawa...

— Nareszcie, panno Heleno, nareszcie! — mówił namiętnie Konrad. — To nie było półtora roku, to było półtora wieku! Ale pani jest blada! Czy pani chora?

— Nie — odpowiedziała Helusia — tylko się nie spodziewałam...

— Pani nie wyliczyła sobie tych osiemnastu miesięcy, tak jak ja, co do dnia, co do godziny! Co za rozkosz pomyśleć, że się już nie rozłączymy! Stenieczka! Jak się masz! Jak ona urosła! Będzie wysoka! Może i dobrze zrobiła pani Gozdawina, że mię z raju wypędziła, inaczej nie miałbym rozkoszy powrotu do niego.

O ile na widok Konrada Helusia czuła, że to obcy, że to daleki, o tyle Michał zapomniał na chwilę, że to współzawodnik i serce jego zabiło dawną przyjaźnią.

— Widzę, żeś zdrów, Bogu dzięki — ozwał się— dobrze jest zobaczyć się po długiem niewidzeniu.

Może do życzliwych uczuć Michała przyczynił się widok martwoty Helusi. Konrad w chwili powrotu do wszystkiego, co kochał, mógł nie widzieć jej sztywności i tego, że zdawała się cofać, ile razy się zbliżał, ale Michał widział dobrze i zdał sobie ze wszystkiego sprawę.

Szli teraz we czworo. Konrad opowiadał o swej tęsknocie, o wyczekiwaniu na listy, o wybieganiu naprzeciwko listonosza, o jakiejś Włoszce służącej, która odgadła, że był zakochany i odbierał co dwa tygodnie list od narzeczonej. Michał czuł się nieszczęśliwy i zraniony. Pragnął teraz uciec od widoku wesołości i rozradowania Konrada.

— Idźcie we troje do domu — ozwał się — ja siądę na twój wózek. Noga mię trochę boli... o, to nic, drobiazg!... Idźcie, ja wolę jechać. Helusia uczyniła ruch, jakgdyby chciała iść za nim, lecz zmieniła postanowienie, zobaczywszy, że na wózku Konrada nie było miejsca na cztery osoby. Stenieczka nie słyszała słów Michała. Była zamyślona i jakieś przerażenie malowało się coraz wyraźniej w jej oczach. Ani wiedziała, że Michał na wózku ku domowi pojechał. Konrad podał rękę Helusi i mówił dalej w tym tonie radosnego upojenia, w które go wprawił powrót do Minowic. Czynił wymówki za małomówność i obojętność jej listów, utrzymywał, że teraz będzie to musiała wynagro-

dzić ciągłem przebywaniem z nim i rozmową. Tak był stęskniony do jej głosu! Na zadatek szczęścia, które mu ona wniesie do Stroczyna, musi już teraz być mu towarzyszką nieodstępną. Dosyć tęsknił, dosyć się na obczyźnie nadręczył, teraz musi za to otrzymać nagrodę. Helusia milczała. Jakby zawstydzona, oczy spuszczała ku ziemi i czuła, że im Konrad przemawiał goręcej, tem grubsza powłoka lodu zdawała się opasywać jej serce. Cierpiała od tego zimna, które mroziło jej uczucia, i czuła ochotę wyrwania ręki z pod ramienia Konrada. Nad tą ochotą panowała z trudem, idąc szybko, jakby od czegoś strasznego ujść chciała.

Oboje żadnej uwagi nie zwracali na dziecko. Stenieczka szła za nimi, słuchając słów Konrada i w swej dziecinnej główce szukając ich wytłomaczenia. Była rozwinięta, z natury zdolna i przez ciągłe przebywanie ze starszymi nad wiek rozsądna.

Przyszedłszy do domu Helusia pobiegła do swego pokoju pod pozorem zdjęcia kapelusza. Stenieczka znalazła się tam przy niej i najniespodziewaniej z głośnym płaczem rzuciła się na jej szyję. Helusia porwała ją na ręce, usiadła, wziąwszy na kolana, przytuliła jej twarz do swojej twarzy, na której poczuła gorące łzy swej wychowanki.

— Co ci jest, Stenieczko, co ci się stało? — pytała niespokojnie. — Dziecko szlochało głośno.

— Powiedz mi, co ci jest! Przecież mi zawsze wszystko mówisz! Wśród łkania Stenieczka krzyknęła:

— Ja nie chcę, żebyś ty była w Stroczynie! Ja nie chcę, żebyś ty się ożeniła z panem Konradem.

Helusia pieściła i całowała dziewczynkę.

— Będę tak blisko ciebie — mówiła — będę tu przyjeżdżać i ty będziesz przyjeżdżała do mnie! Będziemy się zawsze tak kochały jak dotąd...

— Ale nie będziesz ciągle ze mną i z tatusiem i z babcią! Nie będziesz już nasza!

— Będę wasza! Całe życie, zawsze będę wasza. Ale widzisz... tatuś pana Konrada bardzo kocha... kocha, jak brata... chce, żeby pan Konrad nie był samotny, żeby miał kogoś przy sobie. My tu jesteśmy aż czworo, którzy się kochamy, więc tatuś kontent bardzo, że może mnie oddać panu Konradowi, że się może z nim podzielić...

Stenieczka kręciła główką, płacząc ciągle.

— Nie można się tak dzielić — mówiła łkając.— Na sądzie Salomona matka nie dała przeciąć dziecka i ja nie chcę ani kawałeczka ciebie dać panu Konradowi! Tatuś chce oddać, ale czy i ty chcesz tam pójść?

— Muszę. Ty wiesz, Stenieczko, że trzeba tyle dobrego robić, ile tylko można, a to będzie dobry uczynek.

Pani Gozdawina nie chciała odstąpić od wyprawy.

— Poco wyprawa? —mówił Konrad. — Poco sobie temi nędznemi drobiazgami zatruwać chwile przedślubne? Panna Helena ma tyle białych sukien... niech w jednej z nich ślub weźmie...

— Ja tu jestem od tego, żeby się stało jak najmniej szaleństw i nierozsądków. Musi być wyprawa tak jak u wszystkich panien, które nie są zupełnemi sierotami i o których jest komu pomyśleć. Helusia pojedzie ze mną do Warszawy...

— Ja babciu? — zawołała Helusia — babcia wie, jak mi jest wszystko jedno, jakim fasonem są skrajane moje suknie i bielizna. Napiszmy poprostu do kupców... Są sklepy wysyłające całe wyprawy.

— Ale tu chodzi o przymierzanie, bez którego żadna suknia udać się nie może.

Helusia wiedziała, że postanowienia babki były niezachwiane, umilkła więc, choć pragnęła nie opuszczać Minowic. Konrad był w rozpaczy.

— Panna Helena odzwyczaiła się ode mnie—mówił —wszyscy się tu ode mnie odzwyczaili... takbym pragnął w ciszy i skupieniu wiejskiem przyjrzeć się wszystkim i sobie samemu... Tyle jeszcze między mną a panną Heleną niedomówionego... Tyle miałbym do powiedzenia...

— A któż mówić zabrania? — zapytała z niejaką ironją pani Gozdawina. — Doprawdy epokę naszą ludzie wyobrażają sobie jako triumf materjalizmu, a ja widzę w was młodych jakąś dziwną egzaltację. Helusia... pan chyba widzi, że ona wcale po ziemi nie chodzi, a pan, który powinienby przecie być zdrową radą dla niej, pan też czuje się zbłąkanym.

— Nie chcę bynajmniej pozować na innego, niż jestem — odparł Konrad — pani wie dobrze, że jestem człowiekiem nerwowym, potrzebującym pewnej atmosfery moralnej, by oddychać swobodnie, pewnego nastroju, by samego siebie odnaleźć; a pani chce mię przeprowadzić przez czyściec mieszkania hotelowego, ruchu i hałasu wielkiego miasta, latania po sklepach, pracowniach sukien...

— Nie rozumiem zupełnie takiego szukania nastroju i uciekania koniecznie do lasu, gdy ma się coś do

powiedzenia narzeczonej... Wogóle jest w tem wszystkiem coś niezdrowego, czego pojąć nie mogę. Chłopski rozum ja za was mieć muszę. Pojutrze wyjedziemy z Helusią do Warszawy. Tak jak przeciętna panna będzie ona miała srebro, bieliznę, pościel, meble do swego pokoju, porcelanę... będzie przymierzać suknie i okrycia...

— Będę wszystko to robiła, co babcia zechce — rzekła Helusia, która dostrzegła w babce niezwykłe wzburzenie.

Pani Gozdawina poczuła, że ją gniew uniósł trochę za daleko. Wyszła, biorąc za pretekst, że miała mnóstwo rzeczy do załatwienia przed wyjazdem, a czasu tak mało!

— Jak to dobrze, że człowiek nie żeni się jednocześnie z wnuczką i z babką — rzekł Konrad po jej odejściu. — Pani Gozdawina mię nie lubi, a ja jej za to stokrotnie odpłacam. Wyrządziła mi ona ciężką krzywdę tem półtorarocznem oddaleniem. Utrzymuje, że się czuję zbłąkanym i ma słuszność. Jestem zbłąkanym i nie umiem znaleźć drogi właściwej. Nie wiem doprawdy, czy to wy tutaj odmieniliście się, czy może w tej długiej tęsknocie wyidealizowałem sobie was i wyobraziłem innymi, niż jesteście. Michaś wymyka mi się, ile razy chcę dotrzeć do jego myśli szczerych; wiecznie ma jakieś interesy, jakieś wyjazdy, jakieś pilne sprawy. Dawniej czułem się z nim swobodnym, wiedziałem, że on jest moim, teraz została łupina tego wszystkiego, a ja rdzenia nie czuję! Czy to ja się mylę? Czy mnie się oczy zamknęły na to, co innyby zobaczył? Nie, ja się nie mylę! W tym człowieku się coś zmieniło! Po śmierci żony jego

rozpacz pochłonęła go całego, zamknął się w niej, milczał, nie wiedział o mojej obecności, a pomimo to ja czułem, że przyjaźń w nim śpi, ale nie umarła. Teraz on mówi, jest dla mnie uprzedzający, a od tych względów wieje chłodem, komedją, pozą! Helusiu, powiedz mi, że ja się mylę! Czy ja może znowu tracę świadomość tego, co mnie otacza? Milczałem dotąd, szukałem was, chciałem was odnaleźć, tymczasem pani Gozdawina wymyśliła ten wyjazd, który mię zbłąka do reszty. Takie niezrównoważone istoty, jak ja, nie mogą znosić położeń i uczuć niewyraźnych, a ja czuję w Michasiu i w całym naszym stosunku coś niewyraźnego? Czy on ma jaki żal do mnie, czy o co podejrzewa, czy poprostu stracił do mnie przywiązanie? Miłość ustępuje z serc, wyrugowana przez proste i nieuchronne działanie czasu, ale przecież z przyjaźnią tak się nie dzieje! Nie zasłużyłem zresztą na zmianę uczuć jego dla mnie! Ta przyjaźń była mi kotwicą w życiu i byłby to cios straszny dla mnie, gdybym ją utracił. Boję się i cierpię i chciałbym się przekonać, że to ja jestem ślepy!

— Z pewnością tak jest — rzekła Helusia, której współczucie zostało natychmiast obudzone wyznaniami Konrada. — Wuj Michał zawsze mówił o panu z najżywszą przyjaźnią, zawsze wspominał, jak o bracie najdroższym...

— Nie, nie! Im więcej o tem myślę, tem czuję wyraźniej, że moja nieobecność popsuła mi tu wszystko. Nieobecność jest błędem strasznym, bo widocznie najszlachetniejsze serca zapominają! Teraz, gdy uprzytamniam sobie wszystko, widzę, że już od roku, może od kilku miesięcy listy Michała stawały się jakieś nienatu-

ralne, coraz krótsze, wreszcie przestał pisywać zupełnie pod pozorem, że listy niedostatecznie myśl tłomaczą! Zostawił mię na pastwę rozpaczy, wyczekującego twego listu, przychodzącego co dwa tygodnie. Ja pisywałem bez końca i to mię trochę uspakajało. Nie miałem zresztą za złe Michasiowi, tak jak mu dotąd nigdy nic za złe nie miałem. I jakże zresztą mogło być inaczej? Ja to byłem stroną — która zaciągała dług wdzięczności! Jednej tylko myśli znieść mi nie podobna to tej, że on ochłódł dla mnie w przyjaźni. Dlaczego, dlaczego on ochłódł? Czekam na chwilę stosowną, czatuję na chwilę, w którejbym go mógł zapytać o przyczynę, i tę chwilę on umie zawsze odsunąć, zawsze zażegnać! Tymczasem wyjechał na dni kilka dla tych interesów, które mi się teraz na głowę zsypały, a ciebie pani Gozdawina zabiera do Warszawy! Ja muszę jechać z wami, bo jeżeli Michaś mnie opuścił, to zostałaś mi ty jedna tylko na świecie całym i, by nie stracić rozumu, muszę się ciebie trzymać, jak dziecko wśród tłumu obcych trzyma się sukni matki. Inaczej jabym zginął! Ale i ty, Helusiu, jesteś inną teraz!

— Nie — odparła Helusia — ja jestem ta sama i proszę niech się dziecko mocno trzyma sukni mojej, a w najbardziej zbitym tłumie nie przepadnie. Ja jestem silna i zdrowa. Babcia mówi mi ciągle, że mam zupełnie przewrócone w głowie, a ja wierzę, że potrafię być podporą. Przynajmniej chcę, by tak było!

— Kiedy ja i o twojem sercu wątpię! Tak, muszę ci to wyznać, skoro na drogę wyznań wszedłem! Wątpię o twojem sercu, lecz jeszcze się pocieszam, że pannom do okazania uczucia przeszkadza jakiś wstyd dzie-

wiczy, jakaś hardość kobieca, którą powoli oswajać trzeba, jak ptaka. Dziadek mój opowiadał, że moja babka, która potem najlepszą i najprzywiązańszą była żoną, do ślubu nie pozwoliła mu dotknąć swojej ręki. Może i ty, Helusiu, należysz do rzędu takich kobiet. Ale ja, wątpiący o przyjaźni Michasia, wpadam w rozpacz, gdy pomyślę, że w braku uczucia szukać trzeba przyczyny tej niechęci do pozostawienia przez chwilę ręki twej w mojej dłoni. Chcesz zostać moją żoną... to przecie największy dowód uczucia, jaki kobieta może dać mężczyźnie, a jednak dręczy mię strach szalony, nieznośna niepewność i co chwila chciałbym cię pytać, czy ty mię kochasz naprawdę! Małżeństwo, którebyś zawierała bez miłości...

— Wszyscy mię straszą — rzekła Helusia — Ja chcę być dobrą żoną, kochać moje obowiązki i postępować tak, by samo dobro wypłynęło dla wszystkich z mego postanowienia, a nikt mi uwierzyć nie chce!

— Kto nie wierzy? — zapytał Konrad. — Ja chcę wierzyć, są chwile, w których wierzę, inaczej byłbym najbiedniejszym z ludzi, boby mi już żadna nie została nadzieja! Niech sobie nie wierzą inni, pani Gozdawina zapewne! bylebyśmy, wziąwszy się za ręce szli przez życie z wiarą.... z wiarą we wzajemne uczucie!

— Tak — rzekła Helusia, usuwając rękę, którą chciał wziąść — tylko nie trzeba się zagłębiać. Ksiądz Cieplak nieraz nam mówił, że zagłębianie się, dochodzenie jest wielkim błędem w życiu, a nawet grzechem. Dawał nam za przykład zjawisko zwyczajne... Kiedy kto w jeden punkt z natężeniem patrzy, choćby ten punkt był tak jasnym, jak słońce, powoli ujrzy plamki

czarne, biegające po nim. Radził nam brać wszystko poprostu tak, jak się nam przedstawia, nie szukać ukrytego znaczenia, patrzeć na przedmioty, a szczególniej na zagadnienia po dziecinnemu, po chłopsku, nie szukać odcieni.

— To jest mądry ksiądz, który pragnie szczęścia swoich owieczek, rzekł Konrad z ironją. — Nic bardziej pogody życiowej zapewnić nie jest w stanie jak wierzenie w to, w co wierzyć jest słodko; ale to dobre dla dorastających panienek, dla starych dewotek, dla zdziecinniałych starców, ale na nic się nie przyda dla mężczyzny w sile wieku i rozumu!

— Owszem, owszem! — zawołała Helusia — Świętemu Augustynowi, będącemu w sile wieku ukazał się anioł z muszlą w ręku...

— Wiem, wiem o muszli! Nie przeszkodzi mi to jednak pragnąć, by mię moja żona kochała, bać się, Helusiu, że ty nie kochasz mię tyle, ile ja cię kocham!

— Czemu się pan dręczy takiemi zagadnieniami? Czy to uczucie można ważyć na funty czy łuty? Ja wreszcie nie wiem! Mogę tylko zapewnić, że pragnę być dla pana tem wszystkiem, czem pan mię chce widzieć.

— Bądź tem wszystkiem, Helusiu! Bądź mojem zbawieniem, moim ratunkiem, a jednocześnie mojem najdroższem dzieckiem, które ja na ręku nosić będę, któremu ja nieba przychylę, gwiazd dla niego na niebie nazbieram!

Z temi słowy przed Helusią siedzącą na krześle Konrad rzucił się na kolana, chwytając jej ręce, ale ona wstała nagle, krzesło odepchnęła w tył, ręce swe z rąk

uwolniła i rzekła z trochą nerwowego przestrachu w głowie:

— Pan mi mową o dziecku przypomina, że pewno już po piątej i że powinnam dawno siedzieć przy stoliku w szkolnym pokoju. Stenieczka zupełnie straci szacunek dla swojej nauczycielki!

— Ach, trzeba już dać pokój tym lekcjom! — zawołał niecierpliwie i z rozpaczą Konrad — pojutrze mamy jechać do Warszawy...

— Zabierzemy zapewnie Stenieczkę i jej bonę z sobą.

— Co, jeszcze i Stenieczkę, jeszcze i bonę?

— Cóż one mogą nam szkodzić?

— Ale będą nam przeszkadzać!

— O nie, Stenieczka taka grzeczna!

— Może grzeczna, ale już tu w Minowicach męczy mię nieznośnie jej ciągłe trzymanie się twojej osoby. Nie można zbliżyć się do ciebie, żeby to dziecko nie śledziło każdego ruchu, żeby cię nie zajmowało, nie pytało, nie psuło każdej chwili, w której chciałbym, byś trochę uwagi zwracała na mnie. Bardzo kocham Stenieczkę, jest ona córką Michasia i Steni... to czyni ją drogą dla mnie, ale mnie to dziecko niecierpliwi teraz do najwyższego stopnia! Przecieby ją można odsyłać czasami do bony...

— W czemże ona przeszkadza? Wszak możemy przy niej mówić o wszystkiem...

— Jakto, nic ci nie zawadza ta istota trzecia między nami? Nic ci nie przeszkadzają te oczy utkwione w twej twarzy, te uszy dziecięce, przy których nie śmiem ci mówić o mojem uczuciu, nie śmiem być sa-

mym sobą i raczej jestem salonowym manekinem, o ruchach i słowach obliczonych.

— Dziecko to jest mi nad wszelki wyraz drogie i miłe — rzekła Helusia — wie, że przestanę być jej nauczycielką, że stąd odjadę, więc mi teraz okazuje podwójne przywiązanie. Nie chce mię opuszczać ani na chwilę... Byłaby tu, gdyby nie kąpiel, po której przez godzinę nie wolno jej opuszczać swojego pokoju.

— Niech jedzie do Warszawy, niech cię nie opuszcza, bo ci jest, jak widzę, droższa i milsza nade mnie; Idź, niech godzina lekcji nie będzie stracona, broń Boże! Moje sprawy i zadowolenie są niczem, wobec spraw i zadowolenia Stenieczki.

— Niesłusznie się pan gniewa... — zaczęła Helusia.

Konrad przerwał jej wybuchem żalu.

— Przebacz mi — mówił — jestem niesprawiedliwy i zdenerwowany! Nie umiem być równym i dobrym, jak ty! Przebacz mi!

Tu rzucił się znowu do rąk Helusi, ale ona uwolniła je prędko z jego uścisków i wyszła, zamknąwszy drzwi za sobą. Odetchnęła z uczuciem ulgi i szła spiesznie ku pokojowi szkolnemu, w którym czekała Stenieczka. Dziewczynka, ujrzawszy Helusię, przypadła ku niej, a Helusia przytuliła ją do siebie, jak matka, która w objęciach swego dziecka widzi osłonę przeciwko wszelkim trudnościom życiowym.

Konrad tymczasem po ucieczce Helusi, rzucił się na fotel i głowę ukrył w dłoniach. Był cały drżący i każdy nerw wibrował w nim i przeszkadzał mu do znalezienia równowagi. Szczęśliwszym był tam, w ry-

backiej wiosce włoskiej, nad brzegiem morza, w którego szumie znajdował kojącą muzykę, niż tu, w tym zakątku ziemi, który nazywał swoim rajem! Czyż nadzieja szczęścia byłaby piękniejszą, niż szczęście samo? Żeby tylko się uspokoić, żeby panować nad sobą! Przy każdej sposobności pragnął więzić ręce Helusi w swoich, pragnął obejmować jej kolana i marzył o opasaniu jej kibici ramieniem. Widział, że poczynała bać się jego zbliżenia, że była rada wiecznej obecności Stenieczki. Poco on jej narzucał to swoje pragnienie pieszczenia jej ręki, poco jej dawał poznać, że na ustach miał pragnienie pocałunków? Może ona kochała go sercem dziecka, a kobietę trzeba w niej było powoli i ostrożnie powołać do życia. Ale on nie miał siły nad sobą, spotykał się ciągle z oporem, który go drażnił coraz bardziej i do coraz większej nietaktowności doprowadzał. Wiedział, że są kobiety kochające silnie i stale, skąpe w objawach zewnętrznych, oddające się z trudnością, zimne pozornie. Powinien był takie usposobienie uwzględnić w Helusi i zadowolić się tem, co mu dawała. Chciała być jego aniołem stróżem, więc powinien był się zadowolić cieniem jej skrzydeł, strzedz się zrazić ją swem natręctwem!

Wysiłkiem woli przywołał się do równowagi i przytomności i przyrzekł sobie, że zapanuje nad sobą, że będzie narzeczonym spokojnym i niewymagającym, że o wyznania miłości dopominać się nie będzie, że otoczy Helusię ciepłem przywiązania cichego i słodkiego, że będzie znosił obecność Stenieczki bez szemrania i niecierpliwości, że będzie powolny woli pani Gozdawiny, że zdenerwowanie swoje będzie ukrywał

starannie i stanie się dobrze wychowanym i szablonowym towarzyszem dla pań, odbywających pielgrzymki do modniarek, jubilerów, stolarzy i wszelkiego rodzaju pierwszorzędnych dostarczycieli wykwintnych przedmiotów potrzeby i zbytku.

Pragnął tylko, by wyjazd do Warszawy odłożonym został. Chciał dni parę pobyć jeszcze z Michałem, którego powrót zapowiedziany był na wieczór, poprzedzający dzień, wyjazdu. Pani Gozdawina była jednak nieubłagana, co spowodowało niezadowolenie zarówno Konrada jak i Helusi, i wywołało pierwsze w życiu wyraźne nieposłuszeństwo Stenieczki. Posłano ją spać, jak zwykle o pół do dziewiątej, Michał zaś przyjechał w godzinę później. Przywitawszy się ze wszystkimi, poszedł do swego pokoju dla schowania pieniędzy, czy papierów, które miał w torbie podróżnej. Miał zaraz wrócić na herbatę przygotowaną na stole jadalnym, koło którego zgromadzili się wszyscy. Wszedłszy do swego pokoju, w którym na stole paliła się oczekująca go lampa, ujrzał na wielkim fotelu drobną, białą postać, w której poznał Stenieczkę. Porwał ją na ręce i przytulił do siebie.

— Czekałaś na mnie? Chciałaś się z tatusiem przywitać?

Stenieczka opasawszy ramionami jego szyję, cała drżąca szepnęła:

— Tylko niech tatuś nic babci nie powie!

— A tak,... bo Stenieczka już o tej porze spać powinna... Trzeba było poprostu babci poprosić.

— Babcia nie byłaby pozwoliła... nawet Helusia powiedziała, że może tatuś przyjedzie późno...

— No, możemy babcię przebłagać, ponieważ zawsze dobra i posłuszna jesteś...

— Mój tatusiu, bo ja tatusiowi chciałam coś powiedzić.

— Zawsze mów mi wszystko śmiało, moje dziecko.

— Chciałam prosić tatusia...

— Wiesz, że ile razy mogę, przychylam się do twoich próśb.

— Jabym chciała z babcią i Helusią pojechać do Warszawy!

— Do Warszawy?

— Tak. Babcia i Helusia jadą jutro... Helusia już tak niedługo będzie u nas...

— Chciałabyś jechać dla tego, żeby zobaczyć Warszawę?

— Nie, chciałabym być z Helusią!

Stenieczka mówiła to wszystko szeptem, kryjąc głowę na ramieniu ojca.

— Chciałabyś być z Helusią? — powtórzył powoli — dobrze, że ją kochasz... ona ciebie i uczyła i bawiła się z tobą... byłyście zawsze razem... Poproszę babci, by cię do Warszawy z sobą zabrała.

— Tylko niech tatuś nic nie mówi, że ja tu byłam. Babcia gniewałaby się na bonę.

— Owszem, to powiem, bo kłamać nie mogę, ale poproszę babci, by ci to nieposłuszeństwo darowała ze względu na to, żeś je popełniła z miłości dla Helusi. A teraz idź spać i bądź spokojna. Będę prosił babcię bardzo gorąco.

Odprowadziwszy Stenieczkę do drzwi jej pokoju, Michał szedł powoli ku sali jadalnej.

— Co jest w tej dziewczynie — myślał, mając w oczach postać Helusi. — Co w niej jest takiego, co ciągnie nietylko oczy, ale i serca wszystkich?

Gdy wszedł do pokoju, zerwała się spiesznie, by mu własną ręką nalać herbatę. On ze smutnym uśmiechem rzekł, biorąc filiżankę z jej rąk i zwracając się ku pani Gozdawinie:

— Helusia ma jakieś czary, wskutek których mam zamiar zanieść do mamy pokorną prośbę. Stenieczka cierpi nad tem, że Helusia nas opuszcza, chce korzystać z każdej chwili, którą jeszcze z nią przebyć będzie mogła, i prosi, by ją mama z sobą zabrała do Warszawy.

— Stenieczkę do Warszawy? Kiedyż cię o to prosiła?

— Zastałem ją teraz w moim pokoju.

— Jakto, nie śpi jeszcze?

— Oboje błagać będziemy o przebaczenie Stenieczce tego wyjątkowego wybryku. Obiecałem jej, że babcię przebłagać będę usiłował... Podobno macie jechać jutro i Stenieczka rozumie, że postanowienie musi zapaść dziś jeszcze.

— Doprawdy niepokoi mnie to dziecko! Nie wiem skąd u moich wnuczek wzięło się jakieś przeczulenie. Stenieczka już tu jakieś płacze wyprawiała, gdy się dowiedziała, że Helusia idzie zamąż!... Najzdrowiejby jej było, gdyby sobie z boną pod twoją opieką została... Poco jej ta Warszawa? Ale decyzja właściwie nie ode mnie zależy. Czy sobie życzysz, żeby Stenieczka z nami jechała?

Michał spojrzał na Helusię i w jej wymownych oczach dostrzegł błaganie.

— Jeżeli to nie jest zupełnie przeciwne ze zdaniem mamy, to prosiłbym bardzo o wzięcie Stenieczki. Życie dość jeszcze zapór postawi między nią, a ukochanymi... nie stawiajmy ich więc my, którzy dziś dla niej uosabiamy opatrzność.

Od tych słów Michała powiało smutkiem. Pani Gozdawina jednak od wyciągnięcia sensu moralnego nie odstąpiła.

— Jestem zdania, że nie trzeba w dzieciach rozbudzać czułostkowości — ozwała się.

Jej słów nikt nie słyszał. Helusia wymknęła się z pokoju. Konrad wpatrywał się w Michała, jakgdyby chciał zajrzeć do głębi jego serca, ten zaś ostatni z chmurą na czole pogrążył się w myślach.

Helusia wbiegła do pokoju dziecinnego, rzuciła się na kolana przy łóżku, do którego Stenieczka dopiero co się była położyła, i, obejmując jej szyję, szepnęła wśród pocałunków:

— Pojedziesz do Warszawy, pojedziesz, ale teraz śpij spokojnie moje dziecko!

Konrad w jadalnym pokoju czekał na rozmowę z Michałem. Niecierpliwiła go obecność pani Gozdawiny, gryzł wędzidło, patrząc na zachmurzonego przyjaciela, wreszcie, gdy chwila rozejścia się nadeszła, ozwał się gwałtownie:

— Michasiu, ja z tobą idę! Musimy się rozmówić szczerze, bo tak, jak teraz jest, jest dla mnie nieznośnie!

— Nieznośnie? — powtórzył Michał — myślałem owszem, żeś bardzo szczęśliwy! Ale jeżeli możesz, odłóżmy rozmowę na kiedyindziej, bom ja do tego stopnia zmęczony, że aż się chorym czuję.

Słowa były odstręczające, ale szczególnie ich ton. Było w nim coś zimnego i sztywnego, co zraniło Konrada.

— O, nie chcę cię bardziej męczyć! — odparł urażony — choć doprawdy i jam chory i jam zmęczony...

Michał nie dosłuchał tych słów. Wyszedł, a jego zachowanie się miało zupełnie pozór ucieczki. Uciekał rzeczywiście, czując potrzebę samotności. Przedewszystkiem chciał być sam! Dobrze, że wszyscy wyjeżdżali do Warszawy, że on będzie mógł nie mówić do nikogo, nie wywoływać uśmiechu na usta, nie wyszukiwać tematów rozmowy z Konradem, mających zasłonić nieszczerość ich dzisiejszego stosunku. Dobrze, że wyjeżdżała ta czarodziejka, która wszędzie, gdzie była, musiała być światłem, do którego dążyli wszyscy! Może mu się uda w ciszy i samotności odnaleźć trochę trzeźwości i siły! Niech jadą, niech nawet jedzie Stenieczka, przed którą też udawać trzeba było! Tem udawaniem on był szczególniej śmiertelnie zmęczony i wcale nie kłamał, mówiąc, że był chory. Przypomniał sobie, jak podczas cierpień, które dla Stefanji poprzedziły przyjście na świat Stenieczki, lekarz obecny kilkakrotnie powtórzył: „Niech pani krzyczy... niech się pani od krzyku nie wstrzymuje... niektórym krzyk przynosi ulgę.“ Stefanja próbowała się uśmiechnąć, przecie najsroższem cierpieniem można było okupić szczęście zostania matką! W końcu jednak cierpienie przemogło wszelką filozofję, i krzyk wydarł się z piersi chorej. I on bał się chwili, w której uśmiech stanie mu się niepodobieństwem, i w której cierpienie jego stanie się widocznem dla wszystkich.

Nazajutrz rano wyjechał na jeden z folwarków, potem chodził po lesie pod pozorem kontrolowania leśniczych i wrócił do domu w chwili, kiedy konie dla podróżnych stały już przed domem. Pani Gozdawina była nieubłagana, gdy chodziło o przyjechanie na czas przed odejściem pociągu. Lubiła czekać na stacji, a pośpiech ją denerwował. Michał, który zwykle śmiał się z jej gorączki, tym razem nie miał nic do zarzucenia. Pożegnanie nastąpiło w zamieszaniu. Wsiadano do powozu, jakgdyby szło o spieszenie z ratunkiem dla tonących. Konrad czuł się do najwyższego stopnia rozstrojony. Całe życie małe nędze i drobne zachody doprowadzały go do rozpaczy, teraz był na nie jeszcze mniej odporny. Gdy się znalazł obok Stenieczki na przodzie w powozie i gdy usłyszał cmoknięcie na konie, doznał chwilowej ulgi, jak po dokonaniu jakiegoś ważnego dzieła, lecz po chwili poczuł, że mu jest ciasno, że nogami ruszyć się boi, że buda powozu, która się ku niemu nachyla, była czemś do najwyższego stopnia drażniącem, z czem byłby chciał stanąć do walki, że kapelusz pani Gozdawiny przyciągał jego oczy i sprawiał im przykrość, że woalka Helusi była czemś tak denerwującem, jak zasłona, która nam przytłumia światło, a której podnieść nie możemy. Chciało mu się wyskoczyć z powozu, a z drugiej strony nie byłby chciał Helusi za nic w świecie samej do Warszawy puścić.

— Możeby można było spuścić budę powozu? — ozwał się wreszcie tonem, świadczącym o niecierpliwości.

— Nie — odrzekła pani Gozdawina — światło bardzo mię razi. Oczy moje koniecznie potrzebują takiego przykrycia.

Umilkł i marzył o tem, by mu było wolno zedrzeć z głowy kapelusz pani Gozdawiny, ale tej swobody nikt mu dać nie mógł. Przynajmniej może się pozbędzie woalki nieznośnej.

— Uczyń mi jedną wielką łaskę, Helusiu! — rzekł błagalnie — zdejm woalkę!

Helusia, nie pytając o przyczynę, natychmiast woalkę odpięła i poczęła składać ją porządnie. Pani Gozdawina podniosła rękawicę.

— Dlaczego Helusia ma zdjąć woalkę? Odzwyczai się od noszenia jej, a zwyczaj i przyzwoitość wymaga...

Konrad, nie odpowiadając pani Gozdawinie, z uwielbieniem spojrzał na Helusię.

— Ze wszystkich kobiet, jakie znam — rzekł z zapałem—ty jesteś jedyna, która możesz postąpić tak, jak to uczyniłaś w tej chwili!

— Takie małe ustępstwo...

— Właśnie małe ustępstwa są mądrością najwyższą! Ja byłem przed chwilą szalenie rozdrażniony, a ty jednym dowodem dobroci uspokoiłaś mię!

Siedział naprzeciwko pani Gozdawiny, więc by się zbliżyć do Helusi, posunął się na ławeczce, zostawiając Stenieczce ciasny kącik. Chciał porwać ręce Helusi w zapale, ale ona cofnęła je, co go, jak nieraz już, dotknęło niemile. Przypomiał sobie, że parę dni temu czynił w myśli postanowienie wielkiej oględności i przez wysiłek woli udał spokój. Posunął się na swoje miejsce i rzekł pokornie:

— Przepraszam cię, Stenieczko. Zepchnąłem cię i zabrałem ci miejsce.

Zapadł w rozmyślanie.

— Czy ona mię kocha i jest mi uległą przez miłość? Ale jeżeli mię kocha, to czemu nawet ręki swej dotkąć mi nie pozwala?

Helusia poczęła opowiadać Stenieczce historję jakiejś murzyńskiej rodziny, której członkowie sprzedani zostali każdy zosobna; pani Gozdawina po raz setny rozmyślała nad dziwactwami Konrada i nad przyszłością Helusi. Konrad znowu zaczął odczuwać, że mu było niewygodnie, że nóg wyciągnąć nie mógł, że buda powozu zasłaniała mu horyzont i była jakimś grobem dla oczu, że się czuł nieznośnie podrażniony widokiem kapelusza pani Gozdawiny.

Dojechano nareszcie do stacji i wszyscy doznali uczucia ulgi. Jedna tylko Stenieczka żałowała, że się opowiadanie Helusi przerwało.

W Warszawie Konrad począł nosić krzyż wszystkich narzeczonych, którym obowiązki względem wyprawy wydzierają narzeczoną. Z jednej strony pani Gozdawina zabrała Helusię do pracy, z drugiej Stenieczka otaczała ją despotycznem przywiązaniem i ciągle trzymała się jej sukni lub ręki. Konrad czuł się na ostatnim planie i zdawało mu się, że tęskni do Helusi, choć był z nią razem. Usiłował panować nad sobą i po większej części mu się to udawało, lecz gdy przychodziło chwilowe rozluźnienie się napiętych nerwów, popełniał nietaktowności, sprawiające, że Helusia nie była z nim swobodną i ufną, co on odczuwał boleśnie. Do sklepów,

magazynów, pracowni chodził z paniami, nie mogąc znieść nieobecności Helusi, lecz wszędzie szły z nim jego wątpliści i to pytanie straszne, czy jedyna przyjaźń jego życia i miłość najsilniejsza nie były uczuciami bez wzajemności.

Helusia przy sporządzaniu wyprawy nie występowała bynajmniej, jak osoba obojętna. Pragnęła, by wszystko było jak najtańsze, jak najskromniejsze. Czy nie lepiej było oddać potrzebującym pieniądze, mające okupić zbytek w koronkach, haftach i piękności materjałów?

Jeden z kupców, świadek próśb Helusi, by jej nie kupowano jakiejś kosztownej nowości, ozwał się:

— Pierwszy raz widzę taką panienkę! Każda zawsze prosi o wszystko, co najpiękniejsze, najkosztowniejsze!...

Wogóle Helusia swoje piękne oczy, za któremi oglądali się wszyscy, miała zwrócone przedewszystkiem, na ludzką nędzę. W pracowni sukien myślała o tych anemicznych, przykutych do miejsca długiemi godzinami szwaczkach, które się złożyły na całość wykwintną, z której nareszcie wymagające oko pani Gozdawiny było zadowolone, a gdy panna od spódnic, klęcząc, cyrklowała i opinała dołem suknię, Helusia, obojętna na strój, myślała o nierówności przeznaczeń ludzkich. Ta klęcząca, schylona przed nią istota, miała takie samo prawo do szczęścia, do swobody, do dostatku, do oddychania powietrzem pól i lasów...

Zdarzyło się, że wśród wędrówki po zakładach fabrycznych i pracowniach Helusia miała sposobność zauważenia ręki panny, krojącej okrycia. Była to ręka

wykrzywiona, kształtu pierwotnego pozbawiona przez ciągłe trzymanie wielkich nożyc. Wyglądała jakgdyby ją wykręciła jakaś straszna choroba, której potęgę poznaje się po skutkach. Helusia zdobyła się na nieśmiałe zapytanie, na które krojczyni odpowiedziała chętnie. Ręka z początku bolała niezmiernie i nawet po całych nocach spać nie dawała, ale teraz już jest znacznie lepiej. Ręka boli tylko wtedy, gdy jest nawał roboty... szczególniej na wiosnę i w jesieni... Nożyce zrobiły swoje i teraz już nietyle dokuczają.

Helusia nie mogła się pozbyć widoku tej wykrzywionej ręki. Nożyce zrobiły swoje, ale ile to musiało kosztować męki!

Pani Gozdawina gniewała się na wnuczkę:

— Nie rozumiem obojętności — mówiła — takiej młodej osoby, której jest wszystko jedno, co się dla niej kupuje, jak leży jej suknia i jakiego jest koloru! Nie cierpię apatji ani pozy na jakąś wyższość, na jakąś niecodzienność. Dobrze, że ja tu jestem, która nie pozwolę na żadne dziwactwa! Szwaczki pracują, no i chwała Bogu, że mają robotę; krojczyni od okryć ma wykrzywioną przez nożyce rękę, ale ma z czego żyć, jest zadowolona. Twoim obowiązkiem społecznym jest dać jej robotę...

— Ja to rozumiem, Babciu, ja to wszystko rozumiem, ale nie mogę pogodzić się z tem, że jedni ludzie mają dostatek, wykwint, zdrowe warunki, a inni całe życie tylko się od śmierci głodowej ratują, a praca ich bywa niezdrowa, a nawet zabójcza!

— Przesąd, moja Helusiu! Zawsze tak było, tak Pan Bóg urządził i zawsze tak być musi!

Helusia nie odpowiedziała, ale zapytanie: „dla czego?“ nie przestawało jej dręczyć i oczu jej kierować szczególniej na te życiowe objawy, które uwydatniały różnicę przeznaczeń ludzkich. A wielkie miasto przedstawiało ich tyle, począwszy od dzieci opuszczonych i proszących o jałmużnę, skończywszy na ubogich, wstydzących się żebrać i z dumą znoszących głód i nędzę.

Bieliznę oddano do szycia do zakładu, wychowującego ubogie dziewczęta, i tam Helusia poznała panią Ramońską, opiekunkę i duszę zakładu, która owdowiawszy i straciwszy jedyne dziecko, siebie i swój majątek oddała na usługi potrzebującym. Ta znajomość była dla Helusi wydarzeniem doniosłem. Zbliżyła się do pani Ramońskiej, podbiła naprzód jej wzrok swoją pięknością, potem jej serce swoją gorącą litością dla wszelkiego cierpienia, zwierzyła jej się ze swoich dawnych marzeń o zostaniu siostrą miłosierdzia i z dzisiejszych projektów założenia na wsi szkoły, a zarazem ochronki. Raniutko, gdy pani Gozdawina i Stenieczka spały jeszcze, ona wymykała się cicho, brała dorożkę i jechała do pani Ramońskiej, z którą godzinę lub dwie oddawała się tym rozlicznym dobroczynnym sprawom, które pochłaniały życie szlachetnej kobiety. Gdy Helusia wracała do babki, wydawało jej się, że zachody, mające na celu wyprawę, były czemś bez znaczenia, czemś lichem i marnem, bo miała serce, w którem była i wielka radość z dobra, które się daleko od świata, w ciszy i pokorze dopełniało za sprawą istot wybranych, i wielka litość dla tych nędz, które jeszcze opatrzone nie były.

Pani Gozdawina niechętnie pozwoliła na te ranne wycieczki Helusi. Młoda panna nie powinna wychodzić sama. Ten zwyczaj nie był jakąś głupią fantazją naszych przodków, miał on swoje przyczyny bardzo uzasadnione...

Ale Helusia błagała pokornie:

— Mnie nawet nikt znajomy spotkać nie może... zresztą kładę taką gęstą woalkę... Wszyscy ci, co należą do świata ludzi zamożniejszych, śpią jeszcze o tej porze, a gdyby kto z nich jechał na kolej, lub z kolei powracał, byłby pewien, że jadę do kościoła do spowiedzi, i nie mógłby mi mieć za złe. Ja przytem jestem jakby mężatką, skoro nią zostanę wkrótce...

Opowiadała Stenieczce o dzieciach w ochronkach, o ich śpiewach i robótkach i Stenieczka zapałała ochotą zobaczenia ochronki.

— Te dzieci — mówiła Helusia — są ubrane rozmaicie, czasem starannie, choć ubogo, czasem bardzo nędznie, ale ochroniarka kładzie im przy wejściu do ochronki białe, świeże i wyrurkowane krezki, które się zdejmuję, gdy dzieci odchodzą. Te krezki są jakby mundurem i dzieci wyglądają naprawdę jakby z pod jednej chorągwi.

— A mogą się bawić z takiemi dziećmi, co przychodzą je odwiedzić?

— Mogą, jeżeli to jest godzina zabawy.

— Zaprowadź mię kiedy do nich.

Pani Gozdawina jednak postawiła wyraźne „veto“ Stenieczka była dzieckiem wrażliwem i aż nadto skłonnem do egzaltacji, dość zresztą było w rodzinie jednej głowy przewróconej na punkcie zakładów dobroczynnych.

Takie osoby, jak pani Ramońska, były bardzo szlachetnymi wyjątkami, ale zawsze wyjątkami tylko i nie można było przeczulonym dziewczynkom stawiać ich za wzór.

Wogóle pani Gozdawina nie była zadowolona z Helusi. Czuła ciągle i wyraźnie odskok istniejący między myślami i uczuciami dziewczyny a wszystkiem tem, co ją otaczało, i przyszłością, jaką obierała.

Konrad był męczennikiem roli, którą sobie wyznaczył. Usiłował ciągle być spokojnym i czekać na osiągnięcie zupełnego wpływu nad Helusią aż do chwili, w której ją jako żonę do domu swego wprowadzi. Przecie nie kochała żadnego innego, a on musi sprawić powolnem, taktownem postępowaniem, by sama z własnego popędu znalazła się nakoniec w jego objęciach, jako kobieta kochająca. Będzie ją otaczał powoli, zacieśniającem się kołem swojego oddziaływania, a uczyni to cicho, bez wstrząśnień, stal niezłomnego postanowienia oblekając w miękkość puchu i jedwabiu.

Tymczasem męczył się tem, że Helusia była wiecznie ze Stenieczką, wiecznie z babką, męczył się jej dobroczynnością i tem, że mu zabroniła stanowczo i wyraźnie wstawania rannego dla towarzyszenia jej pod drzwi pani Ramońskiej, męczył się najbardziej Jasiuniem Stelskim.

Jasiunio ten był synem dawnych przyjaciół pani Gozdawiny, mieszkających w Warszawie, studentem czwartego kursu prawa, który zakochał się w Helusi szalenie, przestał się uczyć, ciągle szukał jej widoku, włóczył się po ulicach, na których miał nadzieję ją spotkać, kiedy zaś wiedział, że była w domu, przycho-

dził nieśmiały, cały drżący, rumieniący się, to blednący, milczący lub zaledwie wyjąkać mogąc słów parę. Spuszczał oczy, gdy Helusia na niego spojrzała, a gdy mówiła do innych, pożerał ją wzrokiem. Miłość jego stała się jawną dla wszystkich, dla rodziców jego i kolegów, dla pani Gozdawiny i Konrada, nawet dla Helusi samej. Biedna dziewczyna nie wiedziała, co począć. Gdy Jasiunia przyjęła oziębłę, widziała takie cierpienie na jego twarzy, że litość w niej wzbierała; gdy była dla niego dobrą i uprzejmą, taka radość strzelała z oczu chłopcu, że przerażała Helusię, której się zdawało, że Jasiunio powziął jakąś nadzieję. Namiętność biednego chłopca, który przy Helusi płonął, jak świeca zużywająca sama siebie, drażniła, gniewała Konrada i przyprawiała go o cierpienie. Był pełen żółci i niecierpliwości, nakazał sobie jednak spokój zewnętrzny i, przybrawszy pozory starszego przyjaciela, przychodzącego z doświadczoną radą, począł Helusi wystawiać stan Jasiunia, jako groźny. Tacy młodzi szaleńcy odbierają sobie czasem życie, a choćby nawet ta ostateczność nie groziła chłopcu, to mu grozi rozprożnowanie się, a może zwichnięcie zupełne.

— Mój Boże, cóż ja mam zrobić? — rzekła przerażona Helusia. — Jakie to nieszczęście, że ja tu do Warszawy przyjechałam i żem spotkała Jasiunia! Co zrobić, żeby on mię przestał kochać, żebym ja mu się stała obojętną, a choćby wstrętną!

— Chcesz posłuchać bezstronnej i spokojnej rady? Jedno jest tylko do zrobienia. Nic nie mówiąc nikomu wyjechać nocnym pociągiem, odebrawszy niby telegram, wzywający do Minowic. Tak się rozwiązują czasem

bez burz i wstrząśnień najbardziej zawikłane dramaty. Rozwiązuje je śmierć, będąca największem oddaleniem lub wyjazd, będący oddaleniem względnem. Tylko żadnych pożegnań, żadnych przygotowań. Byłoby mojem zadaniem, by Jasiunio dowiedział się, żeś wyjechała, wezwana telegramem, ale wrócisz dla przymierzenia sukien. Zostałaby mu nadzieja zobaczenia ciebie, a czas czyniłby swoje tymczasem. Opatrywałby ranę, koił jej ból i powoliby ją goił, jak lekarz doświadczony i wytrwały. Ma on środki niezawodne...

— Dzięki Bogu — rzekła Helusia — że istnieje błogosławione zapomnienie!

Myślała o Michale i przeświadczenie, że ucieczka z Warszawy zaprowadziłaby ją do jego boku, była jej miłą.

— Czy tylko babcia się zgodzi?

Milczała chwilę w zamyśleniu potem zawołała.

— Jakto może być, by się nagle ni z tego, ni z owego pokochało jakąś dziewczynę, której się ani dobrze zna, ani się wie, co ona warta! To jest dziwne, że Pan Bóg na to pozwala!

— Oho, jesteś na złej drodze, Helusiu, zaczynasz krytykować Pana Boga!

— Ja nie krytykuję, ja się tylko dziwię. Wolno się dziwić temu, czego się nie rozumie.

— Szał Jasiunia powinien być dla ciebie nauką. Może ci się jeszcze zdarzyć nieraz...

— Mnie? — zawołała z przerażeniem Helusia. — Przecież ja idę za mąż!

Konrad zamilkł. Chciał korzystać ze sposobności, by swojej przyszłej żonie dać naukę na przyszłość, ale się zatrzymał wobec wykrzykniku Helusi. — Może jej

naiwna nieświadomość była najlepszym puklerzem przeciwko pokusom przyszłości.

— Prawda, idziesz za mąż, Helusiu, a ja o tem zapomniałem. Idziesz za mąż, dziecko, i będziesz miała ramię, na którem się wesprzesz i które cię osłoni od wszelkich ciosów.

Był nastrojony na ton rozrzewnienia i zapału. Wziął rękę Helusi i poniósł ją do ust, lecz gdy ją dłużej przy nich chciał zatrzymać, poczuł, że ręka ta wiła się i drżała jakby w jakiemś cierpieniu, we wzroku zaś Helusi ujrzał zniecierpliwienie. Puścił rękę uwięzioną, cofnął się o parę kroków i wpatrywał się w narzeczoną okiem badawczem, a pełnem trwogi.

— Helusiu, rzekł popędliwie. — Dlaczego ty się boisz zbliżenia się mojego? Dlaczego widzę w tobie chęć ucieczki, ile razy dotknę twojej ręki?

W oczach jego Helusia wyczytywała taki gniew i takie przerażenie, że trwożna i pokorna odparła:

— Niech się pan nie gniewa... już będę inna... Niech pan weźmie moją rękę!

Ale on odepchnął rękę Helusi, obrażony do żywego.

— Cóż to, chcesz mi dawać uścisk ręki z obowiązku, przez litość, jakby z nakazu? Czy ty nie rozumiesz, że mię obrażasz i wyrządzasz mi krzywdę? Ja pragnę uczucia, które uściskowi towarzyszy, a nie czczej formy zewnętnej. Wyglądasz, jakbyś chciała zostać moją żoną z przymusu, znaglona przez rodzinę, przez nędzę lub chęć ucieczki z domu rodzinnego, to jest przez te przyczyny, które popychają dziewczęta do małżeństwa bez miłości.

— Chcę być jak najlepszą żoną...

— Ale wyglądasz jak gdybyś miała wstręt fizyczny do mojej osoby!

— Już będę dobra — rzekła Helusia z prośbą w głosie. — Proszę mi przebaczyć i dopomóc do ucieczki z Warszawy. Niech ja już nie będę udręczeniem dla Jasiunia i dla jego rodziny! Miałam tu jeszcze wiele do roboty i pani Ramońska cieszyła się, że będziemy tu czas jakiś, ale na pierwszym planie musi być ten chłopiec, który naukę zaniedbuje. Zaraz idę pomówić z babcią!

Konrad patrzał za odchodzącą Helusią wzrokiem chmurnym, z fałdą głęboko między brwi zarytą. Był nierad z siebie i cierpiał, jak człowiek, który przyrzekł sobie, że kieliszka nie dotknie, a uległszy pokusie, budzi się wytrzeźwiony z paroksyzmu pijaństwa. Zamiast taktownej i powolnej pracy nad sercem Helusi, on chciał jej skłonność zdobywać szturmem i co chwila psuł wszystko, co już był, jak mu się zdawało, uzyskał. Znowu powtórzył sobie zwrotkę o dziewiczej, odpornej postawie, którą przybierały niektóre narzeczone, co im następnie nie przeszkadzało być wiernemi żonami, i znowu uczynił nowe postanowienia cierpliwości i wyczekiwania.

Pani Gozdawina niespodziewanie uległa prośbom Helusi i przyznała jej słuszność! Sama odwiozła ją na resztę dnia do pani Ramońskiej i postanowiła, że wyjazd nastąpi nazajutrz rano. Wzięła na siebie niewdzięczną rolę przyjęcia Jasiunia, który, nie zastawszy Helusi, nie śmiał zapytać o nią, siedział tylko, jak na węglach, odpowiadając na pytania niezręcznie, spoglądając ku drzwiom i nasłuchując i rumieniąc się po uszy przy

odgłosie kroków, zmierzających po korytarzu hotelowym ku mieszkaniu pani Gozdawiny, która przerwała wreszcie mękę chłopca, oświadczywszy mu, że jest zmuszona wyjść, a wieczorem będzie miała zajęcie, które nie pozwoli jej przyjąć nikogo.

Nazajutrz rano, o godzinie, w której jeszcze miasto spało, pani Gozdawina wyjechała z wnuczkami i z Konradem, który służącym hotelowym powiedział na intencję Jasiunia jakieś kłamstwo o otrzymanym telegramie. Helusia, jadąc przez miasto myślała o biednym chłopcu, od którego uciekała.

— Śpij spokojnie — mówiła do niego w duchu — niech ci zejdę powoli w cień i niech ci w końcu zniknę z pamięci zupełnie.

Konrad był szczęśliwy. Jego obawy i rozdrażnienie znikły na chwilę pod wpływem pomyślnego obrotu rzeczy. Wyrywał narzeczoną z tego nieznośnego, hałaśliwego hotelu, z tych restauracyj, gdzie ją pożerał wzrok siedzących przy innych stolikach mężczyzn i kobiet, wyrywał ją z pod wpływu pani Ramońskiej i odejmował ją miłości Jasiunia! Był wesoły, pełen swobody i przez czas podróży odzyskał swój dawny wdzięk, swój dowcip, kapryśną fantazję i błyskotliwość.

— Może tatuś przyjedzie na stację! — ozwała się Stenieczka, stojąca w oknie wagonu.

— Myślę, że przyjedzie, — odrzekła pani Gozdawina. — Chyba, że go niema w domu. Telegrafowałam do rządcy, więc w każdym razie konie mieć będziemy.

Konrad, pełen pogody i zadowolenia poczuł, że mu serce zabiło na myśl, że za kilka minut na stacji, do której dojeżdżano, ujrzy Michała. Tak mu się chciało

w tej chwili rzucić się na szyję przyjaciela! Przecie wiedział, że po Stenieczce i Helusi był pierwszym w jego sercu, a może stał w niem nawet przed Helusią. Zapomniał o wątpliwościach dni ostatnich i wybiegał myślą ku uściskowi, który go połączy z Michałem.

Helusia i Stenieczka z okna zatrzymującego się wagonu gorączkowo upatrywały Michała między kręcącymi się przed dworcem. Nie było go tam. Stał tylko służący z ciepłemi okryciami, przewieszonemi przez ramię. Zasypano go pytaniami. Pan był w domu i zdrów, ale bardzo zajęty.

Ujrzano Michała dopiero na ganku domu w Minowicach. Konrad i dziewczęta rzucili się ku niemu z porywem wielkiej serdeczności, pani Gozdawina, jak zwykle, schylającego się do jej ręki pocałowała w czoło. Wszyscy byli uszczęśliwieni z powrotu do Minowic, a Stenieczka nie opuszczała ojca, szukając ciągle jego wzroku.

W samotności i ciszy zupełnej, które Michała otaczały przez parę tygodni, wola jego zmężniała i postanowienia stały się w nim siłą świadomą siebie. Doznawał teraz spokoju człowieka, który zna swoją drogę i pewien jest, że nie błądzi. Zamierzał postępować tak, jakgdyby nie kochał Helusi, a więc chciał rozmówić się wyraźnie z Konradem, otworzyć mu oczy na uczucia narzeczonej, chciał też wybadać raz jeszcze Helusię. Przedewszystkiem przyrzekł sobie, że będzie miał na względzie jedynie dobro ich obojga i że będzie szczery aż do tej granicy, na której zaczynało się jego własne cierpienie. To była jego sprawa prywatna, która na nic wkoło niego wpływać nie była powinna.

Jednakże pomimo usilności największej nie był w swej roli bez zarzutu. Helusia z kobiecą intuicją dostrzegła jakąś w nim nienaturalność, jakąś zmianę. Zapytywała siebie z niepokojem, w czem się mogła wujowi niepodobać i dlaczego był z nią inny niż dawniej. Długo zasnąć nie mogła, udręczona przypuszczeniami. Po północy spostrzegła się, że Stenieczka nie spała. Dziecko przewracało się po łóżku, wzdychając cicho. Helusia zerwała się na równe nogi.

— Czemu ty nie spisz, Stenieczko?

— Nie wiem, czekam i czekam, żeby się noc skończyła, i nie mogę się doczekać.

— Ale cię nic nie boli?

— Nic mię nie boli, tylko mi gorąco.

Był to początek ciężkiej szkarlatyny, którą sobie dziecko najwyraźniej z Warszawy przywiozło. Gorączka wzmogła się szybko, przyszła zupełna bezprzytomność, w której Stenieczka zrywała się tak, że trzymać ją było trzeba. Nad jej łóżkiem stanęło widmo straszne, widoczne dla otaczających, w których trwoga o życie dziecka zagłuszyła wszystkie inne uczucia. Helusia cierpiała, jakgdyby była matką Stenieczki, pani Gozdawina rozpaczała w zabobonnem przekonaniu, że wszystko, co kochała, było skazane na śmierć lub nieszczęście, Michał milczący i jakby skamieniały szukał ratunku, zwoływał lekarzy, nie sypiał wcale, siedząc przy dziecku i śledząc postępy choroby.

O Konradzie zapomnieli wszyscy. Czuł się zbytecznym przy Stenieczce, nie umiał się zajmować chorymi, których widok go denerwował, błądził więc po domu i ogrodzie, zmuszając się do bawienia lekarzy,

dręcząc się tem, że Helusię zabierała mu choroba Stenieczki.

Michał utonął literalnie w myśli o ratowaniu dziecka. Czasem nie poznawał otaczających, a gdy Helusia w chwilach większego niepokoju podnosiła jego rękę do ust, żeby sobie i jemu dodać otuchy, żeby mu powiedzieć, że cierpi razem i razem drży o życie chorej, Michał nie odczuwał wcale, że do ręki jego przyciskały się usta kobiety kochanej. Dopiero gdy lekarze wyrzekli: „uratowana“, wtedy wobec wszystkich płaczącą z radości Helusię przycisnął do wezbranej szczęściem piersi. Nie był to jednak bynajmniej uścisk kochanka, tylko przytuleni do siebie poczuli oboje, że ich połączył jeden węzeł więcej, że wspólne cierpienie przy zagrożenem dziecku zbliżyło bardziej jeszcze ich serca. Poszli oboje szukać pani Gozdawiny, by conajprędzej powtórzyć jej radosną wiadomość. Znaleźli ją klęczącą, błagającą Boga o pomoc.

— Modły twoje wysłuchane, mamo! — zawołał Michał, podnosząc z klęczek biedną kobietę. — Jesteśmy znowu ludźmi szczęśliwymi!

. . . .

Stenieczka prędko powracała do zdrowia. Nie pozwolono jej przez jakiś czas opuszczać łóżka, więc trochę rozstrojona i rozpieszczona chorobą despotycznie więziła Helusię przy sobie. Głośne czytanie, ustawianie na kołdrze zabawek i lalek, opowiadania, gra w warcaby urozmaicały czas dziecku. Michał przychodził często na chwilę, by spojrzeć na Stenieczkę i Helusię. Konrad pragnąłby był przesiadywać przy tej

ostatniej, ale to oddanie się jej zupełne dziecku niecierpliwiło go i przyprawiało o takie rozdrażnienie, że uciekał, wyprowadzony z równowagi. Nareszcie jednego dnia wybuchnął. Spotkawszy Helusię w jadalnym pokoju, przyprawiającą napój dla Stenieczki zwrócił się do niej z wyrzutami. Przecie powinna była choć czasem dać mu jaką chwilkę. On, będąc pod jednym z nią dachem, umierał z tęsknoty do niej!

— Ty tego nie rozumiesz, że dla mnie daleko łatwiejszem jest poświęcenie się jednochwilowe jak największe: skoczenie w ogień, rzucenie się w wodę, odkrycie piersi na kule, niż te ciągłe, małe ustępstwa, to ciągłe zrzekanie się ciebie na korzyść Stenieczki, to ciągłe rozdrażnienie, którem mię przepełnia wiecznie osoba trzecia między mną a tobą! To przecie jest w stanie doprowadzić mię do szaleństwa, że z tobą pomówić nie można swobodnie! Ty nie rozumiesz ludzi nerwowych! Moja dusza chciałaby się przed twoją otworzyć, jak kwiat, który czeka, by słońce z samego zenitu na dno kielicha mu zajrzało. Taki zenit dla mnie to byłoby oddanie mi się twojej myśli tak zupełne, by chwilę choćby zapomniała, że istnieje Stenieczka, pani Ramońska i sama nawet muzyka.

— Ja będę myślała o tem, co mi pan będzie mówił i obecność Stenieczki w tem mi nie przeszkodzi.

— Helusiu, zrozumiej na Boga, że ja pragnę czuć twoją miłość, że mi potrzeba wierzyć, żeś moja przez miłość, że jabym chciał rozmawiać z tobą trzymając twoją rękę w mojej i z głową twoją opartą na mojem ramieniu! Czy ty tego nie pojmujesz, że to rozpieszczone dziecko, wiecznie trzymające się ciebie, mrozi mi

słowa na ustach i nawet spojrzeniom moim zabiera ich siłę! Myśli moje obezwładnia i nerwy mi rwie na kawałki!

— Niech pan będzie cierpliwy, — rzekła Helusia, rozumiejąca niedokładnie, lecz pełna współczucia, gdyż widziała, że był wzruszony i że czuł się nieszczęśliwy — niech pan poczeka trochę... Stenieczka przychodzi szybko do zdrowia. Wszystko wróci do dawnego porządku... Muszę jej prędko zanieść limonadę, bo jej się pić chce!

Jakiś wyraz trwogi i chęć ucieczki odmalowały się we wzroku Helusi. Konrad się zżymnął, gniew i niecierpliwość szarpały mu piersi. Mówiła, że wszystko wróci do dawnego porządku! A czy dawniej było lepiej? Czuł dobrze, że postawa i zachowanie się Helusi były zawsze te same, tylko jego miłość dawniej zadawalniała się nadzieją wzajemności, a teraz wzajemności tej łaknęła i wymagała. Napróżno sobie przyrzekał, że ją zdobywać będzie powoli i wytrwale. Namiętność jego nie mogła być cierpliwą i zrywała się z łańcucha.

Helusia, stawiająca pałac z kart na stoliku przy łóżku Stenieczki, czyniła sobie wymówki. Wszak poto chciała zostać żoną Konrada, żeby go uszczęśliwić, uspokoić i obronić od niego samego, tymczasem właśnie to, że jego narzeczoną została, zdawało się go rozdrażniać i odbierać mu równowagę.

Wejście Michała przerwało jej rozmyślanie.

— Cóż moje dzieci porabiają? — zapytał.

— Jedno jest grzeczne, powraca do zdrowia i coraz lepiej wygląda, a drugie... drugie wcale nie grzeczne, zasługuje na naganę.

— Doprawdy? Czy jesteś niezdrowa, Helusiu?

— Gorzej, wujaszku! Jestem niezadowolona sama z siebie!

— Cóż to takiego? Jakież cię tam dręczą niepewności? Wiesz, Helusiu, ponieważ i ja jestem niezadowolony z siebie, więc musimy pomówić szczerze, ale przedtem jeszcze muszę zobaczyć Konrada. Czy nie wiesz, gdzie on jest?

— Nie wiem, ale mówiłam z nim przed kwadransem, wujaszku... Kiedy mamy oboje chęć i potrzebę rozmowy, to jej nie odkładajmy. Ja tak dawno nie rozmawiałam z wujaszkiem! Tak mi tęskno do takiej rozmowy. Zawołam bonę, niech ten pałac skończy, a wujaszek poświęci mi chwilkę.

Gdy się znaleźli sami, Helusia zaczęła.

— Babcia tak odwleka termin mojego ślubu, a jabym chciała go przyspieszyć.

Serce zabiło młotem w piersi Michała. Żal i zazdrość falą podstąpiły mu do gardła i zatamowały oddech, który po chwili stał się przyspieszony i niespokojny.

— To jedyna rada, jaką widzę — ciągnęła dalej Helusia. — Narzeczeństwo rozdrażnia i denerwuje pana Konrada, jest ciągle w usposobieniu do najwyższego stopnia gorączkowem, a ja nie umiem go uspokoić. Wszystko go niecierpliwi, czyni mi wymówki.

— Wymówki? za co?—zapytał Michał głosem bezdźwięcznym.

— Że nie dość z nim obcuję, że nie może mi otworzyć swej duszy, bo nigdy nie jest ze mną sam

na sam... Wymówki wszelkiebym zniosła, nawet niesłuszne, gdybym widziała, że jego to nie wyczerpuje i nie doprowadza do rozpaczy.

— Więc go bardzo kochasz, kiedy pragniesz przyspieszenia...

— On mi właśnie ciągle wymawia, że go nie kocham!

— Helusiu, — rzekł Michał poważnie — powiedziałem ci przed chwilą, że nie jestem zadowolony z samego siebie... Oddawna jestem niezadowolony, ale nie umiałem znaleźć drogi właściwej, prostej drogi szczerości, bezwzględności i sprawiedliwości. Odszukałem ją nareszcie we własnej duszy i zrozumiałem, że żadne względy nie powinny przynosić uszczerbku prawdzie. Muszę oddać słuszność pani Gozdawinie, że tę prostą drogę ona doskonale widziała. Dawno namawiała mię do pomówienia z tobą otwarcie, a ja nie miałem odwagi... Helusiu, mówię ci bezstronnie, mówię ci bez żadnego egoistycznego względu, mówię ci w imieniu prawdy: jeżeli nie kochasz Konrada, zerwij z nim jak najprędzej. Nic nie pomoże dla jego szczęścia, jeżeli zostaniesz jego żoną. Ten brak miłości, który ci teraz wymawia, będzie on czuł wtedy jeszcze dotkliwiej, będzie nad nim cierpiał stokroć więcej.

— Ja tego uczynić nie mogę! — zawołała Helusia. — Przecie mu przyrzekłam i muszę go kochać, skoro pragnę tak bardzo jego szczęścia, że temu szczęściu chcę życie poświęcić!

— Moja Helusiu, niejedna już kobieta poszła zamąż z litości, znałem taką, która poszła za głuchoniemego, ponieważ był nieszczęśliwy...

— Bardzo dobrze, bardzo pięknie uczyniła! Takiego biedaka osłonić opieką... zastąpić mu słuch, odjąć mu prawie kalectwo przez litość...

— Była bardzo nieszczęśliwa. Ten człowiek był niewykształcony, gbur, popędliwy, despota... Wkońcu i ona stała się pospolitą. Niecierpliwiła się, gdy chciał, by mu każde słowo rozmowy obecnych powtarzała wyraźnym ruchem warg, i okłamywała go poprostu.

— To bardzo smutne, — rzekła Helusia. — Żeby nosić krzyż, trzeba silnych ramion.

— Tak, moje dziecko, i nikt nie może za siebie naprzód odpowiedzieć, że mu się ramiona pod krzyżem nie ugną i że nie przyjdzie chwila, w której zapragnie krzyż z ramion zrzucić. Taki zrzucony krzyż przygniata innych, tych, za których nieść go usiłowaliśmy. Trzeba być świętym, żeby cierpienie nosić w pogodzie i udoskonalaniu się ducha. Gdy się świętym nie jest, nieszczęście czyni nas złymi. To nie przesada, gdy mówię o nieszczęściu. Mieć lat dwadzieścia i być żoną człowieka, którego nie kocha się bardzo silnie — to wielkie nieszczęście!

— To samo mówiła mi babcia, ale ja jestem pewna, że nieszczęśliwą nie będę, a będę też usiłowała być dobrą, nawet gdybym się nieszczęśliwą czuła...

— Nie można się na ciebie gniewać, Helusiu, tak jak nie można się gniewać na niemowlę, które kładzie rączkę w płomienie. Widzę, że nie zdajesz sobie wcale sprawy, a tylko jesteś uparta na ślepo, po kobiecemu!

— O, wujaszku! Czy to upór? Gdybym wiedziała, że zerwaniem z Konradem nie uczynię go nieszczęśliwym, natychmiast ustąpiłabym przez posłuszeństwo dla

ciebie! Gdyby można sprawić, by on nie cierpiał i gdyby można przyrzeczenia nie dotrzymać bez wyrzutów sumienia!

Michał milczał chwilę zamyślony.

— Myślałem, że każde spełnienie obowiązku zadowala i uspokaja — ozwał się wreszcie, — a widzę, że nie zawsze się tak dzieje. Powiedziałem ci to, czego fałszywa delikatność dotąd powiedzieć mi nie pozwalała, zrzuciłem ciężar z serca, a na sercu również mi ciężko i bardzo mi smutno, moja Helusiu!

Podniosła jego rękę do ust, jak to czynić była zwykła od dzieciństwa.

— Niech mi wujaszek przebaczy! Nie myślałam nigdy, że kiedykolwiek w życiu zrobię wujaszkowi przykrość i że go zasmucę! Chciałam ratować Konrada dlatego, że go wuj kocha, dlatego, by w nim uratować wujowi przyjaciela.

— Helusiu, ty to uczyniłaś dla mnie?

— Wuj był nieszczęśliwy... chciałam ochronić od nowych ciosów... A teraz z mojej winy, z mojej nietaktowności się dzieje, że wujaszka martwię i napełniam obawą o moją przyszłość... Wujaszek był taki dobry dla mnie... przytulił tu sierotę i dał jej to, czego pragnęła najgoręcej, swoje przywiązanie. Od chwili, w której tu przybyłam miałam jeden cel: dogodzenia wujaszkowi we wszystkiem. I przyrzekając Konradowi chciałam... chciałam to uczynić dla wuja!

— Helusiu, moje dziecko, to było szaleństwo!

Przerwała mu, tuląc się do niego:

— Nie szaleństwo, jeżeli potrafię spełnić zadanie, jeżeli dam mu szczęście, jeżeli go uratuję od

melancholji i rozpaczy! Wujaszek zobaczy... Jaki wujaszek dobry... przed chwilą okazał mi tyle serca...

— Wątpiłaś, że cię kocham, Heluś?

— Nie, nie wątpiłam, ale tak miło mieć jeszcze jeden dowód...

Walczył z sobą, żeby jej nie objąć ramieniem i nie położyć swoich ust na jej ustach.

— Idź do Stenieczki — rzekł z wysiłkiem — ona tam pewno z niecierpliwością cię wygląda. Idź, idź, moje dziecko!

— Wujaszek chory?

— Nie, nie, położę się trochę, głowa mnie bardzo boli.

Szedł, jak pijany, do swoich pokojów, a znalazłszy się sam, ukrył czoło w dłoniach. Czuł, że potrzebował zebrać przytomność, która go odbiegała, i mówił sobie, że musi spełnić odrazu całe zadanie, jak się duszkiem wypija gorzkie lekarstwo. Postanowił natychmiast pomówić z Konradem i, znalazłszy go w jego pokoju, przystąpił odrazu do rzeczy. Był już zupełnie panem siebie i czuł, że potrafi się postawić na stanowisku człowieka bezstronnego.

— Pamiętasz, Konradzie — ozwał się spokojnie, i poważnie, — żeś chciał ze mną pomówić w wigilję waszego wyjazdu do Warszawy. Ja wtedy uchyliłem się od tej rozmowy. Był to z mojej strony postępek nieszczery, z czego się chcę przed tobą wytłomaczyć.

— Nie tłómacz się — zawołał Konrad — tylko teraz bądź szczerym i niech cię odnajdę znowu, bo mi się zdawało w ostatnich czasach, żem cię utracił.

— Pozwól mi mówić. Czułem się w fałszywem położeniu... nie mogłem się zdobyć na odwagę podkopania tego, w co wierzysz, ale po waszym wyjeździe w samotności i spokoju zrozumiałem, że choćbym cię miał zranić najboleśniej, muszę ci powiedzieć, co myślę.

— Co mi masz do zarzucenia? — zapytał Konrad gwałtownie.

— Nic ci nie zarzucam, tylko mi ciężko wypowiedzieć... Konradzie, czy ty jesteś pewien, że cię Helusia kocha?

— Powiedz odrazu, iż sądzisz, że mię nie kocha!

— W istocie tak sądzę.

Konrad pobladł śmiertelnie.

— Jam to sobie i jej powtarzał, ale temu nie wierzyłem. Widocznie nie wierzyłem, bo to na mnie spada, jak coś nowego, coś strasznego... Nie, to być nie może! Michasiu, przecie ona z własnej woli chce zostać moją żoną!

— Tak, ale chce uszczęśliwić ciebie. O własnem szczęściu nie myśli.

— Ale ja jej to szczęście dam! Ona mię może nie kocha namiętnością, bo w niej się jeszcze serce do namiętności nie przebudziło, ale ma dla mnie dość przywiązania i sympatji, by na ich tle mogła się powoli zrodzić miłość!

— To gra niebezpieczna i zawodna!

— Wiem, że wymaga ona niesłychanego taktu, cierpliwości, zaparcia się siebie! Ja na to wszystko się zdobędę! Niech ona tylko zostanie moją żoną, niech ją mam niepodzielnie pod moim wpływem!

— Chcesz więc niekochającą wprowadzić pod twój dach i, zostawszy jej mężem...

— Jestem przygotowany na wszelkie ofiary z siebie! Będę czekał cierpliwie choćby lata całe, by ona z własnej inicjatywy moją została!

— Przeceniasz swoje siły. To są rzeczy niepodobne w praktyce!

— Ale dla mnie staną się podobne za sprawą miłości! Helusia jest dla mnie zbawieniem; dla zbawienia ludzie znajdowali siłę na męczeństwo!

— Jesteście oboje szaleni—i ty, i ona! Obojgu wam chciałem otworzyć oczy!... Daj Boże, bym to ja się mylił, a nie wy!

Uściskali się. Rozgorączkowany Konrad nie poczuł, że uścisk Michała był zdawkowy i sztywny.

— W każdym razie — rzekł z zapałem, — dziękuję ci, żeś był szczery, żeś mi nie oszczędzał uwag, które masz za słuszne i które względnie są słuszne bardzo. Raczej byłyby słuszne, gdyby chodziło o inną, niż o Helusię. Trzeba zrozumieć, że to wyjątkowa istota, w której tę miłość, co to jest zakochaniem się, trzeba wypielęgnować sztucznie!

— Zdaje mi się, że powiedziałeś zupełną niedorzeczność.

— Może. Daruj mi i pozwól uczynić tę niebezpieczną próbę, od której zależy mój ratunek! Będę teraz miał podporę w myśli, żeś ty nie przestał mię kochać! Ja się gryzłem, trapiłem i strasznie męczyłem myślą, że ty już dla mnie nie jesteś takim, jakim byłeś dawniej. Teraz widzę, że się myliłem. Ta troska przynajmniej spadła mi z serca!

Michał pod pozorem jakiegoś gospodarskiego zajęcia uciekł poprostu od Konrada. Czuł, że na szaleństwo tego marzyciela nie było ratunku i że w tej chwili żadne słowa nie mogły oświetlić przed jego oczami prawdy, której nie widział. Gospodarstwo i rozliczne sprawy sąsiedzkie i gminne były teraz ratunkiem Michała. Trzeźwił się, panował nad sobą, zagłuszał cierpienie pracą i miłość swoją topił w ciągłej baczności na obowiązek danej chwili. A gdy myśl o tem, że będzie musiał patrzeć na ślub Helusi z innym, rozdzierała mu serce, wtedy z męzkim hartem mówił sobie, że byleby nie widział jej nieszczęśliwą, własną niedolę wycierpi bez jęku.

Helusia usiłowała postępować w myśl powziętych postanowień. Starała się przebywać więcej z Konradem, który ze swej strony stał się spokojniejszy, nie wybuchał namiętnością, nie czynił jej wymówek, nie wywoływał wyznań. Powrócili do fortepianu, do rozmów o muzyce, przyjacielskich pogawędek. Helusi zadanie poczęło się znowu wydawać łatwe. Konrad był pewien, że uczynił w ostatnich czasach postęp ogromny w jej sercu, jakieś weselsze słońce zabłysło nad ich horyzontem. Ona uśmiechała się, rada z jego dobrego usposobienia, w nim gromadziły się niewypowiedziane wyznania, powstrzymywane objawy uczucia.

Pewnego dnia w bibljotece spisywali listę osób, którym trzeba było posłać zawiadomienie o przyszłym ich ślubie.

— Jakież to nudne i nieznośne wszystkie te zwyczaje, które tylko zabierają czas i myśl zaprzątają drobiazgami! — ozwał się Konrad. — Przytem to kłamstwo! Ja o tych wszystkich, którym posyłam oznajmienia, nic a nic nie myślę! Łamię sobie głowę, by ich sobie przypomnieć, nic o nich nie dbam!

— A mnie miło pomyśleć o tych wszystkich, których znam i którzy mi są w jakikolwiek sposób przyjaźni lub tylko życzliwi — odparła Helusia.

— Mnie zaś każda rzecz taka cięży, bo mi ciebie zabiera! Chodź, wstań od tej roboty, szkoda czasu!

— Wszak nie mamy innego zajęcia.

— Pójdźmy do ogrodu, porozmawiamy swobodnie. Zawsze mi się zdaje, że mam ci tyle do powiedzenia!

Zbliżyli się do drzwi szklanych, prowadzących do ogrodu, lecz spostrzegli że deszcz pada, więc poczęli chodzić koło stołu, a Helusia położyła rękę na ramieniu Konrada, mówiąc:

— Wyobraźmy sobie, że idziemy na spacer.

— O widzisz, Helusiu. Tak mi jest dobrze! Z twoją ręką, którą przy sercu czuję, sam na sam z tobą! Widzisz, ja przecież tak mało wymagam! Bylebyś mi swoją osobą zasłaniała świat cały!

Żałowała już, że rękę na ramieniu jego oparła, bo już ją więził w swej dłoni, już ją przyciskał do serca, którego bicie czuła wyraźnie.

— Ach, Helusiu, jak nam będzie dobrze, gdy będziemy samiuteńcy, we dwoje w Stroczynie! Jak nam będzie dobrze! Dziecko moje, nikt cię tak nie kochał i nikt cię tak kochać nie będzie nigdy! Helusiu moja!

Rękę jej do ust gorących przyciskał. Ona usiłowała zapanować nad szalonem pragnieniem ucieczki.

— Jeżeli wyrwę rękę, to się znowu obrazi! — myślała z rozpaczą, a wstręt do jego wąsów wzbierał w jej piersi.

Nagle jego ramię opasało jej kibić, przyciągnęło ją ku sobie namiętnie. Poczuła jego oddech na swej twarzy, i jego usta do jej ust przylgnęły.

Krzyknęła. Wstręt i odraza zdwoiły jej siły, wyrwała się z jego objęcia i bezprzytomna uciekać poczęła. W przyległym pokoju spotkała Michała, któremu padła na piersi drżąca cała, szepcąc:

— Nie mogę, nie mogę!...

— Co się stało? Helusiu, co ci jest? Moje dziecko, uspokój się! Chodź, napij się wody! Co cię przestraszyło?

Nie rozumiała sama siebie i nie umiała wytłomaczyć, co się z nią działo. Wstręt, przerażenie, trwoga przed czemś, co jej groziło, mieszały się w jej sercu z niezadowoleniem z siebie, kiełkującym wyrzutem sumienia.

— Powiedz, co się stało?

— Przepraszam... to taka głupota z mojej strony... tak nie umiem panować nad sobą i nie wiem, co się ze mną stało...

— Ale przecież coś cię przestraszyło czy wzburzyło?

— Nic, nic, to przejdzie!

Pomyślała, że zmartwiłaby Michała, gdyby mu powiedziała. Wreszcie jakże mu powiedzieć? Co mu powiedzieć?

— Przepraszam, że wujaszka niepokoję sobą! Już będę rozsądna... sama nie wiem, co się ze mną stało.

Odsunął ją od siebie i spojrzał w jej twarz, na której paliły się rumieńce oburzenia, wstydu i wstrętu. Jakieś niejasne przeczucie powiedziało mu, że przyczyną stanu rozdrażnienia Helusi był Konrad, że to on jakąś nietaktownością doprowadził tę spokojną i zrównoważoną istotę do stanu rozgorączkowania.

— Już sobie pójdę, już się uspokoję...

Ale on trzymał ją silnie za ramiona i wciąż wpatrywał się w jej oczy, spuszczone od wstydu, w jej twarz oblaną gorącą łuną rumieńca. I zrozumiał. Nie potrzebował jej wyznania; wydało mu się, że wszystko stało wypisane na jej czole. Tej twarzy dziewiczej przed chwilą ośmieliły się dotknąć usta pożądliwe! Ból niepohamowanej zazdrości ukąsił go w serce, wydało mu się, że pogardza Helusią, że jej nienawidzi i że uspokoiłoby go dopiero zanurzenie sztyletu w jej piersiach. Z jego ust wydarł się jakiś głuchy, tępy jęk, na którego dźwięk Helusia podniosła wzrok i ujrzała oczy gorejące jakimś szałem, jakąś złością czy żądzą zemsty. Poczuła wpijające się w jej ramiona palce, które po chwili odepchnęły ją, jak coś skalanego, czego dotknięcie brudziło. Nie rozumiejąca, przerażona, zdziwiona stała, jak skamieniała, oczami pełnemi trwogi wiodąc za odchodzącym Michałem. Co mu się stało? On się gniewa na mią? Za co? Za co? Gniewał się! Po raz pierwszy od czasu, jak go poznała, gniewał się na nią! Chciała biec za nim, lecz ją powstrzymała owa dawna, dziecięca nieśmiałość, którą miała względem niego i która w tej chwili w jej sercu odżyła. Poczu-

ła się po raz pierwszy bezmiernie nieszczęśliwą. To, co jak słońce dotąd jej życiu przyświecało, to, co kierowało wszystkiemi jej postępkami, teraz stało się ruiną. Żyła myślą otoczenia pogodą raz już złamanego życia, każdy uśmiech Michała był jej rosą ożywczą, był celem wszystkich jej usiłowań, a teraz przed jej oczami uśmiech zastąpiła pogarda, gniew, jakieś dzikie cierpienie! Co mogło być powodem tego, że ją odepchnął od siebie, że zamiast dawnego przywiązania, które ten dom uczyniło jej drogim, dziś wybuchnął względem niej nienawiścią?

Wbiegła do swego pokoju, czując jakby ranę w piersi. On się gniewa, on jej nienawidzi! Za co... za co? dlaczego?

Wśród bólu, który jej młode serce dotykał po raz pierwszy w ten sposób poczuła jeszcze coś innego, coś co jakby wstrętny gad przejmowało ją odrazą. Przypomniała sobie ową chwilę. Pobiegła do umywalni i twarz zanurzyła w wodzie. Wszak na niej czuła jeszcze ten oddech, to przypicie się ust... Oblewała i myła oblicze, zrozumiała jednak, że ten ślad niewidzialny, a odczuwany tylko, zmyć się nie da. Była obrażona i dotknięta, a zarazem pełna odrazy. Przecie nieraz odbierała i dawała pocałunki, ale w tym, którego z ust swoich zmyć nie mogła, było coś szczególnego, coś, czego wytłómaczyć sobie nie umiała, a co ją oblewało wstydem, ale przedewszystkiem przejmowało ją wstrętem i odrazą. Jej pałająca gorączką głowa była teraz pełna jakiejś świadomości, która ją ogarnęła nagle, jak płomień. Zrozumiała, że jej dla Konrada brakło upodobania, o którem mówiła babka. Zdawało

jej się dotąd, że ma gorącą chęć uszczęśliwienia go, że potrafi całe życie włożyć w ten ratunek człowieka, który był tak drogi Michałowi; teraz ta przyszłość wydawała jej się straszną i odwracała od niej oczy z odrazą. Czuła się zbłąkana, nieszczęśliwa, samotna, a jej zwykle tak spokojne, pogodne i pewne siebie uczucia zwichrzyły się nagle w burzliwym nieładzie. Jak tu wyznać i przed kim to wszystko, z czego nawet przed sobą nie umiała zdać dokładnej sprawy? Co powiedzieć Konradowi, którego tak długo łudziła, a którego teraz zraniłaby śmiertelnie? Coby o niej pomyślał Michał, którego kilka dni temu zapewniała... Zresztą najsmutniejszem i najokropniejszem było to, że Michał się gniewał, że na nią spojrzał z takim wyrazem nienawiści...

Nie pojmowała przyczyny, ale znieść nie mogła myśli, że mu przestała być drogą, że już jej w swem sercu obok Stenieczki nie stawiał. Rozgorączkowanie i podniecenie nerwowe, które coraz mocniej w jej skroniach pulsowało, pozwoliło jej na powzięcie nagłej decyzji. Spiesznym krokiem poszła ku pokojowi Michała, którego drzwi były otwarte i w którym go ujrzała w podróżnem ubraniu z torebką przewieszoną na plecach.

— Wujaszek wyjeżdża? — zawołała, patrząc na niego pałającym wzrokiem — wujaszek się spieszy, a ja chciałam...

Odwrócił się, ujrzała twarz powleczoną tym wyrazem bolesnego, a kamiennego spokoju, który na niej widywała przed laty.

— Dobrze, żeś przyszła, Helusiu. Mam bardzo ważny interes, który mnie zmusza do natychmiastowego

wyjazdu na dni kilka. Powiem, dlaczego wyjeżdżam... Jestem chory... uczyniłem cię nawet świadkiem paroksyzmu, który cię musiał zadziwić... cierpiałem bardzo w owej chwili i nie mogłem zapanować... taki paroksyzm chwyta tak nagle... Helusiu, tobie jednej powiedziałem... nie powtórzysz nikomu. Wiem, że jesteś dyskretna...

— Wujaszek chory!... pojedzie sam? Przecież kogoś potrzeba... niech mię wujaszek zabierze!

Uśmiechnął się smutnie.

— Nie, moje dziecko, nie potrzebuję co godzina podawanego lekarstwa, ani czuwania przy mojem łóżku...

— Ale co to za choroba? Czy wujaszek już się radził? Do jakich lekarzy wujaszek się uda?

— Nie wiem jeszcze, ale będę się starał leczyć się porządnie. Chciałbym odzyskać zdrowie, które jest potrzebne dla Stenieczki.

— I dla mnie, i dla nas wszystkich! Wujaszek musi mi dać jedno przyrzeczenie, o które gotowa jestem prosić na klęczkach. Wujaszek będzie pisywał do mnie co dwa dni i będzie mi wujaszek pisał całą prawdę!

— Całą prawdę? Nic mi nie grozi przecie. Widzisz mię silnym i wytrwałym... Pisywać nie przyrzekam, a za parę tygodni wrócę tu do was.

— Parę tygodni bez wiadomości, gdy ktoś drogi jest chory!...

— Widzę, żem źle uczynił mówiąc ci o mojej chorobie...

— Jabym się była sama w końcu domyśliła może... A byłam taka niewdzięczna i niemądra, żem przypuściła, że to był gniew, że to była niechęć do mnie!

Mówiłam sobie, że wszystko lepsze nad to, a teraz widzę, że jest coś jeszcze gorszego... choroba wujaszka!

Przy tych słowach chciała, jak miała zwyczaj, schylić się do jego ręki i podać mu czoło do pocałunku, lecz on odsunął ję lekko od siebie i sam cofnął się o parę kroków.

— Nie mów nic nikomu, Helusiu — rzekł sztywnie i chłodno — chciałem tylko wytłomaczyć się przed tobą, z tego, coś była świadkiem... Nie mów Konradowi, któryby chciał jechać ze mną, a ja potrzebuję być sam!

Helusia, którą do Michała przywiodło pragnienie przebłagania go, jeżeli się gniewał, a przedewszystkiem dowiedzenia się, co myślał, która przed chwilą była pewna, że był chory, lecz ten sam co dawniej, teraz poczuła się oblaną zimną wodą i dawna nieśmiałość, krępująca ją względem niego, zmroziła słowa, cisnące się do jej ust. Stała bez ruchu zalękniona, rozżalona, bliska płaczu.

— Bądź zdrowa. Nie będę się żegnał z nikim, nawet ze Stenieczką. Napiszę z drogi do pani Gozdawiny.

Helusia chciała zapytać o adres, lecz usta jej poruszyły się tylko, a słowa przez nie przecisnąć się niezdołały.

— Przepraszam cię, mam jeszcze dyspozycję wydać rządcy.

To była odprawa. Helusia wyszła cicho, z rozdartem sercem, czując, że je podeptano, że je odepchnięto; wyszła, zamknąwszy w sobie cały ten poryw uczucia, które tu niosła z taką czcią i zapałem. Myśli zmieszały się w jej głowie, wiedziała tylko, że cierpi

że tej obojętności i chłodu Michała znieść nie jest w stanie. Powiedział, że musi być sam! Nie chciał przy sobie nikogo i chory, sam jeden puszczał się w podróż, nie dawszy nawet nikomu adresu swego. Pragnęła zobaczyć go jeszcze przed odjazdem, a przecie przed oczy stanąć mu już nie miała odwagi, więc bocznemi drzwiami wymknęła się do ogrodu i w altanie, z której był widok na drogę czekała, cała drżąca, wypatrując oczy ku zakrętowi, z którego miał się jej pokazać odjeżdżający Michał. A gdy nareszcie ujrzała bryczkę, na której siedział, i jego samego z pochyloną głową i zamyślonem czołem, wydało się jej, że spełnia się nad nią coś strasznego, jakiś wyrok nieubłagany, któremu ona, bezsilna, oprzeć się nie może, a który ją gruchocze i łamie. Osunęła się na ławkę altany i łzy zalały jej twarz. Ze wzburzonych jej uczuć, z tego pocałunku, który przejął ją dreszczem wstrętu, z zimnego obejścia się z nią Michała i z tej tęsknoty, która ją teraz pochłonęła, wyrosło dla niej światło. Tą miłością, o której mówiła pani Gozdawina, ona kochała Michała! Nie mogła w tej chwili spojrzeć w oczy domownikom, nie mogła znieść obecności Konrada. Narażając się więc na niezadowolenie babki, na zapytania Stenieczki, poszła sama ku lasowi, przez który tyle razy chodziła i jeździła z Michałem. Samotność, drzewa, szumiące nad jej głową, zmęczenie długim spacerem, przyniosły jej ulgę. Szukano jej na wszystkie strony, dopytywano się o powód samotnej wycieczki, lecz ona zniosła obojętnie zdziwienie i wymówki babki i Stenieczki. Zachowanie się Konrada sprawiło jej ulgę. Był obrażony, ale szczególniej po-

zował na obrażonego. Cierpiał i miał ochotę wybuchnąć, lecz burzę wewnętrzną pragnął ukryć pod pozorami milczenia i umyślnego ignorowania Helusi. Nie patrzał w jej stronę, nie zwracał się ku niej, zadawał sobie gwałt rozmowy z panią Gozdawiną. Helusia była nieczuła na wszystko, co ją otaczało, przed oczami miała postać pochylonego z chmurnem i zamyślonem czołem Michała, przeżywała na nowo wszystkie wydarzenia dnia i była w tego rodzaju przytomnym obłędzie, który wywołuje zbytek wrażeń i cierpienie.

Miłość Helusi urodziła się z bólu i żyła dalej w bólu. Nie miała ani jednej chwili tych snów różowych, które ją kołyszą przy jej narodzinach. Odrazu stanęła przed nią tragiczna, niosąca cierpienie i tęsknotę. Biedny Konrad ani się domyślał, że jego pocałunek rozjaśni przed Helusią tajemnicę jej serca. Żałował gorzko, że się dał unieść namiętności, że znowu zapomniał o postanowieniach, że popsuł jednym wybuchem pracę rozpoczętą. Spostrzegłszy, że postawy obojętności i obrazy, jaką przybrał, Helusia nawet nie dostrzegła, stał się znowu pokornym i niewymagającym. Śledził tylko Helusię zdaleka i nie szukał zbliżenia się do niej, spostrzegł bowiem, że go się bała i odsuwała się przestraszona, ile razy sam na sam z nią będąc chciał się do niej przysunąć.

I on ciężkie przebywał chwile. Jego nadzieja, że Helusia go pokocha, zaczynała się w nim chwiać. Był nieszczęśliwy nad wszelki wyraz i chwilami przypuszczał, że ten gmach przyszłego szczęścia, który so-

bie wybudował własnemi rękami, był tylko tworem jego wyobraźni.

Była to smutna para narzeczonych. Ona z takim niepokojem o chorego a oddalonego Michała w sercu, że o niczem innem myśleć nie mogła i że ten niepokój wyrastał dla niej chwilami na coś tak strasznego, że aż prawie przytomność odejmującego, on śledzący codzień bledszą i coraz bardziej strwożoną dziewczynę wzrokiem coraz smutniejszym i coraz bardziej beznadziejnym.

Pani Gozdawina zbyt bystre miała oko, by dziwne zachowanie się narzeczonych uszło jej uwagi. Zamykała jej wszakże usta odnawiająca się dawna jej rana. Znowu poczuła się w tym domu samotna i niepotrzebna. Michał wyjechał, nie powiedziawszy ani słowa i przysławszy tylko ze stacji parę słów pospiesznych, nie objaśniających niczego; Stenieczka patrzała w oczy Helusi jedynie; Konrad i Helusia ukrywali też coś przed nią, jakieś bolesne przejścia! Na domiar przykrości przybyła nowa nauczycielka Stenieczki, sztywna i niemiła, przy której dziecko cierpiało i która wniosła do domu jakiś pierwiastek nienaturalności i nieszczerości. Była to osoba pełna szlachetności i serca, ale sobie wiecznie wyobrażała, że ją ktoś obraża lub obrazić pragnie. Miała przesadne pojęcie o należnych jej względach i pozą na sztywność i niedostępność owe względy zapewnić sobie usiłowała. Próby Helusi osłodzenia dziecku pierwszych chwil przebywania z obcą osobą panna Rębicka poczytała za nastawanie na swoje atrybucje i odrazu stanęła murem między dzieckiem a Helusią. Musiała ustąpić Helusia, nie mając prawa

sprzeciwiać się woli Michała i pani Gozdawiny, z którą rozmowy unikała, bojąc się zapytań co do Michała i konieczności popełnienia kłamstwa, że nic nie wie o powodach jego nagłego wyjazdu.

Zresztą pragnęła teraz samotności. Było jej najlżej, i czas płynął jej najprędzej, gdy wyszedłszy przez ogród boczną furtką na drogę, wiodącą ku stacji, szła, wytężając wzrok i z biciem serca oczekując zbliżenia się przechodniów i przejezdnych. Może idący niesie telegram, może idący — to Michał, który często najętą furmanką wracał ze stacji do domu. Gdy śledziła czarny punkt, ukazujący się na horyzoncie i widziała go potem, jak rósł przed jej spragnionemi oczami i wreszcie zbliżał się w tumanie kurzu, wtedy przejmowała ją gorączka, przyspieszająca uderzenia jej serca, a zmieniająca się nagle w przygnębienie i upadek natężonych sił, gdy nadjechał obcy człowiek. Po sto razy zawiedziona wracała wreszcie do domu, snując tysiące przypuszczeń, które w nocy wśród podniecenia bezsenności przybierały czasem tak dziwaczne odmiany, że się samej Helusi przy jasności dnia wydawały śmiesznemi. Konrad, jako osobistość żywa, zmalał i prawie znikł z jej oczu. Istniał jedynie, jako ołtarz ofiary, którą dla Michała tembardziej uczynić pragnęła teraz, gdy był chory i jakiś znowu nieszczęśliwy. Ale to wszystko miało być później, kiedyś. Teraz musiała się doczekać jego powrotu lub iść w świat go szukać, iść kołatać do wszystkich drzwi i nareszcie go odnaleźć, ratować go, wydrzeć tej chorobie, która go nurtowała! Powoli pragnienie ujrzenia Michała stało się w Helusi silniejsze niż wszystko. Czy miała milczeć do końca? Czy

nie miała prawa wyjawić nikomu tajemnicy? Wszak wyraźnie powiedział, że chce, że musi być sam? Brzemię tych wszystkich wątpliwości było bardzo ciężkie na młode ramiona Helusi. Była skrępowana i obezwładniona przez te wszystkie względy rodzinne i światowe, które jej przeszkadzały do działania. Nie miała prawa powiedzieć nikomu prawdy; jakże mogła opuścić Minowice sama, nie wyznawszy pani Gozdawinie, że biegła na ratunek Michała!

Konrad nie rozumiał nieobecności przyjaciela i poczynał się nią niepokoić.

— Nie mam pojęcia, gdzie ten Michaś siedzi! — rzekł raz niecierpliwie. — Od jakiegoś czasu ma wciąż nieznane nikomu interesy, które go z domu wypędzają! Wiecznie tak czemś zajęty, że się z nim dogadać nie można. Gdzie on może teraz być? Dopytywałem się Szymona, który powiada, że ty byłaś w jego pokoju przed jego odjazdem. Czy nie mówił ci kiedy wróci?

— Nie, nie mówił mi tego.

— I wogóle nic ci nie powiedział, gdzie i po co jedzie?

Helusia zaczerwieniła się mocno, zawahała się.

— Nie powiedział mi gdzie jedzie.

— I nawet nie domyślasz się niczego? Moja Helusiu, nie czyń przede mną tajemnic, bo moje nerwy poprostu ich nie znoszą. Wolę najstraszniejszą prawdę, niż niepewność. Powiedz mi więc wszystko, co wiesz?

— Nic nie wiem takiego, cobym powiedzieć mogła, i dla tego nic nie powiem.

Spojrzał zdziwiony, czoło jego spochmurniało.

— Co? Są takie rzeczy, które Michaś może powiedzieć tobie, a których mnie nie mówi? Czy się obawiacie rozdrażnić mię, czy nie ufacie mojej dyskrecji?

Helusia milczała, lecz na jej gładkiem czole wyczytać było można postanowienie niezłomne.

— Nie lubię kobiet zaciętych i upartych! — zawołał Konrad.

— Jakie to dziwne,—rzekła spokojnie Helusia — że tę wytrwałość, którą u mężczyzn nazywają siłą woli, u kobiet nazywają uporem!

— Bo w takiem dziecku, jak ty, nie może być wyrozumowanej siły woli, może być tylko ślepy upór.

Po tym wybuchu spuścił głowę, usta mu zadrżały wyrazem bólu i rzekł cicho ze smutkiem w głosie:

— Mnie się zdaje, że twoja chęć zostania moją żoną jest też tylko uporem!

— Czy mam się jej wyrzec?

— Nie, nie, Helusiu, nie odstępuj ty mię, bo mam ciebie już dziś jedną tylko! Miałem tę przyjaźń, najgorętsze uczucie mego życia, ale odchodzi ona ode mnie i stygnie i umiera! Myślałem, że to los miłości jedynie, że tylko ona skazana jest nieodzownie. Jak motyl, tak ona nieubłaganie zmienia się w liszkę szacunku, przychylności, przyzwyczajenia, nienawiści, pogardy, obojętności lub zapomnienia. Ale widzę dziś, że to los wszystkich uczuć, że wszystkie idą tą samą drogą, że niema ani jednego wybranego na trwałe istnienie.

— To fałsz! — rzekła Helusia.

— Nie, Helusiu, to prawda! Bolesna i przejmująca wstrętem do życia prawda! Tylko, że jak we

wszystkiem, tak i tu natura ma okrucieństwa swoje i ustanowiła dziwne prawo, że uczucie wzajemne nie umiera naraz we dwóch sercach. Zwykle wygasa w jednem tylko i wtedy w drugiem sercu potęguje się ono przez żal, przez usiłowanie podtrzymania bratniego, gasnącego płomienia, przez daremne jęki i przez uczucie własnej niemocy. Ktoś uczynił bardzo prawdziwe porównanie, że dane uczucie jest w ten sposób rozdzielone i położone na szalach, że ile jedna szala bardziej idzie w dół, tyle druga się podnosi. I wtedy cały ogrom uczucia, który z początku napełniał dwa serca, teraz przepełnia i tłoczy jedno tylko, zanim nakoniec nie wystygnie. Nie mówiłem z tobą nigdy o tem, ale musisz się domyślać, że nie jesteś pierwszą kobietą, którą kocham.

— Nie, wcale się tego nie domyślałam!

— Jakto? Nie myślałaś nigdy o przeszłości mojej i nigdy nie zadałaś sobie zapytania, czy kochałem już kiedy?

— Nie. Może dlatego, iż sądziłam, że się kocha raz jeden tylko.

Uśmiechnął się i powstała w nim ochota obudzenia zazdrości w Helusi o przeszłość.

— Kochałem nieraz i bywałem kochany...

— Więc czemu się pan nie ożenił?

To pytanie wprawiło Konrada w ambaras. Jak tu tej młodej istocie, rozumiejącej wszystko po dziecinnemu i poprostu, mówić o tych uczuciach skomplikowanych, pełnych nierówności, sięgających łakomie po owoc zakazany, rozczarowujących się w stosunku prostym do otrzymanych względów.

— Ja się bałem małżeństwa — odparł po chwili. — Bałem się tego strasznego „na zawsze", które mię przy tobie pierwszej nie odstręcza.

— Więc skądże pan wie, że te panny pana kochały?

— Jakto, skąd wiem? Przypuszczasz, że to, co mówię, jest samochwalstwem?

— Zatem pan musiał im o swojej miłości mówić!

— Sądzisz, że mogło być inaczej?

— Więceście sobie wzajemnie miłość waszą wyznali?

— Naturalnie.

— I po takiem wyznaniu nie pobraliście się? Pan zrywał, czy one? A, rozumiem, poświęcał pan miłość dla przekonań, w których nie zgadzaliście się.

— Gdzież tam! Zrywał czas, siła rzeczy i owa nieubłagana śmierć uczucia, o której ci mówiłem.

— Więc jeżeli tak jest — rzekła, — to poco zostawać mężem i żoną? Jeżeli pan wie, że mię kochać przestanie, to poco pan chce, bym była z panem całe życie?

— Jakie z ciebie dziecko, jakie dziecko! Z tobą zupełnie nie można mówić, jak z kobietą dojrzałą! Czy ty nie rozumiesz, że ty i tamte to zupełnie co innego!

— Dlaczego co innego?

— Bo ty przyszłaś w takiej chwili mego życia, w której wszystko stało mi się ciemnościami wokoło. Ty jesteś słońce! Słońce się nie przykrzy!

Mówił dalej dziwacznie i nerwowo, porównywując Helusię do liny, którą rzucają tonącemu i którą on chwyta, jak nadzieję zbawienia, ale spostrzegł, że go

Helusia nie słucha. Na twarzy jej następowały naprzemian bladość i rumieńce, oczy rozwarte były szeroko. Zdawała się nasłuchiwać. I do jego uszu doszedł turkot.

— Wuj!

Helusia biegła ku przedpokojowi, a gdy zobaczyła, że przed domem przejeżdżał poprostu wózek, wiozący trawę z ogrodu, rzuciła się na krzesło i wybuchnęła płaczem.

Konrad po raz pierwszy odczuł zazdrość.

— Ona go więcej kocha, niż mnie! — przemknęło mu przez głowę, lecz myśli tej nie wypowiedział głośno. Z rosnącą w piersi gwałtownością patrzał na płaczącą wzrokiem, który chciał dotrzeć aż do głębi duszy.

— Czego płaczesz? — rzekł wreszcie gniewnie, biorąc jej ręce i ściskając je jak w żelaznych kleszczach.

Spojrzała, jakby nie rozumiała.

— Zapytuję cię czego płaczesz? Co się z tobą dzieje, Helusiu?

Puścił jej ręce, gdyż w myśli jego nastąpił zwrot.

— Czy może ty wiesz co o Michasiu? Czy on jest w jakiem niebezpieczeństwie? Co mu grozi? Mów mi wszystko bez ogródek! Może potrzebuje pomocy? Nie sądź, że mu jej dać nie mogę! W codziennem życiu bywam nierówny, ale gdy potrzeba, jestem silny i przytomny!

— Ja sama nie wiem, czego płaczę! Muszę się schować z temi niemądremi łzami! Żeby czasem babcia nie zobaczyła!

Były niemądre i niepotrzebne. Czuła to dobrze i, znalazłszy się w swoim pokoju, zawstydziła się ich

sama przed sobą. Miała być dla Konrada ukojeniem i podporą, a sama wpadała w rozdrażnienie i wybuchała płaczem na widok fury napełnionej trawą. Wszak pomimo, że się wysilała na spokój, traciła co chwila panowanie nad sobą. Pragnienie szukania Michała, biegnięcia ku niemu, pielęgnowania go w chorobie stawało się myślą natrętną, a wkońcu wyłączną. Wychodzenie w dzień na drogę, w czem Konrad śledzić ją począł, już jej nie wystarczało. W nocy, gdy leżała bezsenna zdawało jej się bezustannie, że słyszy turkot. Odrywała głowę od poduszki, nasłuchiwała... Była cisza, lecz gdy tylko głowę złożyła, znowu powracało złudzenie. Słyszała wyraźny turkot kół. Zmęczona i podniecona wstawała z łóżka, ubierała się pospiesznie i szła do okna, przez które wychylona wsłuchiwała się w cichość nocy, przerywaną dalekiemi odgłosami, dochodzącemi od budynków folwarcznych i wsi. Czasem woddali rozległ się w istocie turkot toczących się kół. Wtedy ogarniało Helusię gorączkowe podniecenie. Stawała się cała oczekiwaniem, wszystkie jej władze skupiały się w wytężonym słuchu. Zamiary jej na przyszłość, zbliżający się termin ślubu — wszystko znikło z jej oczu. Pragnęła tylko wiedzieć, gdzie jest Michał i biec ku niemu. Zły duch, pomagający do rozwoju miłości, potępianych przez sumienie, i tym razem działał bez wiedzy protegowanych. Podszepnął Michałowi myśl o wyjeździe i o wykręcie, wprowadzającym Helusię w błąd co do jego zdrowia. Najwytrawniejszy szermierz, walczący o zdobycie serca, nie byłby mógł działać zręczniej. Nagły wyjazd bez powiedzenia dokąd, zmyślona choroba, odepchnięcie

wyciągniętych do uścisku ramion... Biedne serce dziecka przez ból stało się nagle sercem kobiety.

W rozgorączkowanej wyobraźni Helusi powstawały rozmaite zamiary, których wykonanie okazywało się niepodobnem. Zapytywała siebie, czy nie należało przez rozum zdradzić tajemnicy choroby Michała, ale cześć dla jego zaleceń powstrzymywała ją jeszcze. Całą mękę niepokoju zostawiała dla siebie, rozbierając się i kładąc się do łóżka dopiero nad ranem.

Pewnej chłodnej i wietrznej nocy, wychylona przez okno, wsłuchana w szum wiatru, który łudził ją czasem, przybierając podobieństwo do odgłosu turkotu kół, wołania, jęku, Helusia rozróżniła tym razem naprawdę odgłos toczącego się powozu. Zerwała się od okna i sama nie wiedziała kiedy, z sercem bijącem młotem znalazła się u drzwi wchodowych. Otworzyła je i ujrzała wchodzącego po stopniach ganku Michała.

— Co to znaczy, — zapytał — że nie spisz o tej porze i że się nie rozbierałaś?

Głos jej drżał, gdy odparła:

— Spać nie mogłam i usłyszałam turkot...

Wszedł do ciemnego przedpokoju, mówiąc:

— Spać nie mogłaś? Czy jesteś niezdrowa?

— Owszem, zdrowa jestem.

W tej chwili ze świecą w ręku wpadł rozespany służący. Michał spojrzał na Helusię pobladłą i drżącą i, dawszy rozkaz wniesienia rzeczy pozostałych w dorożce, wziął świecę, mówiąc:

— Chodź za mną Helusiu!

Doznawała zawsze względem niego onieśmielenia, ile razy był surowy i poważny. Teraz nieśmiałość spo-

tęgowała obawa, by nie był z niej niezadowolony i nie miał jej za złe czuwania i tego znalezienia jej w nocy u drzwi wchodowych.

Wszedłszy do swego gabinetu, Michał zapalił światło, świecę przyniesioną wyniósł do przedpokoju, a wróciwszy, zamknął drzwi, stanął przed Helusią i wpatrzył się w jej twarz badawczo. Przypomniał sobie płonącą twarz dziewczyny w chwili wyjazdu i w jej spuszczonych oczach wyczytany wstyd odebranego pocałunku męskiego. Był pewien, że bladość i bezsenność jej pochodziła z jakichś przejść, spowodowanych gwałtownością Konrada lub nieporozumieniami między narzeczonymi.

— Czemu nie mogłaś spać, Helusiu? — zapytał surowo.

Nie odpowiedziała, gdyż jej się wydawało, że wyznanie niepokoju o niego będzie wyznaniem miłości.

— Pamiętasz, jak przy wejściu do tego domu przyrzekłaś mi szczerość. Czy nie możesz być ze mną szczera w tej chwili?

Miała spuszczone oczy, serce jej biło gwałtownie, nie mogła zwalczyć nieśmiałości.

— Dlaczego nie możesz powiedzieć mi prawdy? Chodź tu, siądź koło mnie, uspokój się i pomyśl, czy rzeczywiście nie możesz ze mną mówić szczerze. Nie odnajduję twego otwartego spojrzenia... Czy Konrad jest w Minowicach?

Skinęła głową.

— To on mi może wyjaśni przyczynę.

Odzyskała możność mówienia:

— Konrad też niespokojny... nie wiedzieliśmy, co się dzieje...

— Byłaś niespokojna o mnie? I dlatego nie spałaś?

Na bladą twarz Helusi wybiegł rumieniec, który za nią odpowiedział. On miał przez chwilę ochotę przyciągnąć ją ku sobie, ale ramię jego opadło, i rzekł spokojnie:

— Przepraszam cię, Helusiu, żem cię na niepokój naraził. Żałuję bardzo, żem ci o mojem niezdrowiu powiedział.

— Czemu wuj ani słówka nie napisał? — zawołała wreszcie z wymówką.

— Potrzeba mi było samotności i zupejnej ciszy, którejby mi nie przerwały ani list przychodzący, ani potrzeba pisania do was. To właściwie było mojem lekarstwem. Byłem przepracowany, wypocząłem i jest mi lepiej. Idź spać, dziecko, spij spokojnie i długo.

Zbliżył się do niej i był pewien, że weźmie jego rękę i do ust ją podniesie jak zwykle, ale odeszła, powiedziawszy tylko:

— Będę spała. I wuj potrzebuje spoczynku.

— Dosyć wypoczywałem. Potrzeba mi pracy, zajęcia. Jestem rad, żem do nich powrócił.

— Wierzę. Dla mnie zawsze takiem szczęściem był powrót do Minowic.

Wyszła, a on został z wrażeniem, że było w niej coś zmienionego. W jej rysach było znużenie, a oczy były głębsze i większe od okrążającej je siności. Musiało tu chyba zajść coś nowego podczas jego nieobecności.

Położył się do łóżka z uczuciem wielkiego zadowolenia. Czuł ogarniające go ciepło własnego ogniska, wygodę własnych kątów i słodką niewolę starych przyzwyczajeń. Serce mu zabiło na myśl o Stenieczce. Zrozumiał, że tęsknił nietylko do Helusi, ale i do domu, do dziecka. W ostatnich czasach w Minowicach był bardzo nieszczęśliwy. Zdawało mu się, że prócz miłości dla Helusi wszystko inne w nim zamarło. Teraz pojął, że w jego sercu żyją silnie i inne miłości. Tak jak człowiek kochający kraj i wracający do niego z tęsknotą, przekonywa się, że w tym ukochanym kraju kocha jeszcze swoją okolicę i wioskę rodzinną, tak Michał obok wielkiej a pełnej cierpienia miłości dla Helusi, zobaczył inne przywiązania bardzo silne i żywotne. Poczuł przedewszystkiem, że dobrze jest człowiekowi wracać do własnego domu. Wodził oczami po otaczających go przedmiotach i witał je, jak znajomych. Zatrzymał wzrok na każdej z licznych fotografji Stefanji. Oddaliła się ona od niego, przesłonił ją obraz żywy innej, choć podobnej do niej kobiety, ale i ten cień drogiej zmarłej i wizerunki jej, któremi się otaczał, były czemś, z czem się zżył i do czego tęsknił. Potem przy myśli o niepokoju Helusi począł sobie wyrzucać swoją słabość i ucieczkę. Nie było to po męsku porzucać obowiązki dlatego, że w drogę wchodzi mu cierpienie. Cierpienie to rzecz osobista, od której nikt prócz niego nie powinien był żadnej ponieść straty, a on porzucał pracę swoją i stanowisko egoistycznie, myśląc jedynie o sobie. Niech tylko Helusia będzie szczęśliwa, to on potrafi wyrzec się jej, żyć dla Stenieczki, dla tych celów, za któremi dotąd dążył. Niech tylko ona będzie szczęśliwa!

Panią Gozdawinę, która mu nazajutrz ukazała twarz surową i obrażoną, usiłował przebłagać.

— Mama mię bardzo potępia za mój nagły wyjazd i za moje milczenie. Mama ma zupełną słuszność! Wart jestem nagany i potępienia. Postąpiłem, jak głupiec, i przepraszam. Wszystko, co mama potępiającego powiedziećby mi mogła, byłoby za słabe i za łagodne. Jestem z siebie niezadowolony. To największa kara, która mię spotkać może. Z tego powodu jednak jest niewystarczająca, że powrót do domu daje mi tysiące pociech.

Doznawał pociech rzeczywiście. Stenieczka nie mogła się nim nacieszyć, Konrad zdawał się o Helusi zapominać, by patrzeć na przyjaciela, nawet psy, okazywały radość z jego powrotu. Tylko ciągle mu się zdawało, że Helusia jest inną. Nie spotykał już jej spojrzenia spokojnego, szczerego, które zdawało się mówić: czytaj we mnie, bo nie mam nic do zatajenia. Była owszem w tem spojrzeniu jakaś chęć ukrycia się, jakaś nieśmiałość, czy zawstydzenie. Co się działo w tej młodej duszy i co szczerość spojrzenia Helusi zasłaniało? Obiecywał sobie przyjrzeć się dobrze wszystkiemu, bo jednego przedewszystkiem do względnego choćby spokoju potrzeba mu było, to widoku jej szczęścia.

— Niech ona tylko będzie szczęśliwa! — powtarzał sobie, rozrzewniając się trochę nad ofiarą, którą czynił z własnego swego serca. — Niczego nie pragnę dla siebie, byle ona była szczęśliwa!

Ale stary człowiek powraca, jak upiory w legendach ludowych. Odpędzany siłą woli, krytyką, postanowieniami, powraca. Pomimo iż Michał sobie powta-

rzał, że niczego dla siebie nie pragnie, pragnienia wzbierały w jego duszy, a obok pragnień rodziła się zazdrość i niechęć dla Konrada. Położenie, na które oddalony patrzał z wysokości, teraz objęło go płomieniem rzeczywistości i życia przeżywanego, a słowa powtarzane w duszy, jako zasada czynów, były czcze i nieodczuwane.

Usiłował jednak postępować tak, jakgdyby je odczuwał. Uciekał od towarzystwa Helusi i Konrada do pracy, do przeróżnych zajęć i spraw sąsiedzkich i ogólnych. Wiecznie miał roboty więcej niż czasu do zużycia na nią.

Pani Gozdawina była coraz bardziej niespokojna i rozdrażniona widokiem tego męczącego stosunku, który łączył, a raczej coraz bardziej rozdzielał Helusię z Konradem. Pragnęła rozmowy z Michałem; stosunek zaś jej z nim tak się ułożył, że udawała obojętność, nie mogła zdobyć się na swobodę i naturalność. Kochała i ceniła go, a wiecznie czuła się obrażoną i noszącą w sobie ranę, jątrzącą się ciągle. Biedna kobieta, dumna i arbitralna z natury, stała wobec przeciwnika także dumnego i arbitralnego i postąpić kroku naprzeciw niego nie miała odwagi. Chciała nieraz wyciągnąć rękę ku niemu, a coś nieznośnie męczącego i dławiącego powstrzymywało ją. Czuła w zięciu brak sympatji, czuła, że nie umiał cenić jej dostatecznie, i przeboleć tego nigdy nie mogła. Był twardy i zimny, a wcale nie zdawał się rozumieć, iż był taki. Tak się czasem dziwnie ułożą stosunki między ludźmi, że tam, gdzie mogłoby być zaufanie i swoboda, wyrasta nienaturalność i chłód, i już tego żadne wysiłki zmienić nie mogą.

Ale tu chodziło o dobro Helusi i choć pani Gozdawina nie widziała ratunku, to przynajmniej zaznaczyć chciała swoje stanowisko i dać poznać Michałowi, że on przeważnie winien wszystkiemu, że jego przesadna miłość do przyjaciela zasugestjonowała Helusię i popchnęła ją w objęcia Konrada.

Pani Gozdawina przymusiła się wreszcie do odezwania się, a oprzeć się nie mogła przymówce niezgodnej z jej dumą.

— Chociaż rozmowa ze mną jest ci ciężarem, ale mam sobie za obowiązek... Przecież to, co się tu dzieje między Helusią a Konradem, to nie jest do zniesienia!

— Cóż się takiego dzieje?

— On poprostu zamęcza tę dziewczynę swojemi kaprysami, wymaganiami, nierównościami. Taki się między nimi wyrodził nieznośny stosunek!. I być inaczej nie może! Przyszłam do przekonania, że ona go nie kocha, a tylko idzie za twoją sugestją!

— Mamo, ależ proszę mówić wyraźnie! Za jaką sugestją!

— Zbadaj rzecz bezstronnie, przypatrz się sobie i im. Wmówiłeś jej, że on potrzebuje ratunku i że ona mu go dać powinna dla tej dobrej przyczyny, że jest on twoim przyjacielem.

— Oskarżenie bezpodstawne i niesłuszne — rzekł Michał ozięble — ale dziękuję mamie za szczerość względem mnie.

— Bo widzisz, zawsze mię oburzało to, że ludzie nie umieją wznieść się ponad przesądy i że ulegają okolicznościom zewnętrznym. Wiele to małżeństw zostało zawartych tylko dlatego, że suknia ślubna już

była zamówiona! I tu my robimy to samo! Zupełnie to samo!

— Przecież Helusia jest wolna!

— Mówi się, że jest wolna! Ale to dziecko niedoświadczone, które się wcale wolne nie czuje. Helusia ma się za związaną danem słowem, obawą, by Konrad życia sobie nie odebrał, by nie popadł w melancholję, byś ty nie był obrażony w twojej przyjaźni!

Sumienie Michała krzyknęło w nim, że w zdaniu pani Gozdawiny była duża część prawdy.

— Więc co mamy czynić? — zapytał.

— Nie wiem. Dzień ślubu oznaczony, ale możeby go jeszcze odłożyć... Ten człowiek dziwnie psuje swoje szczęście. Ja często myślę, że on wcale normalny nie jest.

— Zawsze był trochę kapryśny, obraźliwy, szukający dziury w całem...

— I takiego człowieka dajesz Helusi?

— Przecie ja go jej nie daję!

— Mój Michale, ja lubię położenia jasne i wyraźne, a to, w czem my tu żyjemy, to jest fałsz, to jest coś sztucznego, naciąganego! Potrafiłeś wyrobić tu dla siebie istne bałwochwalstwo. Wszyscy obracają się za tobą, jak słoneczniki za słońcem, Helusia i Stenieczka tylko tobą żyją. Jedyną, wyłączną ich myślą jest to, czy do nich przemówisz, czy na nie spojrzysz, czy je weźmiesz z sobą na spacer lub do gospodarstwa. Gdy ciebie tu niema, to znowu te dwie dziewczyny żyją jedynie tęsknotą za tobą. Helusia z myślą o tobie odbywa lekcje ze Stenieczką, mała przemaga lenistwo i uczy się dla ciebie jedynie. Masz dziwny talent, trzeba to przyznać!

Michał uśmiechnął się:

— Przeraża mię mama doprawdy. Przecież we mnie niema żadnej premedytacji!

— Ja wiem, wiem! To jest bezwiedne oddziaływanie duszy, ale mię to zdumiewa! Możesz milczeć tygodniami, a te dwie istoty tygodniami będą wyczekiwały padającego z ust twoich łaskawego wyrazu...

— Mamo, czy niema przesady w tem, co mama mówi?

— Ty doskonale czujesz, że ja i przesada to są rzeczy tak sprzeczne... Nic nie przesadzam! To jest śmieszne, rozczulające, zdumiewające... to mię czasem tak oburza, że mię do wewnętrznego buntu doprowadza! Taki Budda milczący i nieruchomy, a przed nim rozmiłowani i w nim tylko pogrążeni wyznawcy! Ja mogę poświęcać się, czuwać nad chorobą, myśleć o wszystkiem... to wcale nie zwróci uwagi... to obowiązek; wreszcie nikt o żadnem ocenieniu zasług nie myśli... Jest jedno bożyszcze łaskawe lub odwracające się obojętnie, ale zawsze umiłowane i rodzące święty dreszcz — to ty! Dotąd wszystko pięknie! Miłość daje czasem mękę, ale wynagradza zawsze chwilami szczęścia. Cóż jednak wobec tego jest to dzikie małżeństwo? Gdybym była pewna, że Helusia idzie z miłości, nie wyrzekłabym ani słowa sprzeciwu. Już niejedna kobieta dała życie swoje kapryśnikowi, zgryźliwemu nerwowcowi, zazdrośnikowi i pomimo wszystko go kochała. Ale to, co się tu przygotowuje, to nieszczęście, to zbrodnia!

— Więc co mama chce powiedzieć? Czy mama podsuwa myśl, że Helusia kocha mnie, nie Konrada?

— A, niech mię Bóg broni. Nie przypuszczam, by Helusia kochała cię, jak kobieta mężczyznę, i tylko myślę, że jest to u niej takie samo bałwochwalstwo, jak u Stenieczki, i że z tego bałwochwalstwa wyrosła myśl uszczęśliwienia twego przyjaciela. U Helusi chęć i potrzeba poświęcenia się jest chorobą chroniczną. Ona jest, jak średniowieczna dziewica, która się oddaje skazanemu na śmierć i tortury i tem oddaniem się wedle ówczesnego zwyczaju ratuje go od kaźni.

— To, co mi mama mówi, jest straszne!

— A tak, prawda bywa straszna! I ja nic od ciebie nie chcę, tylko byś się dobrze przypatrzył. Czy ty nie widzisz, jak Helusia wygląda? Czy nie widzisz w jej oczach śladów łez? Przecie ona jest umęczona i taka bezbronna wobec swoich przyrzeczeń, tych głupich przyrzeczeń, którym nie umieliśmy przeciwstawić rozsądnej woli!

— Ja nie śmiałem...

— Nie śmiałeś spojrzeć w oczy całej prawdzie! Pchnąć dziewczynę w przepaść, bo się niema odwagi spojrzeć prosto...

Michał pocałował w rękę panią Gozdawinę, co uczynił sztywno, i ozięble, i rzekł krótko:

— Dziękuję mamie.

Ją znowu dotknęło to głęboko. Wiedziała, że Michał odsunie ją od swego zaufania, że jeżeli on namyśli się działać, to stanie się to bez jej udziału. Czuła też, że obudziła w sercu Michała nowy żal do siebie. I było tak w istocie. Michał miał do niej żal za to, że umiała patrzeć tak bystro, że zaglądała w serca, które się kryły, i że śmiała dotykać spraw najdroższych,

tych, których nie miało się odwagi uświadomić sobie w najskrytszych z samym sobą rozmowach. Ona śmiała! Miał względem niej dziwnie sprzeczne uczucia. Szanował ją, a nawet z jakąś zaciętością w duszy szepnął sobie: „mądra baba“, a pomimo to wrzał w nim gniew, żal i jakaś potrzeba okazywania jej chłodu, odsuwania jej od siebie.

Niegdyś koledzy jego, zabawiając się między sobą określaniem charakterów, nazwali Michała człowiekiem „wyraźnym“. I bywał takim dotąd. Wyraźnie wiedział, czego chce, wyraźnie czuł, wyraźnie myśli swe wypowiadał. Teraz sam sobie wydał się niewyraźny. Poczuł się zbłąkanym i tracił szacunek dla samego siebie. W życiu jego dotąd nie grały nigdy roli względy uboczne. Życie tak mu się składało, że wiedział zawsze, dokąd dąży. Teraz tracił orjentację. Czy miał prawo, jak jakaś niepowołana opatrzność, wtrącać się w sprawy cudze, burzyć szczęście przyjaciela? A burząc je, czy był pewien, że mu idzie jedynie o pomyślność Helusi? Sumienie w nim krzyczało, że to przedewszystkiem jest sprawa jego własna, a we własnej sprawie sędzią być się nie ma prawa. Wymknął się z domu, by nie widzieć nikogo, by nie spotkać Konrada, który Minowic wcale nie opuszczał.

Tymczasem nadeszła godzina lekcji Stenieczki z Helusią. Lubiły obie ją i nie opuszczały jej nigdy. Konrad znosił dotąd mniej więcej cierpliwie to oddawanie się Helusi zadaniom pedagogicznym, ale tym razem przyszedł mu kaprys, nad którym zapanować nie był już w możności. Gestykulując, zaczął dowodzić, że te lekcje nic nie były warte, że Helusia się

zamęcza za to, by w głowie Stenieczki zaprowadzić chaos, że wreszcie na kilka dni przed ślubem Helusia mogła choć parę chwil w dniu poświęcać człowiekowi, któremu się oddaje, a którego nie zna dobrze.

— Bo ty mię nie znasz, Helusiu! Co ty o mnie wiesz? Ja sam wreszcie tak wiem o sobie mało!

Stenieczka płakała, co do nowej niecierpliwości doprowadziło Konrada.

— Czego płaczesz? — zawołał. Nic okropniejszego dla mnie, niż łzy głupie! A to są łzy głupie! Za takie łzy dzieci rózgą powinny dostawać!

— O rózdze w tym domu nigdy nie było mowy — rzekła Helusia — i proszę pana bardzo nie straszyć nią Stenieczki. Strachy te zresztą nie mają najmniejszego znaczenia, bo żadnej roli nie przyznajemy panu w wychowaniu Stenieczki.

Dziecko opasywało rączkami kibić Helusi, tuliło się do niej i zdawało się chcieć jej bronić przed napaścią.

Konrad stał wobec dziewcząt zupełnie z równowagi wyprowadzony. Dotąd Helusia znosiła jego kaprysy z największą cierpliwością, teraz, gdy chodziło o Stenieczkę, odpowiadała stanowczo, a nawet wojowniczo. Opanował go gniew, nad którym zapanować nie usiłował. Oderwał opasujące Helusię ramiona Stenieczki i odtrącił od niej płaczące dziecko.

— Proszę, żeby pan natychmiast wyszedł z tego pokoju! — rzekła Helusia z wyrazem takiej stanowczości, że Konrad oniemiał. — Lekcja odbyć się musi i to w spokoju. Ze mną może pan rozmówić się później.

Konrad wybuchnął, rozwodząc żale, czyniąc Helusi wymówki, nie panując już nad swojem zdenerwowaniem i rozkapryszeniem. Wtedy Helusia wzięła płaczące dziecko za rękę i wyprowadziła do pokoju pani Gozdawiny, obok pokoju szkolnego. Konrad zapędził się początkowo za niemi, ale pozostał chwilę przed zamykającemi się przed nim drzwiami, potem pobiegł do stajni i furmanowi swemu zaprzęgać kazał. Gdy obiad podano, spostrzeżono się, że miejsce Konrada było niezajęte. Wszyscy odetchnęli swobodniej.

Po obiedzie Michał posadził sobie Stenieczkę na kolanach, co czynił niezmiernie rzadko, pogłaskał jej jasne włosy i zapytał:

— Co tam było dzisiaj?

Stenieczka płakała cicho, ukrywając twarz na ramieniu ojca.

— No co? Naprawdę coś się stało? A ja wiedzieć nie mogę?

Helusia stanęła przed Michałem wyprostowana, a zwykła jej nieśmiałość wobec niego znikła. Rzekła spokojnie.

— Stenieczka najniejsłuszniej narażona została na przykrą scenę. Moja w tem wina jedynie. Nie powinnam była pozwolić na przebywanie pana Konrada w pokoju szkolnym. Wuj wie, że on jest nieobliczalny. No, Steniuś, dosyć tego! Chodź, pójdziemy do kurcząt, kacząt... Mam dla nich różne przysmaki.

— Nie, nie odchodźcie ode mnie — rzekł Michał. — Dobrze mi patrzeć na was.

Twarz Helusi okryła się rumieńcem zadowolenia, a łzy Stenieczki płynąć przestały. Michałowi przyszła

na myśl przemowa pani Gozdawiny o bałwochwalstwie dziewcząt względem jego osoby. Patrzał na zarumienioną, cudną twarz Helusi, i człowiek „wyraźny“ poczynał w nim brać górę.

— Opowiesz mi tę historję, Helusiu, gdy będziemy sami. Jestem sędzią w mojej gminie, więc tembardziej w moim domu.

Konrad dnia tego nie wrócił, i Helusia doznawała rozkoszy niezmąconej swobody. Wieczorem zdarzyło się jej coś zupełnie dziwnego. Gdy Stenieczkę ułożono do snu, Helusia, jakby zahypnotyzowana, poszła ku ławce ogrodowej, na której siadywać lubił Michał. Wiedziała, że go tam zastanie; wiedziała, że tam pójść musi. Prowadziło ją tam coś silniejszego niż wola. Czuła, że się temu nakazowi oprzeć nie zdoła. Było ciemno. Widziała zdaleka światło zapalonego papierosa i szła, rzec można, bezświadomie. Była ubrana bardzo jasno i Michał poznał jej postać na ścieżce. Wstał spiesznie, wziął ją za rękę i, sadzając obok siebie, zapytał:

— Czy nie masz nic do powiedzenia mi, Helusiu?

Ręka jej zadrżała w jego dłoni, gdy odparła cicho i po dłuższym namyśle:

— Nic wuju.

— To kłamstwo!

— Żeby wuj mógł zrozumieć, żeby mógł odczytać moje myśli... Ale to takie splątane, takie wszystko zawikłane. Tak się wszystko dzieje dziwnie... Chciałabym kierować moją wolą i mojemi czynami, a nie mogę... Więc co mam mówić?

— Musisz mówić, Helusiu, musisz powiedzieć, co jest w twych myślach splątanego i czego rozwikłać nie możesz? I jaka to jest wola twoja, której do skutku doprowadzić nie możesz?

— A więc ty wiesz wuju... Chciałam dla twego przyjaciela być ratunkiem i pomocą, chciałam mu oddać życie, by go uchronić od rozpaczy i wydostać dla czynów te dobre chęci i te zdolności, które w nim leżą. Tymczasem przekonywam się, że jestem bezsilna, całkiem bezsilna. Jestem jego narzeczoną, a on mię zupełnie tak traktuje, jakgdybym była jego żoną!

— Jak żonę? Jakże to?

— Łaje mię, niecierpliwi się, gderze... czyni mi wymówki... Przedwczoraj rzucił mi na ręce klapę od fortepianu... mam dotąd sińce na palcach. Powiedział, że zwykłe gęsi, jakiemi są przeważnie panny, nie powinny się brać do Bethowena...

— A więc to jest traktowanie ciebie, jak żonę?

— Wuj się śmieje, ale to przecie w życiu tak jest, że do narzeczonej mówi się, jak do niebianki, a żona... to bywa taka sługa, która niema prawa podziękować...

— Ach, nie wiedziałem, że masz takie psychologiczne zdolności... i takie smutne pojęcie o życiu. Moja Helusiu, dlaczego ty idziesz za Konrada? Powiedz mi wyraźnie, jakie masz dla niego uczucia? Kochasz go?... miłujesz... jak kocha dojrzała kobieta?

Helusi ręka zadrżała znowu w dłoni Michała.

— Powiedz mi całą prawdę, Helusiu, całą prawdę!

— Kochałam go, jak nieszczęśliwego, którego uratować pragnęłam i mogłam, ale teraz boję się go i chciałabym od niego uciec, bo widzę, że nic dla niego uczynić nie mogę!

— A więc za niego nie pójdziesz! Stanę, jak mur, między wami i nie dam cię na nieszczęście całego życia.

Zerwała się z ławki, jakgdyby uciekać chciała.

— Ale jakże to będzie? Ja przyrzekłam, ja dałam słowo! Do ślubu wszystko gotowe. Rodzina sproszona... i jego rodzina...

— Helusiu, Helusiu, jeszcze jedno słowo... musisz je wyrzec... Czy kochałaś kiedy kogo, czy kochasz? Czy wiesz, co to miłość?

Wyrwała rękę z dłoni Michała. Ujrzał biały cień biegnący po ścieżce. Znikła mu w ciemnościach. Uciekła przed wyznaniem, ale on poczuł się tak szczęśliwy, jakgdyby oczy jego nigdy nie były płakały i jakby nie było grobu między nim a nowem życiem, które się przed nim otwierało. Nie mógł nigdy czynić nic przeź pół, więc i teraz uczucie wzbierało w jego piersi tak gorące, iż mu było dziwno, że nie klęczy przed dziewczyną ukochaną i nie całuje jej stóp. Chodził po ogrodzie do rana, marząc i szalejąc. Jakieś wielbiące wyrazy układały mu się w rymy. Czuł zanadto żywo, by mogło się w nim znaleźć miejsce na krytykę. Nie powiedział sobie, że przyszło na niego szczęście nowej młodości, ale był młody, bo gotów stanąć znowu w tych szrankach, w których się walczy o własne szczęście i w których niema miejsca na zniechęconych i rozczarowanych. Oddychał pełną piersią. Nie snuł

żadnych projektów, ale czuł się posiadaczem i wiedział, że dobra swego nikomu nie odda i bronić go potrafi. W ostatnich czasach opanowywały go jakieś złe uczucia względem Konrada. Był zazdrosny, a zazdrości swej się wstydził. Poczynała się w nim nienawiść dla przyjaciela. Teraz miał dla niego litość jedynie. Gdy się brzask ukazał, wrócił do swego pokoju, ale przebrał się tylko. Poco mu sen? Szkoda życia na sen! Zostawić go tym, co nie wchodzą w nową erę szczęścia, w bujną życiową pełnię. Ze ścian patrzały na niego oczy Steni, więc mówił do niej z pokorą i czułością: „Czy masz żal do mnie? Czy mię masz za zdrajcę? Ja przecie nie chciałem! To przyszło samo, jak przychodzi chwila rozkwitu dla rośliny". Stenia uśmiechała się słodko, ale jakoś niewyraźnie. Dawniej z za tych portretów wyglądało życie, pamięć żywa przeszłości. Teraz zachodziło to jakoś w cień i nową przybierało formę. Wstyd odstępstwa ogarnął Michała. Poszedł na grób żony, ale i tam nie odnalazł uczuć dawnych. Kwiaty, położone przez Helusię, więdły w blaskach porannego słońca, i dawne uczucia więdły w gorącem tchnieniu nowego życia. „Ty jesteś tam, gdzie panuje sprawiedliwość" myślał Michał: „tam, gdzie się już rozumie wszystko i zrozumiesz i nie weźmiesz za złe. Chciałem zamrzeć duszą dla świata... obudziła się i chce żyć na nowo... Czy mi to darujesz, Steniu"? Nie mógł wywołać obrazu zmarłej żony. Przed jego oczami stała żywa, piękna, jak uosobienie młodości postać uroczej dziewczyny. Chciał zawołać imieniem, które tyle razy wymieniał tu, przy tym grobie, a usta jego szepnęły: „Helusiu". Wróciwszy do domu, kazał

sobie osiodłać konia i pojechał ku lasowi. Zdawało mu się, że na nowo bierze w posiadanie wolność, powietrze, świat cały. Ten świat wydawał mu się tak pięknym i jakimś nowym.

Pani Gozdawina się niecierpliwiła. Nie mogła zrozumieć, że po jej wynurzeniach Michał pozostał bezczynny i że siłą rozpędu rzeczy szły ku temu rozwiązaniu, któremu oprzeć się postanowiła.

— Gdzie pan? — zapytała niecierpliwie służącego.

— Pan był na grobie...

Zżymnęła się. To była jej córka ukochana, ta, która tam leżała, a przecież jej natura czynna i praktyczna nie mogła pojąć, by mężczyzna w sile wieku poświęcał wszystko dla jednego wspomnienia. Więc kiedy Michał był obezwładniony przez myśl wyłączną i nie mógł przeciwstawić swej woli temu aktowi, krzyczącemu o pomstę do nieba, który się tu przygotowywał, więc ona, babka, mająca najbliższe prawo nad wnuczką, musi wystąpić samodzielnie. Chodziła po pokoju spiesznemi krokami i prędko powzięła postanowienie. Usiadła przed biurkiem i napisała kilkanaście telegramów do rodziny własnej i rodziny Konrada.

Do obiadu zjawił się Michał i właśnie, gdy zasiadano do stołu, zaturkotało przed gankiem i wszedł Konrad. Przywitał panią Gozdawinę i Michała z widoczną intencją serdeczności, a Helusi skłonił się tylko zdaleka. Był obrażony, starał się to okazać. Nie mówił wcale do narzeczonej, ignorował ją. Ale już dziś to, coby ją było wprawiło w rozpacz kilka dni temu, stało

się dla niej tylko powodem uśmiechu litości: „Biedak, biedak! Czemu on się tak męczy? Poco pozuje? Do rzeczywistej obrazy dodaje jakieś wyuczone miny. Poco to wszystko"?

Pani Gozdawina miała zmarszczone brwi i czekała tylko końca obiadu, Michał zaś i Helusia byli w owym czarownym śnie, od którego zaczynają się wielkie i żywiołowe miłości. Mieli między sobą tajemnicę. Taką wyśnioną, rozpoczynającą się cudowną baśń, o której nikt nie wiedział, prócz nich. Żyli w tej rozkosznej chwilce, w której powstaje zapowiedź szczęścia, piękniejsza od szczęścia samego. Helusia zaprosiła towarzystwo na popis do swojej szkółki. Popis miał się odbyć nazajutrz, w niedzielę. Konrad aż podskoczył na krześle. Nienawidził takich popisów. Nudziły go, doprowadzały do najwyższego rozdrażnienia; uciekał od nich i naprzód nerwy jego się wstrząsały.

— Stawimy się na wezwanie, — rzekł Michał — i będziemy bardzo wymagający.

Dostał mu się uśmiech cudnie wykrojonych ust, błysk białych zębów i spojrzenie ukochanych oczu.

— Krytyka jest wielką pomocą dla takich dyletantów, jak ja. Lubię krytykę szczerą, bo lubię prawdę.

Michał odpowiedział uśmiechem i w tym wzajemnie wymienionym uśmiechu było tyle treści! Była i tajemnica i przeczucie czegoś nieokreślonego jeszcze, a tylko przeczuwanego, co jednak wywoływało dreszcz oczekiwania. Należałaby im się była rozmowa we dwoje, a tu wkoło były uszy wytężone ku słuchaniu i oczy łakome, szczególnie oczy Stenieczki utkwione w Michale z owem chronicznem bałwochwalstwem, które tak

gniewało panią Gozdawinę. Tym razem jednak nie zauważyła niemych scen, które się rozgrywały, choć miała baczne oko, bo opanowała ją myśl doprowadzenia zamiaru swego do skutku.

— Panie Konradzie, — ozwała się, gdy się we czworo znaleźli w salonie bezpośrednio po obiedzie, — musi mi pan dać adresy tych wszystkich osób z rodziny pana, które były na ślub proszone.

Konrad się zmieszał.

— Adresy? Naco?

— Bo odkładamy ślub na czas nieograniczony.

— Jakto? Dlaczego?

— Pan się o to pyta? Bo czas zamiast was zbliżyć z Helusią, zamiast między wami wyrodzić przyjaźń konieczną w małżeństwie, oddala was tylko od siebie. Pan, przyjechawszy dziś, nie zbliżył się wcale do Helusi... Pan gra rolę obrażonego. Wczoraj między wami była prawdziwa scena i dlatego ślubu nie będzie, dopóki się nie przekonam...

Konrad nie panował już nad sobą. Głos mu się trząsł, gdy zawołał:

— Więc poprostu mię tu oszukano! Wzięto sobie mnie za zabawkę na głuchej wsi, za wprawę w sztuce zawracania głowy, za reklamę dla panny, która tem jest ponętniejsza, im więcej ma konkurentów!

— Konradzie, — rzekł Michał — czy jesteś sprawiedliwy? Czy się czujesz sprawiedliwym w głębi duszy?

— Więc wytłomacz mi postępowanie Helusi! Wytłomacz mi je! Dla czego chciała zostać moją żoną! Chyba dla tego, że mię kocha! Przecież wiesz, że mię kochano, że miłość kobieca szła ku mnie... że ja tego

nie wymyślam, ani mię zarozumiałość zaślepia! Więc dlaczegóżby Helusia?...

— W narzeczeństwie obie strony są wolne, aż do chwili ślubu. Zostaw zupełną swobodę Helusi!

— Ale to nie ona tu przemawia. Pani Gozdawina bierze na siebie rolę despotyczną!

— Do której mam prawo, jako opiekunka Helusi.

— Ale Helusia? Helusia niech powie, co myśli!

Helusia blada, jak płótno, ozwała się:

— Chciałam... wierzyłam... ale się przekonałam, że nie zdołam uszczęśliwić pana! Wszystko mi się z rąk wysuwa... nasz stosunek coraz gorszy... nie umiem być ukojeniem, stałam się tylko jakąś trucizną dla pana.

— Bo nie chcesz, powiedz wyraźnie, że mię twoje serce opuszcza!

— Chciałam je oddać, ale nie mogę!... nie mogę! O, Boże, nie mogę!

Michał zbliżył się do Helusi, a krew wrzała w nim, podniecając bicie serca. Gotów był do obrony. Dłonie zaciskały mu się w pięści.

— Nie możesz — mówił Konrad drżącym głosem. — To znaczy, że mię nie kochałaś nigdy! Powiedz, przyznaj się, że mię zwodziłaś tylko. Dawno już powiedziano, że kobieta — to kłamstwo!

— Prawda, — rzekła Helusia, jakby do siebie — ja kłamałam przed panem, ale szczególniej kłamałam sama przed sobą! Jestem warta najwyższego potępienia! Zdawało mi się, że mną rządzi szlachetny zamiar, a to był tylko fałsz... fałsz wobec pana i fałsz wobec własnego mego sumienia. A teraz chciałabym pana przeprosić, przebłagać...

Michał wrzał coraz mocniej w sobie. Jego dłoń ujęła rękę Helusi i ścisnęła ją mocno.

— Niech Michaś sądzi naszą sprawę,—mówił Konrad w najwyższem zdenerwowaniu. — Niech on powie.

— Helusia zbłądziła bardzo — rzekł Michał, siląc się na spokój. — Ale ja tu niczego sądzić nie potrzebuję. Ty sam będziesz sędzią własnej sprawy. Czy chciałbyś poprowadzić do ołtarza niekochającą?

— Nieraz już kojarzyły się małżeństwa bez jakiejś oszalałej miłości, o której pouczają nas powieści. Właściwie jest zupełnie ona zbyteczna i nie od niej zależy szczęście w małżeństwie. Moja matka mówiła zawsze, że wyszła za mojego ojca, nie kochając go, a potem była bardzo szczęśliwa.

Michał bezwiednie ściskał coraz mocniej rękę Helusi tak, że wyraz bólu wystąpił na jej oblicze. Ale nikt nie zauważył tego, a ona poza bólem fizycznym doznała wielkiej rozkoszy moralnej. Brana była w posiadanie, jak własność bezsprzeczna... Uśmiechnęła się, choć płakać z bólu miała ochotę.

— Biedny, biedny człowiek — myślała, spojrzawszy na Konrada — broni się i walczy, biedak!

— Ale dlaczego miałoby się to stać przeciwko woli Helusi?

— Jestem przekonamy, że bylibyśmy szczęśliwi! Ludzie wymyślili narzeczeństwo, które jest stosunkiem najniedorzeczniejszym, najnienaturalniejszym i denerwującym do najwyższego stopnia! Przecie Helusia nie pozwalała mi prawie dotknąć swojej ręki i nie mogłem nawet tego dopiąć, by mi mówiła po imieniu. Uciekała ode mnie na lekcję Stenieczki, na lekcje w szkółce, ucie-

kała do jakichś chorych, ślepych, głuchych, kulawych... Byle pretekst do unikania mnie.

— Taka sama byłabym, jako żona. Ślepi, głusi i kulawi mają większą część mojego serca...

— Żałuję doprawdy, że ślepym nie jestem!

— Myślę, że sprawa jest rozwiązana — rzekła pani Gozdawina surowo. — Wszelkie położenia niejasne stają się nieznośnym ciężarem. Ja w imieniu Helusi zrywam wszelkie zobowiązanie względem pana. Narzeczeństwo jest doskonałe. Ustanowiono je na to, by się ludzie mogli dobrze sobie przypatrzeć, poznać wzajemnie, a jeżeli próba wypada ujemnie, wtedy bez żadnych fałszywych wstydów zerwać!

— Nie, nie, zostawimy rzeczy, jak były. Odkładamy ślub, roześlemy telegramy, a ja na nową wejdę drogę. Byłem trudny, nieznośny, zdenerwowany, kapryśny, teraz stanę się innym!

Taki był biedny i litości godzien w swojej pokorze, że Helusia rzekła:

— Dobrze, spróbujemy jeszcze!

— Helusiu! — zawołał Michał. — Znowu stawiasz rzeczy fałszywie.

— Nie fałszywie — rzekła cicho — bo tak czuję! On nie jest ani ślepy, ani kulawy, ale jest nieszczęśliwy; przeze mnie chce się stać lepszym.

Pani Gozdawina ruszyła ramionami.

— Zawsze ta sama egzaltacja! — ozwała się z gniewem.

Michał puścił rękę Helusi. Czuł, że, broniąc jej wolności, broniłby swojej własnej sprawy, więc zagryzł gniewnie usta i milczał.

— Będę panu siostrą — rzekła Helusia — już nie narzeczoną lecz siostrą!

Konrad płakał, jak nerwowe dziecko.

— Dobrze — mówił wśród łkania — tylko mię nie odtrącaj od siebie, bo co ja bez ciebie pocznę. A teraz muszę się uspokoić w samotności... nie wrócę, dopóki nie odzyskam równowagi!

Wyszedł krokiem niepewnym. Za nim podążył Michał.

Helusia była nieszczęśliwa. Czuła, że postąpiła znowu, jak bezsilne dziecko, i że mrzonce ratowania Konrada poświęcała swoją prawdziwą, gorącą miłość. To co uczyniła, to było szaleństwo i teraz dopiero poczuła to w całej pełni.

— Jaka ja jestem nędzna, jaka słaba, jaka bezmyślna! — skarżyła się przed sobą. Czemu nie mam w sobie siły i rozumu babci, która nie znosi położeń niejasnych? Jak ja teraz stanę przed nim?

Michał wcale nie brał tej rzeczy tak tragicznie. Pragnął rozmówić się w samotności z Helusią, a nie znalazłszy jej, prosił pani Gozdawiny, by mu ją przysłała do kancelarji.

— Jest rzeczywiście egzaltowana — dodał — i muszę przemówić do jej rozsądku. A tylko rozmowy w cztery oczy przynoszą rzeczywistą korzyść.

— Och, owszem, owszem! Przecie, że ta sprawa i ciebie dotknęła i że nie ja jedna bronię Helusi przed jej własną słabością i litością dziecinną. Rozciąga sprawę, którą należałoby przeciąć jak najśpieszniej.

— Przetniemy ją!

Helusia weszła do kancelarji nieśmiała i zawstydzona. Miała rękę obwiązaną, co natychmiast spostrzegł Michał.

— Co ci się stało?

— To drobiazg. Pierścionek, który miałam na palcu, skaleczył mię.

— Jakim sposobem?

— Wuj mi chciał dodać siły przy rozmowie z panem Konradem i ścisnął mię za rękę.

— Ja to uczyniłem?

Odwijał bandaż z palca Helusi, a potem przyłożył do jej ręki gorące usta.

— Siniaki Stenieczki mój pocałunek leczył. Pamiętasz?

Była zmieszana, lecz ręki nie odbierała.

— Goi się! — rzekła z uśmiechem. — Czuję, jak się goi!

— Oj, ty czarodziejko — rzekł Michał swoim gorącym głosem.—Chodź, siądź obok mnie... Czy mamy być zagadką jedno dla drugiego? Czy chcesz mi otworzyć duszę?

Zapłonioną twarz zakryła rękami.

— Wstydzisz się? Czego się wstydzisz?

Ręce jej opadły, wyprostowała się, duma wyjrzała z jej pokornych zwykle oczu.

— O, nie wstydzę się! Bóg mi dał tak wielką łaskę!...

Ręce przyłożyła do piersi i oczy wzniosła, jakgdyby widziała Boga łaskawego.

— O tak, Helusiu. Bóg był hojny dla ciebie. Obsypał cię wszystkiem, co może dać! Jesteś dobro, jesteś

piękno... przytem, Helusiu, ty jesteś dusza! Ja w tem twojem pięknem ciele kocham twoją duszę i kocham ją goręcej niż twoje cudne oczy i usta do kwiatu podobne i wdzięk twojej postaci...

Słuchała uśmiechnięta i rozmarzona.

— Helusiu, kochać ciebie to stawać się lepszym, to dążyć ku górze, ku wyższym zadaniom! Helusiu, ja prawie uwierzyć nie mogę temu szczęściu, że ja ci to wszystko powiedzieć mogę bez grzechu.

— Bez grzechu? — powtórzyła — Jaki grzech?

— Teraz do „siostry“ Konrada mogę mówić swobodnie, lecz do jego „narzeczonej“.... Tyś we mnie tchnęła nowe życie... tyś mi użyczyła swej młodości. Czułem się starym, czułem się człowiekiem skończonym, a teraz jestem znowu młody, chcę przyłożyć do czary życia spragnione usta. Ale i ty mówić musisz! Jednem słowem możesz rozwiać moje marzenia.... może jestem tylko zarozumialcem godnym litości!

— Kiedy mnie tak trudno mówić... tak mi coś zamyka usta!...

— Więc mi powiesz później... gdy ci przyjdzie ochota... odwaga.

— Nie, nie, wszystko powiem zaraz! Ja wcale nie wiedziałam, co się dzieje we mnie... i wcale nie wiem, kiedy się to zaczęło. Gdym tu przybyła małą dziewczynką, urodziło się to odrazu! Dzisiaj wiem, że już wtedy... Było to uwielbienie, które dziwiło babcię, była trwoga, by nie dotknąć w tobie jakiej rany, była myśl ciągła o tobie. Ja wszystko czyniłam z tą myślą jedyną. W Warszawie tęskniłam ciągle za ...za twoim

domem. Zdawało mi się, że tęsknię za Minowicami, ale tu był dla mnie jeden cel... Gdy ciebie, wuju, zabrakło u stołu, zamierało wszystko wkoło i wszystko zajmować mię przestawało. Było jedno słońce dla mnie, to ty, wuju! I nic temu winna nie byłam, bo to się działo poza obrębem mej woli, a nawet ja wcale tego nie zeznawałam przed sobą. Wcale sobie nie mówiłam, że ciebie kocham nad wszystko, ale tak, nad wszystko... Potem chciałam uratować Konrada... Chciałam ci uratować przyjaciela... i jakiś zapał utrzymywał mię z początku... Dopiero potem zaczęłam odczuwać niemożliwość tego stosunku i zrozumiałam! A może dziecinne uczucie przerodziło się we mnie w dojrzałą samowiedzę. Cierpienie oświeciło mi własną moją duszę! Jestem gotowa na wszystko, co mi każesz!

— Dziecino moja najdroższa, kochanie moje! Tyś jest dla mnie świętość, tyś dla mnie nadzieja i wiara! Czem jabym był dziś bez ciebie?... Powiedz, chcesz zostać moją żoną?

Na twarzy Helusi odmalował się wyraz powagi i jakiegoś po nad jej wiek skupienia.

— Zostanę twoją żoną — rzekła, — ale...

— Jest jakieś ale?...

— Babcia zawsze mówi, że ja jestem przeczulona i egzaltowana. Może taka jestem, ale już tak czuję! Zostać twoją żoną wydaje mi się tak wielkiem szczęściem, że chciałabym na nie zasłużyć... Chciałabym się stać godną... chciałabym osiągnąć jakąś wyższą miarę własną. Miałabym pójść w krainę osobistego, najwyższego szczęścia, nie uczyniwszy nic dla tych, co

są nieszczęśliwi? Toby była niesprawiedliwość wziąć wszystko dla siebie, a ze swoich młodych sił nie dać nic tym, co cierpią!

— Ja ciebie nie rozumiem, Helusiu!

— A więc bądź dobry i chciej zrozumieć. Może za rok, może za dwa ja tu wrócę i powiem ci, że już się czuję godną wielkiego, osobistego szczęścia. Ale muszę zapracować na to poczucie własnej zasługi. Gdy mi się zdawało, że będę mogła tamto jarzmo udźwignąć i być żoną — zbawczynią bez miłości, a nawet z odrazą, szłam, wmawiając w siebie odwagę, bo było tam poświęcenie swojej przyszłości, była myśl o ratowaniu bliźniego, który tonie. Ale teraz nie czuję się godną...

— Powiedziałaś mi, że uczynisz to, co ja każę, a teraz stawiasz tak ciężkie warunki... Czy ty sądzisz, że ja będę mógł obejść się bez twego widoku i żyć tu dawnem życiem, gdy ty będziesz po świecie opatrywała jakieś rany?

— Więc uczynię, jak każesz i jak zechcesz! Jesteś rozumniejszy i lepszy ode mnie. Pójdę, gdzie mię zaprowadzisz! Będę ci posłuszną! Każesz mi być szczęśliwą... Będę nią, choć się nie czuję godną...

— Czy nie sądzisz, że ty dla mnie jesteś też ratunkiem? Nie wiem, czy mię dobrze znasz. Mam wielkie wady. Jestem gwałtowny, nieprzejednany, nie umiem panować nad sobą... wszystko we mnie wre i kipi, gdy na mej drodze znajdę jaką przeszkodę. Chcę zaraz łamać i walczyć... Idź dziecko... Zgadzasz się na to, co ja zechcę, ale wola twoja nie przestaje mi być świętą. Idź, bo cię porwę, jak własność swoją

i zabiorę i ukryję gdzie przed tymi, którzy mają większą część twojego serca!

Otworzył drzwi przed Helusią.

— Proszę cię, nie mów nikomu, nikomu! Niech to będzie jeszcze tajemnica między nami!

Gdy Helusia wyszła, nie mógł pozostać na miejscu. Potrzeba mu było ruchu, świeżego powietrza. Cztery ściany go dusiły. Wybiegł, mówiąc sobie, że słabe, jedwabne przeszkody, pajęczyny marzycielskich zamiarów oplątują gorzej, niż żelazne zapory. Przyzwyczajenie powiodło jego kroki na grób Steni. Kwitły na nim róże i nie wiało już od niego dawnym smutkiem. Spłynęło nawet z niego ukojenie. Michał stał długo, oparty o kratę. Powoli zaszła w nim zmiana poglądów i uczuć. Helusia miała słuszność. Oni nie mogli, jak dwoje młodzieńczych kochanków rzucić się sobie w objęcia i zapomnieć o tem, co było. On miał swoją przeszłość i dla tej przeszłości pamięć niewygasłą. Stenia przebaczała, ale cześć dla dawnego uczucia, dla dawnej rozpaczy trzeba było zaznaczyć przez ofiarę. Z drugiej strony Konrad! Biedak był dostatecznie pokrzywdzony i można było dla oszczędzenia jego miłości własnej zwlec z osiągnięciem własnego szczęścia. Michał był gotów do ofiary. Walka z samym sobą była ciężka, ale pragnął przystać na wszystkie warunki Helusi i podążyć za przeczuloną dziewczyną w te sfery zaparcia się siebie, w które pragnęła go za sobą poprowadzić.

Stenieczka czuła się bardzo pokrzywdzona. I Michał i Helusia zdawali się stronić od niej. Patrzała na ojca swojemi jakby wypłowiałemi oczami z wyra-

zem przestrachu i prośby, ale błaganie było bezskuteczne. Michał siedział milczący i zamyślony, wreszcie po kolacji rzekł do Helusi:

— Jeżeli się ciemności nie boisz, to chodź ze mną do ogrodu, byśmy mogli skończyć rozpoczętą dziś rozmowę.

— Aa, toście jeszcze tej rozmowy nie skończyli? — zapytała pani Gozdawina. — Nie możecie wziąć z sobą Stenieczki?

— Nie, mamo. Ale to już rozmowa ostateczna, po której wszystko się wyjaśni. Chodź, Helusiu.

Wstała rozpromieniona, nie zważając na wzrok pytający babki i Stenieczki.

— Co się ma wyjaśnić? — zapytywała siebie pani Gozdawina. — Wszystko przecie było z Konradem zerwane, więc o co jeszcze chodzi?

Tymczasem Michał wziął Helusię pod ramię i szli milcząc upojeni, przeniesieni w kraj nadludzkiej szczęśliwości, nie szukając słów, błądząc po ciemnym ogrodzie, zasłuchani w bicie własnego serca. Czemu nie można było chwili tej przeciągnąć w nieskończoność?

— Tyś moja, tyś moja! — szepnął Michał, a ona odpowiedziała cicho:

— Twoja!

— I nic nam więcej nie potrzeba, kochanie! Nic prócz tego przeświadczenia! A teraz, Helusiu, chcę ci powiedzieć, że jesteś nietylko dobra, ale i rozumna. Pojąłem, dziecko moje, i twoje uczucia i twoje powody. Idź, młode siły włóż w dzieło szlachetniejsze niż osobiste szczęście, a gdy się zmęczysz i uznasz, że ci

się wypoczynek należy, wtedy wracaj. Znajdziesz mię, może trochę postarzałym ale doskonalszym, bo ofiara nie może być bezowocna! I mnie teraz potrzeba tej ofiary! Chcę za jej pomocą złożyć cześć mojej przebrzmiałej już dziś boleści i zaznaczyć wstyd, jaki mię ogarnia, żem jej nie został wiernym. Chcę też nie uczynić takiego brzydkiego odstępstwa mojej przyjaźni dla Konrada! Kochałem go, teraz moje przywiązanie dla niego zmalało, ale ja muszę postępować tak, jakgdyby trwało w całej sile. Tylko jeszcze raz proszę cię, dziecko moje, byś nic nikomu nie mówiła o naszych zamiarach. Musimy wiedzieć tylko we dwoje. I ofiara nasza i nagroda nasza muszą pozostać naszą jedynie własnością.

— O tak, o tak! Jesteś rozumiejący wszystko, odczuwający wszystko! Będę pracowała z myślą o naszej przyszłości; stanę się godną! A teraz chodźmy powiedzieć „dobranoc“ Stenieczce. Ona tam musi być bardzo nieszczęśliwa i nie rozumie, co się stało.

— Ach, Stenieczka! Czy ci źle, Helusiu, przy mnie?

— Zanadto mi dobrze i uczyniłam wysiłek, by się opamiętać. Gdyś mię zawołał za sobą szłam zupełnie tak, jak ćma do światła... nie wiedziałam, co się wkoło mnie dzieje, ale przecie przyszła mi myśl o innych...

— Tak „inni“, nie należy o nich zapominać... ale tak niemiłosiernie przyśpieszasz godzinę ofiary!

Stenieczka była już w łóżku i oblewała poduszkę łzami.

— Ej, niegrzeczna moja dziewczynka, — rzekł Michał. — Będę teraz musiał codziennie tu być przy rozbieraniu się...

— Spij dziecinko — rzekła Helusia, biorąc dziecko w objęcia i sadzając je sobie na kolanach owinięte w kołderkę. — Jużeśmy wszystko ułożyli z tatusiem i o wszystkiem się dowiesz!

— Ale dziś, ale dziś!

— Nie kochanie, jesteśmy wszyscy zmęczeni i jeszcze musimy pójść do babci. Widzisz, tatuś cię kocha, jesteś jego córeczką najdroższą i powinnaś być grzeczna.

— Nie dźwigaj tego ciężaru, Helusiu. Stenieczka waży już dużo. Główka pełna rozmaitej wiedzy, więc ciężka i to kochane serduszko takie tkliwe i gorące!

Wziął Stenieczkę z rąk Helusi i otulił kołdrą w łóżeczku.

— Tatuś mię doprawdy kocha? — zapytała tragicznie.

— O, niedobre dziecko! Tatuśby swojej dziewczynki nie kochał?

Pani Gozdawina nie mniej, od Stenieczki była rozżalona. Nie płakała wprawdzie, ale się gryzła po swojemu.

— Czy można? — zapytał Michał, pukając do drzwi.

— Proszę!

Już w głosie tkwiła obraza i zarówno Helusia jak Michał to odczuli.

— Mama jeszcze do spoczynku się nie zabiera? Przyszliśmy z rezultatem naszych narad.

— Trwały długo, więc jeżeli ich ważność odpowie godzinom strawionym...

— Mama się zadziwi. Helusia chce nas opuścić! Pani Gozdawina oniemiała.

— Cóż to za projekt — zapytała wreszcie popędliwie. — Pewno jakaś nowa niedorzeczność!

— Chce iść służyć nieszczęśliwym.

— Niech się babunia nie gniewa! — rzekła Helusia, klękając przy fotelu babki i całując jej ręce. — Wołają mię tam i ja iść muszę!

— Kto cię woła?

— Ci, co nie mają sił, a ja im swoich użyczyć mogę... ci, co cierpią, a niema im kto posłużyć... ci, co muszą patrzeć na nędzę i opuszczenie swych dzieci!...

— Są zakłady dobroczynne, są przytułki, ochronki, żłobki...

— Babciu droga, nie przeszkadzaj mi w moim zamiarze, bo on jest nieodwołalny. Ja muszę!...

— Nie musisz, ale chcesz! Chcesz zawsze czegoś niezwykłego! Masz wszystko, a zachciewa ci się tego, co ci się wydaje oryginalne i niepospolite. Wszystkie twoje zachcianki to tylko dowód, że jesteś nienormalna i narwana, egzaltowana i przeczulona. Jeżeli dobrze zrozumiałam, to chcesz nas opuścić i iść gdzieś w świat szukać łez do ocierania i ran do opatrywania. Ale moja Helusiu, ja na to pozwolić nie mogę! Jesteś młoda, świat jest zły! Pięknej dziewczyny nie można tak puścić samej między ludzi! Dawniej przesadzano... Ja będąc panną nigdy sama nie miałam prawa wyjść

na ulicę. Musiałam mieć towarzyszkę, albo szedł za mną służący.

— Ach, babciu, jakież to śmieszne. Za tych wszystkich lokajów, za te wszystkie wymysły i odgradzania się od ogółu, ja teraz iść między szarych ludzi muszę! Babciu droga, ja wiem, że mię babcia nie rozumie...

— Kiedy nie chodzi już o zrozumienie ciebie, ale o niebezpieczeństwo, które ci grozi! Muszę ci powiedzieć po raz pierwszy... bo ci w głowie zawracać nie chciałam. Ty jesteś piękna, Helusiu. Niech Michaś powie, czy piękna, młoda dziewczyna, rzucona sama na bruk uliczny, nie jest narażona na największe niebezpieczeństwo?

— O tak, ale pomimo to piękna dziewczyna ma prawo iść za swoją wolą, za swojem przeznaczeniem.

— Pójdę sama i wrócę do was tak bezpieczna, jak stąd wyjeżdżam! Szargają suknie błotem tylko ci, co błota nie omijają.

— Bo ty nie wiesz, nie rozumiesz, ale mogłabyś wierzyć i mnie i Michasiowi.

— Babciu droga, pozwól! Nie zmuszaj mię do tego, bym ci była nieposłuszna!

— Wszystko zmieniło się na świecie! — zawołała pani Gozdawina, załamując ręce. — Dawniej panny szły do klasztoru, gdy im kazano, szły za mąż na rozkaz rodziców, nie pytających o wybór serca córki! Teraz dzieci rządzą się własną wolą... idą, gdzie im się podoba... ufają tylko swemu własnemu zdaniu!

Nie doszło do tego, by Helusia przypomniała, że za dwa miesiące kończy lat 21. Pani Gozdawina z wyrazu jej oczu i głosu poznała, że ustąpić należy, bo walka była naprzód przegrana. Nie pokazała łez swoich, ale znalazłszy się sama nie mogła się obronić wybuchowi głębokiego żalu.

Helusia chciała jechać nazajutrz nocnym pociągiem, aby na ranek zdążyć do Warszawy. Pakowała mały kuferek i uprosiła babkę, by odstąpiła od zamiaru towarzyszenia jej.

— Ja od tej chwili jestem świecką siostrą miłosierdzia — rzekła błagalnie — i chcę działać sama, na własną rękę!

Michał odwiózł ją na stację. Deszcz padał i dla tego nie wzięto Stenieczki. Zaziębiała się łatwo od wilgoci. Siedzieli przytuleni do siebie, słuchając monotonnego szumu deszczu.

— Chciałabym jeszcze jeden dar otrzymać — ozwała się Helusia.

— Wszystko, co każesz.

— Pomyśl, że babcia to bardzo nieszczęśliwa kobieta. Straciła dwie córki, teraz ja ją tak zraniłam... Ja wiem, że jej nie lubisz...

— Prawda, nie lubię jej. Szanuję ją i cenię, ale mię niecierpliwi, nie wiem dlaczego. Są sympatje niewytłomaczone, lub też niewytłomaczony brak sympatji.

— A ona ciebie kocha. Może być, że tak samo cię uwielbia, jak my ze Stenieczką... Zazdrości, męczy się, gryzie się...

— Więc co mam uczynić?

— Jeżeli możesz, spędź codziennie wieczorem godzinę u niej. Niech ona ma tę pociechę!

— Wszystko dla ciebie uczynić jestem gotów, więc nawet i to. Chociaż... wszelkie takie rzeczy robione sztucznie nie dają wyników... Ja jej nie lubię, a kto wie, czy jej nie znienawidzę, gdy się będę zmuszał...

— A więc nie! więc nie! Ten mój projekt był zatem zły?

— Zobaczę, spróbuję. Może mi będzie miło czynić to dla ciebie.

Stacja. Kasę już otworzono. Michał wyskoczył z powozu, zaprowadził Helusię do poczekalni, a sam zajął się kupieniem biletu i wyprawieniem rzeczy. Gdy stanęli przed wagonem, Helusia nagle, bez słów zarzuciła ramiona na szyję Michała i ustami dziewiczemi przylgnęła do jego ust. Ponieważ było to w obecności dość licznie zebranych podróżnych, więc nosiło cechę zwykłej, rodzinnej sceny przy pożegnaniu.

— Tyle mi zostanie od ciebie na tę wieczność, którą będę musiał przeżyć bez ciebie! — szepnął Michał.

— Wrócę do ciebie, wrócę!

Michał patrzał długo za ruszającym coraz prędzej pociągiem. Jego szczęście, radość jego oczu, dwie gwiazdy przyświecające jego domowi, czar i wdzięk życia i ta gorąca dusza kobieca zdolna ogrzać wszystko wkoło siebie, to, co stanowiło od jakiegoś czasu treść jego istnienia — opuszczało go i uciekało w stosunki nieznane. I jej było może równie ciężko, ale ona szła naprzód w pełni młodych sił, on zaś zostawał i wydało mu się, że grube kajdany przykuwają go do miej-

sca. Siłą woli usiłował otrząsnąć się z przygniatającego go smutku. Musiał przygotować w sobie i wkoło siebie tyle, by po powrocie, zastała atmosferę owego dążenia ku dobru, ku boskim wyżynom, którą oddychało jej serce.

— Dla ciebie!... Uczynię to dla ciebie! — zawołał w duchu.

Sierpień, 1921 r.

KONIEC.